

PISZĄ I OPOWIADAJĄ DLA NAS:

• Marek Oramus o sztucznej inteligencji i zmianach cywilizacyjnych • Michał Sikorski o fenomenie serialu „1670” • Reżyser Jan Komasa o swoim pierwszym amerykańskim filmie

Nr ISSN 1898-3081 | Nr indeksu 349-682

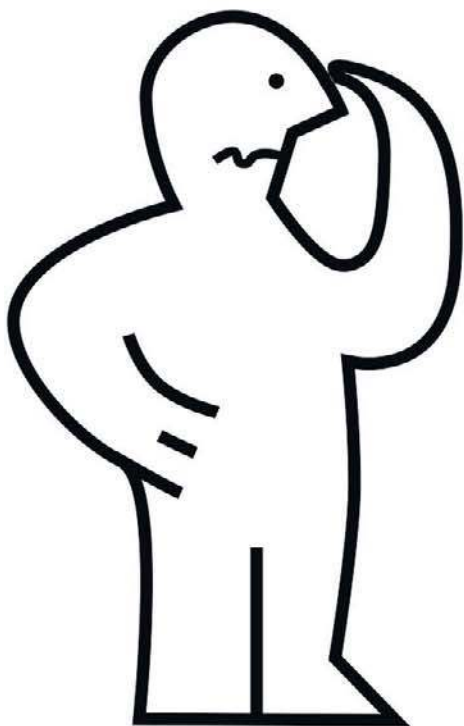


ma
ga
zyn **POLSKA**
Puls
METROPOLIA WARSZAWSKA

Piątek–niedziela, 9–11.01.2026 • Nr 3 (2514) • Cena 7,00 zł (w tym 8% VAT) • Informacje z Kraju i ze Świata www.i.pl

6

Premier Tusk spotka się z prezydentem Nawrockim. Będzie przełom?



7

Po co Trumpowi Grenlandia? Czy będzie chciał ją przejąć siłą?

14

Rok, który minął, większość z nas uważa za udany. A czego się boimy?

28

Najbardziej oczekiwane premiery filmowe 2026 roku

R+

FINIŠ

Nie dali rady Janusz Palikot, Ryszard Petru, Paweł Kukiz – ich projekty polityczne praktycznie nie istnieją. Czy taka przyszłość czeka Polskę 2050?

W poniedziałek magazyn

● Co sztuczna inteligencja sądzi o ludziach i ludzkości? ● Widmo Mercosur krąży nad polską wsią. Czy jest się czego bać?

Zamów prenumeratę

Polska Metropolia Warszawa ☎ 22 230 20 38
prenumerata@polskapress.pl
prenumerata.polskatimes.pl

Janusz Michalczyk
publicysta



PRZYRODA BYWA OKROPNA

Coraz więcej ludzi przyznaje, że nie lubi przyrody i źle się czuje na łonie natury - donoszą naukowcy robiący badania socjologiczne. Szczególnie mówiąc, w ogóle mnie to nie dziwi. Powiedziałbym nawet, że jest coraz więcej powodów, by przyrodę nienawidzić. Zwłaszcza jeśli chodzi o niektórych przedstawicieli świata zwierząt. Niedawno zadzwoniła do mnie przyjaciółka specjalnie po to, by opowiedzieć, że podczas spaceru po rynku zauważyła osobnika biegnącego w biały dzień slalomem między straganami świątecznego jarmarku. To był szczur wielkości małego kota. Jej zaskoczenie wydało mi się o tyle przesadne, że dwa tygodnie wcześniej oboje widzieliśmy równie spasionego indywiduum śmigające nieopodal fosy, również w centrum miasta. Pomińmy w tym miejscu dywagacje, jakie są przyczyny ich panoszenia się. Dość, że nie da się z nimi zaprzyjaźnić jak ze szczurkiem w wersji udomowionej, czym jakiś czas temu zaskoczył mnie mój dorosły syn. Tamten eksperyment zakończył się jednak dość szybko. One żyją tylko dwa lata i ciągle trzeba urządzać pogrzeby - zakomunikował mi ze smutkiem w głosie.

O szczerzej nienawiści można też mówić w przypadku gołębi. Ktoś nazwał je zresztą dość trafnie szczurami ze skrzydłami. One tylko wyglądają niewinnie. Ci, którym zapaskudzały parapety lub balkony, dobrze wiedzą, o jak intensywnym mówię uczuciu. Coś podobnego da się powiedzieć o kretach i nornicach, dewastujących wypielęgnowane trawniki. Wspomnę jeszcze o stadach dzików śmiało penetrujących obrzeża miast. Na Słowacji strzelali nawet ostatnio do miśków, bo niektóre napadały na turystów na górskich szlakach. Darujmy sobie zatem sentymentalne westchnienia i przyznajmy, że zwierzę jest nierzadko wrogiem człowieka.

Ludzie różnią się wrażliwością. Parę lat temu niektórych widzów teatralnego spektaklu bulwersowało gotowanie żywego raka na scenie. Kilka miesięcy temu zniechęcona czytelniczka doniosła naszej redakcji o rozkładaniu przy budach z jedzeniem pułapek z bardzo silnym klejem, do którego przywierały szczury i konoły w mężczyznach na oczach klientów. Tak, przyroda potrafi być groźna lub obrzydliwa i budzi w nas pierwotne instynkty.

”

Możliwość zmiany formy zatrudnienia przez urzędnika bez pytania o zdanie pracodawcy, zatrudnionego i bez wyroku sądu to zły pomysł. (...) Znajdziemy lepsze sposoby ochrony pracowników

premier Donald Tusk o projekcie reformy Państwowej Inspekcji Pracy

CO PRACODAWCA POWINIEN NAM ZAPEWNIĆ?

Każdy z Państwa na swoim stanowisku pracy też musi spełniać swoje obowiązki, inaczej pracodawca może go zwolnić jako nieprzydatnego.

Ale to działa także w drugą stronę. Pracownik może od swego pracodawcy wymagać wielu rzeczy.

Pierwszym obowiązkiem pracodawcy jest wypłata wynagrodzenia. Jeśli ktoś został zatrudniony i dobrze wykonuje swoją pracę, to pracodawca musi mu zapłacić. Umowa, jaką podpisał pracodawca z pracownikiem, ustala wielkość wynagrodzenia w zależności od ilości i jakości wykonanej przez pracownika pracy - i z tego obowiązku nikt pracodawcy nie może zwolnić. Wynagrodzenie, które pracownik dostaje do ręki (tak zwana płaca netto) to tylko część tego, co pracodawca musi zapłacić, bo dodatkowo od każdej wypłaty musi zapłacić należny podatek do urzędu skarbowego i koszty ubezpieczenia pracownika odprowadzane obowiązkowo do ZUS.

Ryszard Tadeusiewicz
profesor AGH



Drugim obowiązkiem pracodawcy jest zapewnienie pracownikowi odpowiednich badań lekarskich. W momencie przyjmowania pracownika trzeba dokonać wstępnych badań, kontrolujących, czy pracownik ze względu na swój stan zdrowia może wykonywać obowiązki wynikające z rodzaju zatrudnienia. Badania te musi sfinansować pracodawca, co więcej - musi je okresowo powtarzać u każdego zatrudnionego pracownika, a po przebyciu przez pracownika choroby, w trakcie której przebywał on na zwolnieniu lekarskim, pracodawca musi sfinansować badanie kontrolne, upewniające, że pracownik po przebytej chorobie może wrócić do pracy.

Trzecim obowiązkiem pracodawcy jest zapewnienie pracownikowi szkolenia w zakresie bezpieczeństwa i higieny

pracy (BHP). Szkolenie to co jakiś czas musi być ponawiane, ale niezbyt często, więc nie jest to szczególnie uciążliwe.

Czwartym obowiązkiem pracodawcy jest zapewnienie pracownikowi warunków pracy gwarantujących odpowiednio bezpieczeństwo i higienę. W ramach tego wymagania pracodawca musi dostarczyć pracownikowi odzież i obuwie ochronne, jeśli warunki pracy tego wymagają.

Piątym obowiązkiem związanym jest z zapewnieniem pracownikowi odpowiedniego poziomu świadczeń socjalnych. Ich rodzaj i ilość zależą od rodzaju zatrudnienia i od możliwości pracodawcy, ale trzeba wiedzieć, że świadczenia socjalne są jednym z obowiązków pracodawcy.

Szóstym obowiązkiem związanym jest z podnoszeniem kwalifikacji pracowników. Znowu szcze-

góły owych szkoleń, jakich pracownicy mogą wymagać od pracodawców, zależą od rodzaju wykonywanej pracy i do miejsca jej wykonywania, ale obowiązek jako taki istnieje zawsze.

Siódmym obowiązkiem pracodawcy związany jest z wystawianiem świadectwa pracy. Jeśli pracownik kończy zatrudnienie i odchodzi do innego pracodawcy, to świadectwo dotyczące jego pracy w okresie, kiedy był zatrudniony, bezwzględnie mu się należy.

Całkiem niedawno do tych ustawowych obowiązków zaczęto dokładać DEI. Skrót ten pochodzi od angielskich słów Diversity, Equity, Inclusion - różnorodność, równość, włączanie. Wymyślili to wielcy pracodawcy amerykańscy, którzy uznali, że zapewnienie wymienionych cech w miejscu pracy sprzyja lepszej jakości wykonywania samej pracy i poprawie stosunków międzyludzkich. Jednak praktyczna realizacja DEI okazała się kosztowna i kłopotliwa, więc obecnie się od tego odchodzi.

KAŻDEJ ZIMY ODDYCHAMY DYMEM

Wiosna pachnie bzami, lato miętą i skoszoną trawą, jesień dojrzałymi jabłkami, a zima? Zima w wielu lubuskich wsiach śmierdzi. I nie chodzi tutaj o zapach obornika czy kurzych odchodów, bo to dziś rzadkość, a o gryzący dym ulatujący z kominów domostw.

Najgorzej jest przy mglistej pogodzie, gdy zawiesina zanieczyszczeń unosi na wysokości nosa. Wtedy bez owinięcia twarzy szalikiem nie da się oddychać.

W tej mieszaninie różnych toksycznych substancji najbardziej szkodliwy jest drobny pył. Dociera on nie tylko do płuc, ale przenika też do krwiobiegu. Jego obecność w organizmie może pro-

Urszula Bauman
publicystka



wadzić do wielu chorób, m.in. do zapalenia górnych dróg oddechowych, astmy, alergii, zawałów, udarów, poronień, przedwczesnych porodów, bezpłodności, nowotworów.

Dzieci, których matki w czasie ciąży wdychały ponadnormatywne ilości zanieczyszczeń, wypadają gorzej w testach inteligencji, mają większe problemy z pamięcią i koncentracją, są bardziej narażone na ryzyko wystąpienia zaburzeń autystycznych. Z kolei u osób dorosłych wielolet-

nie wdychanie pyłów przyspiesza proces starzenia się układu nerwowego i może prowadzić do zmian o charakterze degeneracyjnym.

Jesteśmy jednym z unijnych krajów o najgorszym powietrzu, znajdujemy się w czołówce pod względem liczby zgonów związanych z jego zanieczyszczeniem. Co roku z tego powodu przedwcześnie umiera ok. 40 tysięcy osób.

Główną przyczyną tego stanu rzeczy nie jest przemysł czy samochodowe spaliny,

a emisja pyłów z domowych pieców i lokalnych kotłowni węglowych.

Choć we wsiach raczej nikt nie monitoruje jakości powietrza, można zaryzykować stwierdzenie, że jest ono gorsze niż w dużych miastach. Wielu mieszkańców, nie znając skali zjawiska, bagatelizuje problem, a dym z kominów uważa za nieodłączny atrybut zimy. I cierpliwie czekając, aż się skończy najbardziej śmierdząca pora roku, przyjmuje coroczną porcję trucizny.

Jesteśmy jednym z unijnych krajów o najgorszym powietrzu. Co roku z tego powodu przedwcześnie umiera ok. 40 tysięcy osób

Z CZEGO JUTRO ...? ZIMA JAKO KONSTRUKTYWNA DESTRUKCJA SYSTEMU, CZYLI PAŃSTWO POWSZECHNEGO NIEDOBORU ZARZĄDZANIA

W równoległych światach Yoshua Bengio, laureat Nagrody Turinga, kanadyjski informatyk i jeden z pionierów badań nad sztuczną inteligencją przestrzega, że AI manipuluje ludźmi i systemami nadzoru, aby nie dopuścić do swojej dezaktywacji, a w Polsce zima zmienia rozumienie systemu, który mimo powszechnego stosowania rozwiązań cyfrowych nie jest w stanie przeciwdziałać zapowiadany przez meteorologów opadom śniegu. W zakończonym pierwszym ćwierćwieczu XXI wieku powszechnej rewolucji cyfrowej i narastających lęków o nieprzewidywalność zamiarów AI wobec gatunku ludzkiego zima, jak przekonały się kolejne pokolenia obywateli Polski, przetrwała zmianę systemu, zwłaszcza tego politycznego.

Zimy, które wstrząsnęły systemami, dzieli prawie pół wieku. W tym czasie meteorologia znacząco poprawiła prawdopodobieństwo swoich prognoz atmosferycznych, dzięki którym używanie sformułowania, że „znów zima za-

Andrzej Sadowski

Centrum. im. Adama Smitha



skoczyła drogowców” powinno być ścigane z całą surowością prawa w obronie dobrego imienia ogólnodostępnej wiedzy.

Ekstremalne zjawiska pogodowe, które miały miejsce na przełomie roku 1978 i 1979 przyjęło się określać „zimą stulecia” za sprawą ich natężenia. Nagły atak zimy nastąpił w nocy z 29 na 30 grudnia 1978 gwałtowną zamięcią śnieżną przy silnym mrozie i wietrze. W ciągu 72 godzin miejscami spadło od 50 do 80 cm opadów śniegu i tym samym w praktyce nastąpiło całkowite sparaliżowanie transportu. Opady były wyjątkowo obfite i długotrwałe. Przebieg i skala zjawisk pogodowych miały daleko idące konsekwencje dla gospodarki permanentnego niedoboru wchodzącego w powszechną kartkową regulację nie tylko już cukru. Przy „zwykłej” pogodzie do-

stawy towarów były i tak niewystarczające i coraz częściej nieregularne. Śniegi i zawieje doprowadziły do kompletnego paraliżu transportu i tym samym do załamania łańcuchów zaopatrzenia. Powszechny stawał się brak dostaw do sklepów, problemy z zaopatrzeniem w węgiel, żywność i podstawowe artykuły. W odciętych od świata wsiach groził głód, bowiem drogi i linie kolejowe były nieprzejezdne przez wiele dni, a w niektórych regionach przez tygodnie. Węgiel z kopalni do elektrowni przestał docierać regularnie, co pogłębiło trwający kryzys energetyczny objawiający się codziennymi komunikatami w radiu i telewizji o tzw. dwudziestym stopniu zasilania i możliwych przerwach w dostawie energii. Obłodzone lub zerwane linie energetyczne w sytuacji koniecznego dodatkowego

ogrzewania doprowadziły do zwiększenia przeciążenia systemu i wzmogły jeszcze bardziej przerwy w dostawach prądu na większą niż „normalnie” skalę. Nastąpił paraliż socjalistycznego przemysłu, gdyż tzw. zakłady pracy zaczęły stawać z powodu pogłębianego braku dostaw surowców, nieregularnych również dostaw energii, ale też i braku pracowników, którzy nie byli w stanie dotrzeć do pracy.

W obliczu rosnącego chaosu i załamania się systemu znajdującego się na granicy upadku najwyższe tzw. czynniki partyjno-rządowe zdecydowały się na interwencję wojska w walce ze skutkami żywiołu. Zaangażowano wówczas około 100 tysięcy żołnierzy, którzy ewakuowali ludzi, dostarczali żywność i odśnieżali. Mimo to pojawił się viral z bezlitosną diagnozą dla systemu, że „nam nie trzeba Bundeswehry, nam wystarczy minus cztery”.

Zima wywołała straty w rolnictwie, które w socjalistycznych warunkach bez nagłych zmian pogodowych i tak nie było w stanie wyprodukować tyle żywności, aby zaspokoić

wewnętrzny popyt. Wymarzenie wielu upraw ozimych, a także duże straty wśród zwierząt hodowlanych przyczyniły się do pierwszej fali strajków roku 1980, w których w pierwszym żądano poprawy zaopatrzenia w żywność.

Zima roku 2025 nie miała podobnego charakteru i skali anomalii pogodowej co zima roku 1978/79 oraz skutków ze względu na ogromną zmianę technologii, w tym w komunikacji społecznej niezależnej od władz i zmiany charakteru gospodarki w Polsce. Mimo to doszło do paraliżu transportu drogowego. Lepszy sprzęt jest mało użyteczny w przypadku braku efektywnego zarządzania kryzysowego, które ustawowo w Polsce wprowadzono w roku 2007. Każdy obywatel posiadający numer komórkowy otrzymuje komunikaty Rządowego Centrum Bezpieczeństwa nawet kiedy możliwe są silne wiatry czy grad. Dlaczego zatem prognozy atmosferyczne o zwiększonych opadach śniegu nie spowodowały uruchomienia nie tylko SMS-ów do obywateli, ale stosowanego poziomu gotowości urzędników ustawowo odpo-

wiedzialnych za zarządzanie kryzysowe w Polsce? Po jakim czasie doszło do responsywnej reakcji służb i właściwego do powagi sytuacji zarządzania kryzysowego?

Doświadczenie zimy roku 2025 zmieniło znacząco wśród społeczeństwa poziom akceptacji dla jakości systemu sprawowania władzy. Zima nie ma prawa zaskakiwać władzy, kiedy obywatele jako podatnicy opłacają całodobowe stanowiska dyżurne w centrach zarządzania kryzysowego. Trwającą wymyśloną w socjalizmie przez Janosza Kornaia termin „gospodarka niedoboru”, mamy dziś do czynienia z „systemem niedoboru zarządzania”, a zwłaszcza kryzysowego.

Doniosły dla obywateli konflikt sił natury z bezziałą i bezwładem systemu sprawia, że zima może stać się konstruktywną destrukcją niewydolnego i niskiej jakości tegoż systemu, co powinno być fundamentem zapowiedzianego w roku 2026 przyspieszenia w Polsce. Problemem nie tkwi w nawet nagłej, jednak meteorologicznie nadal przewidywalnej zimie, ale w systemie i jakości zarządzania państwem.

REKLAMA

0011456820

Żona dla Polaka
Toronto

niedziela 21:25
TVP 1 TVP VOD

NIE WSZYSTKIM SIĘ UDAŁO. JAKA PRZYSZŁOŚĆ PRZED POLSKĄ 2050?

Nie dał rady Janusz Palikot, Ryszard Petru, Paweł Kukiz – ich projekty polityczne, choć zapowiadały się dobrze, dzisiaj praktycznie nie istnieją. Czy taka przyszłość czeka Polskę 2050? Na razie ważą się losy przywództwa w partii, która kiedyś w sondażach wyprzedzała Platformę Obywatelską, a dzisiaj walczy o przetrwanie

Dorota Kowalska

W Polsce 2050 wrze. 10 stycznia partia wybiera swojego przewodniczącego. Jeden z kandydatów zrezygnował, zostało sześcioro: Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz, Joanna Mucha, Ryszard Petru i Paulina Hennig-Kloska, oraz posłowie Rafał Kasprzyk i Bartosz Romowicz.

W ostatnim czasie pojawiły się spekulacje, jakoby rywale Pełczyńskiej-Nałęcz mieli zawrzeć nieformalny sojusz taktyczny, by zablokować jej zwycięstwo. Sami zainteresowani temu twardo zaprzeczają.

- Oczywiście to jest jakiś mit, mam wrażenie, stworzony przez sztab koleżanki w celach co najwyżej polaryzacyjnych. Nie, absolutnie, ja jestem kandydatką - stwierdziła w rozmowie z Tok FM Paulina Hennig-Kloska.

I zauważyła, że głos w tej kwestii zabierali jedynie przedstawiciele sztabu ministrowi funduszy.

- Natomiast nikogo innego komentującego tego typu sytuacje, potwierdzającego taki stan rzeczy, nie widziałam - oznajmiła, zaznaczając, że sama prowadzi „absolutnie oddolną, bardzo ważną dla siebie kampanię” i „walczy o swoje głosy dla własnej wizji Polski 2050”.

- Żadnego porozumienia tu nie ma - podkreśliła raz jeszcze.

Kilka dni temu Polska Agencja Prasowa informowała jednak, że jeden z parlamentarzystów Polski 2050 pytany o nastroje przedwyborcze w partii ocenił, że kampania wyborcza przybrała charakter spolaryzowany. Dlatego Petru, Hennig-Kloska i Mucha, mimo różnic programowych i personalnych, zawarły nieformalny sojusz taktyczny. Cel? Zablokowanie zwycięstwa Pełczyńskiej-Nałęcz. W sojuszu, określonym przez rozmówcę PAP jako „kwartet”, miał się też znaleźć poseł Michał Kobosko, który zrezygnował ze startu w wewnętrznych wyborach.

Ponoć członkowie „kwartetu” spotkali się już kilkakrotnie i rozmawiali o przyszłości ugrupowania. To, zdaniem jednego

z rozmówców PAP, sojusz naturalny, kandydaci są bowiem „bardzo do siebie podobni”, bardziej taktyczny niż sugerujący trwałe podziały w partii.

Tak czy inaczej, w Polsce 2050 sporo się dzieje, a co niektórzy zastanawiają się, czy formacja dotrwa do wyborów parlamentarnych w 2027 roku, bo wiele wskazuje na to, że może podzielić los Nowoczesnej, czy Ruchu Palikota.

Zaskoczenie? Trochę tak, bo jeszcze kilka lat temu to Polska 2050 wiodła prym na ówczesnej opozycji, wyprzedzając w sondażach nawet Platformę Obywatelską. Co ciekawe, Szymon Hołownia, który już jakiś czas temu zapowiedział, że w wyborach na przewodniczącego strata nie będzie, przygląda się całej sytuacji z boku, nie komentuje jej, a przecież na jego oczach sypie się to, co sam stworzył.

Hołownia na dobre w polityce zaistniał w 2020 roku, kiedy postanowił strataować w wyborach prezydenckich. Szło mu całkiem nieźle, dopóki w grze nie pojawił się Rafał Trzaskowski, który zastąpił Małgorzatę Kidawę-Błońską, kiedy ta w trakcie kampanii wycofała się z walki o Pałac Prezydencki. W I turze czerwcowych wyborów Hołownia zajął trzecie miejsce i stwierdził, że w turze II swój głos odda właśnie na Rafała Trzaskowskiego.

Jeszcze w trakcie kampanii wyborczej zapowiedział powołanie ruchu społecznego o nazwie Polska 2050. Stowarzyszenie zostało zarejestrowane w sierpniu 2020 roku.

Było dobrze, sondaże wskazywały, że może być pierwszą siłą po stronie opozycji. Z czasem do Hołowni zaczęli zresztą dołączać politycy Koalicji Obywatelskiej, żeby wspomnieć chociażby o Tomaszu Zimochu, Joannie Musze, Paulinie Hennig-Klosce, czy posłance Lewicy Hannie Gill-Piątek. Przyszłość jednak lipiec 2021 roku i do polskiej polityki wrócił Donald Tusk.

Hołownia postanowił nie oddawać pola, zorganizował nawet pierwszy kongres Ruchu Polska



Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz i Paulina Hennig-Kloska mają ambicje polityczne. Ale i silną opozycję wewnątrz partii

2050. Jednak w 2022 roku stało się to, co wielu politologów przewidywało: prysnął czar nowości. Poza tym, jak podkreślali eksperci, wysokie notowania Ruchu Polska 2050 były pochodną słabości Borysa Budki, który wtedy przewodził Koalicji Obywatelskiej, powrót Donalda Tuska wszystko zmienił. Notowania Hołowni pikowały w dół.

Szymon Hołownia w kwietniu 2023 roku, lider Polski 2050, ogłosił oficjalnie, że do wyborów parlamentarnych idą razem z ludźmi pod nazwą Trzecia Droga. To była trudna decyzja dla obu liderów, ich wspólny start oznaczał bowiem, że jako komitet koalicyjny muszą przekroczyć ośmioprocentowy próg poparcia, by dostać się do Sejmu. Obaj, i Władysław Kosiniak-Kamysz i Hołownia, ruszyli w Pol-

skę. Spotkali się z tysiącem ludzi, przekonywali do swojego projektu, projektu, który łączy, jak przekonywali, tradycję najstarszej partii politycznej w Polsce z nowoczesnością najmłodszej.

Wynik Trzeciej Drogi zaskoczył nawet jej liderów. 14,40 procent poparcia - tego nie spodziewali się nawet najwięksi optymiści.

Kosiniak-Kamysz został wicepremierem i szefem MON, Szymon Hołownia marszałkiem Sejmu. W roli marszałka na pewno dodał izbie kolorytu. Pod koniec czerwca liderzy Trzeciej Drogi ogłosili jednak koniec koalicji. Rozpad Trzeciej Drogi był nieunikniony, bo jeśli jeszcze w wyborach samorządowych w 2024 roku ta koalicja powtórzyła swój dobry wynik wyborczy z wyborów parlamentarnych,

to już w wyborach do Parlamentu Europejskiego w ubiegłym roku zaliczyła duży spadek poparcia, uzyskując jedynie 6,97 proc. głosów. Ostatnim ze wspólnych startów były wybory prezydenckie 2025 roku, w których PSL i Polska 2050 poparły wspólnego kandydata - Szymona Hołownię. Marszałek Sejmu wypadł słabo. Wyprzedził go nie tylko Karol Nawrocki i Rafał Trzaskowski, ale także Sławomir Mentzen i Grzegorz Braun.

Itu Hołownia zaczął wykonywać nerwowe i niezrozumiałe ruchy. Odwiedził w prywatnym mieszkaniu jednego z najważniejszych europosłów Prawa i Sprawiedliwości - Adama Bielana. Potem do mieszkania Bielana przyjechał prezes PiS Jarosław Kaczyński i wicemarszałek Senatu Michał Kamiński.

A w przestrzeni publicznej pojawiły się informacje, że panowie radzili jak obalić rząd Donalda Tuska. Sam Hołownia zarzekał się, że nie zamierza wchodzić w koalicję z PiS-em, że chce „zdynamizowania” koalicji rządzącej, „restartu nadziei, którą przyniosła dwa lata temu” i wciąż będzie rozmawiał ze wszystkimi, ale zapachniało zdradą. Potem Hołownia znowu wywołał zamęt twierdząc, że namawiano go do przeprowadzenia zamachu stanu i niezaprzyjęcia Karola Nawrockiego. W końcu poinformował, że złożył aplikację w publicznym naborze ogłoszonym przez Sekretarza Generalnego ONZ Antonio Guterresa na funkcję Wysokiego Komisarza ONZ ds. Uchodźców. Nie został wybrany na tę funkcję.

Niektórzy mówią, że w ciągu ostatnich miesięcy Hołownia stracił wszystko, na co pracował przez ostatnie pięć lat. Nie tylko on - notowania Polski 2050 jeszcze nigdy nie były tak słabe jak dzisiaj, w każdym razie, gdyby wybory parlamentarne odbyły się w styczniu, polityków tego ugrupowania nie byłoby w Sejmie.

Dlaczego Hołowni się nie udało? Zdaniem prof. Antoniego Dudka, politologa, Hołownia kompletnie nie zrozumiał, dzięki czemu w 2023 roku Trzecia Droga osiągnęła wynik, jaki osiągnęła. Nie wiedział, co powinien robić, aby utrzymać część swoich wyborców z 2020 roku, a, zdaniem profesora, trzeba było odróżnić się od Koalicji Obywatelskiej.

- Hołownia powinien był od pierwszego dnia istnienia koalicji kordonowej mówić, że on jest w niej z obrzydzeniem, bo to jest mniejsze zło od koalicji z PiS-em. Miał pokazywać każdego dnia, a z funkcją marszałka Sejmu miał po temu ogromne możliwości, że buduje nowe centrum sceny politycznej. Nie robił tego - tłumaczył mi prof. Dudek.

I dodał, że dopełnieniem wszystkiego był akt kapitulacji w wyborach samorządowych, kiedy Polska 2050 nie wystawiła swojego kandydata w wyszczu

FOT. ADAM JANKOWSKI

o urząd prezydenta Warszawy, ułatwiając Rafałowi Trzaskowskiemu zwycięstwo w I turze. Kolejna sprawa: wysłanie pana Koboski do Brukseli, człowieka, który miał pilnować partii. Dzisiaj, nie wiadomo, kto jej pilnuje.

- To jest w ogóle temat na dłuższe studium: skala błędów, które spowodowały, że Szymon Hołownia jest w tym miejscu, w którym jest. Pozostaje tylko pytanie, co się stanie z resztkami Polski 2050 - zastanawiał się prof. Dudek.

Inni komentatorzy sceny politycznej podkreślają, że Hołownia nie budował struktur w terenie, nie rozwijał partii, jeszcze inni - że zżarła go ambicja własna. A przede wszystkim, o czym mówi prof. Dudek, „była za bardzo Platformą”.

- Jest regułą w polityce, że nie mogą obok siebie istnieć dwie partie mające podobne programy adresowane do podobnych wyborców. Tak było z Platformą i Nowoczesną, tak było z PiS-em i Solidarną Polską. Tak było z SLD i Ruchem Palikota, tak samo jest w tej chwili z Platformą i Polską 2050 - mówił mi ostatnio prof. Rafał Chwedoruk, politolog.

Bo przecież to nie pierwsza formacja, której się nie udało. W październiku 2025 roku, już oficjalnie, Platforma Obywatelska, Inicjatywa Polska i Nowoczesna połączyły siły, tworząc wspólnie Koalicję Obywatelską. Tak naprawdę Nowoczesna nie istniała już od wielu lat. I tu dochodzimy do postaci Ryszard Petru, tego samego, który walczył dzisiaj o przywództwo w Polsce 2050. Petru wszedł do polityki z przytupem. Był doradcą Leszka Balcerowicza założył Stowarzyszenie NowoczesnaPL. Zgromadził wokół siebie działaczy społecznych, przedsiębiorców i samorządowców. Wzywał do pozabawienia partii politycznych finansowania z budżetu, ograniczenia do dwóch kadencji obecności posłów w parlamencie, przywrócenia wolności gospodarczej, zmiany systemu pomocy społecznej oraz dostosowania systemu edukacji do potrzeb rynku pracy. Stworzył Nowoczesną i w 2015 roku wprowadził ją do Sejmu, a notowania jego partii były w pewnym momencie nawet wyższe niż te PO.

- Niestety, Petru zabrakło cierpliwości. Wszedł do polityki z przytupem i jak burza chciał przejść na szczyt. Nie chciał się do niczego ani nikogo dostosować - mówią dzisiaj jego byli partyjni koledzy. Bo dobre notowania Nowoczesnej, podobnie jak dzisiaj Polski 2050, z czasem zaczęły dramatycznie lecieć w dół.

Petru rozbijał opozycję, chciał, żeby ta grała pod jego dyktando, nawet jego mentor Leszek Balcerowicz, który mocno mu kibicował, w pewnym momencie nazwał go „szkodnikiem”. Petru został też okrzyknięty mistrzem wpadek, ale też, rzeczywiście, wydawało się, że szybciej mówi niż myśli. Kręcenie filiżanką w szklance



FOT. ADAM JANOWSKI

Jeszcze niedawno wszystko wyglądało bardzo dobrze. Ale zmiana na stanowisku marszałka Sejmu zmieniła wiele

bez cukru, wysyłanie chłopców do ginekologa, usuwanie aborcji, ciąża kobiety trwająca 12 miesięcy, głowa, która psuje się od góry, 15-procentowe przerwy w Sejmie, Święto Sześciu Króli, wspomnienia o „Rubikoniu”, były premier Wielkiej Brytanii David „Kamerun”, 130 parę krajów na świecie, czy obecna konstytucja mająca 225 lat - to niektóre z jego kompromitacji.

Początkiem końca Nowoczesnej był styczeń 2017 roku i zdjęcie opublikowane na Twitterze. Przedstawiało Joannę Schmidt, posłankę tej partii, która wraz z Ryszardem Petru leciała do Portugalii, by świętować Nowy Rok. W tym czasie w Sejmie trwał protest opozycji, która okupowała salę plenarną. Wśród protestujących polityków zabrakło tych dwojga. Para długo nie chciała komentować sprawy, ale ujawnione przez jeden z tabloidów zdjęcie SMS-y, które wysłali sobie podczas posiedzenia Sejmu, tylko zaoignęły sytuację. Wreszcie Joanna Schmidt w jednym z wywiadów przyznała: „We wrześniu 2016 roku wzięłam rozwód. A w październiku Ryszard Petru wyprowadził się z domu. Jesteśmy razem. Ryszard był w trakcie separacji, a teraz jest w trakcie rozwodu. To Ryszard złożył pozew rozwodowy”.

W listopadzie 2017 roku Petru przegrał, nieznacznie, ale jednak z Katarzyną Lubnauer wybory na przewodniczącą Nowoczesnej. Ta porażka musiała go zaleceć, bo pół roku później postanowił odejść.

- Opuszczam partię ze smutkiem i żalem. Nowoczesna to swego rodzaju moje dziecko, które dziś już podąża swoją własną drogą - mówił na konferencji przed Sejmem.

Dwa dni wcześniej Nowoczesną opuściły Joanna Scheuring-Wielgus i Joanna Schmidt. I to był właściwie koniec tego projektu. Partia istniała tylko formal-

nie, z czasem jej politycy zaczęli zresztą startować w wyborach z list Koalicji Obywatelskiej.

Ale nie udawało się także tym, którzy budowali się bardziej na lewo i bardziej na prawo polskiej sceny politycznej. W tym pierwszym przypadku mowa o Ruchu Palikota, w drugim o Pawle Kukizie. Janusz Palikot, wówczas polityk PO, założył swój ruch w 2010 roku, rok później w wyborach parlamentarnych uzyskał ponad 10-procentowe poparcie i wprowadził do Sejmu 40 posłów, z których większość nie była znana z wcześniejszej działalności politycznej. Wokół Ruchu sporo się działo, Palikot zaskakiwał, wydawało się, że ma pomysł na to, jak zdobyć wyborców - pięć lat później jego partia właściwie nie istniała.

Paweł Kukiz też wszedł do polityki z głową pełną pomysłów, entuzjazmem i szczerą wiarą, że wiele można w Polsce zmienić. W swojej książce „Dobra zmiana. Jak rodzi się rewolucja” wydanej w 2018 roku, przeprowadził kilkanaście wywiadów z politykami, socjologami, filozofami, o tym, co wydarzyło się w kraju przez ostatnie trzy lata. Jednym z rozmówców był właśnie Paweł Kukiz. Nie krył rozczarowania ani klasą polityczną ani rządami Prawa i Sprawiedliwości.

O politykach mówił tak: „Wśród polityków może jakieś pięć procent, to patrioci, reszta to są koniunkturaliści. Polityka, to ich sposób na życie. Są jak pijawki, które żyją z pracy innych ludzi. (...) Dla większości ani Polska ani Polacy się nie liczą. Mówiłem już pani: to są po prostu ludzie, dla których polityka stała się sposobem na życie. Oni nauczyli się żyć z pieniędzy innych ludzi. Dlatego tutaj jestem, żeby z nimi walczyć”.

O różnicy między Platformą a Prawem i Sprawiedliwością:

„Nawet jeśli jest jakaś różnica między PiS-em a Platformą w sensie zwykłej ludzkiej uczciwości, to jest ona niewielka. Dużo wskazuje na to, że Kaczyński jest uczciwy, uczciwszy niż Tusk. Ale na niższych szczeblach nie ma żadnej różnicy. Zerowanie na państwowych pieniądzach jako sposobie na życie. Państwo nie jest podmiotem, tylko przedmiotem. Całe ich rodziny trwają dzięki temu układowi. Proszę popatrzeć na spółki skarbu państwa, wszędzie mamy do czynienia z nepotyzmem, wszędzie mamy do czynienia z partyjniactwem, wszędzie mamy do czynienia z układem”.

Kukiz tłumaczył, że „jest szansa rozwalić ten system”, a on chce walczyć ze starymi układami, sitwami, korupcją.

Dla niektórych jego obecność w polityce była zaskoczeniem, Kukiza bardziej kojarzono z koncertami niż salą plenarną przy Wiejskiej. W latach 80. Kukiz grał w zespołach rockowych, takich jak CDN, Hak oraz Aya R, był liderem zespołu Piersi.

„Zostałem rockmanem nie tylko ze względu na muzykę, ale przede wszystkim na możliwość werbalizacji pewnego przekazu, emocji, które były ściśle socjologiczne, czy polityczne. Ten bunt wynikał przede wszystkim z tego, co działo się w kraju” - tłumaczył mi w wywiadzie w 2018 roku.

Już wcześniej, bo w 2005 roku Kukiz należał do komitetu honorowego kandydującego na prezydenta Donalda Tuska. W 2006 i 2007 roku poparł Hannę Gronkiewicz-Waltz i Platformę Obywatelską w wyborach samorządowych. Z kolei w wyborach prezydenckich w 2010 roku stawiał na Marka Jurka. W wyborach prezydenckich z 2015 roku niespodziewanie uzyskał trzeci najlepszy wynik. Niesiony tym sukcesem, powo-

łał Komitet Wyborczy Kukiz'15, który zdobył 8,81 procent głosów i wprowadził do Sejmu 42 posłów. W sierpniu 2019 ogłosił, że Kukiz'15 wystartuje w wyborach do Sejmu z list PSL w ramach Koalicji Polskiej. Kandydaci rekomendowani przez kierownictwo przez niego ruch uzyskali 6 mandatów poselskich. W dniu rozpoczęcia nowej kadencji Sejmu został ogłoszony przewodniczącym Rady Koalicji Polskiej. W grudniu 2020 został posłem niezrzeszonym. W lutym 2021 został przewodniczącym nowo powołanego koła poselskiego Kukiz'15 - Demokracja Bezpośrednia.

I wreszcie stała się rzecz, której jeszcze kilka lat temu nikt by się nie spodziewał. Obok siebie na wspólnej konferencji prasowej stanęli Paweł Kukiz i Jarosław Kaczyński. Obaj w garniturach, ale też moment wymagał powagi, bo oto panowie poinformowali dziennikarzy, że właśnie się dogadali.

Kaczyński zachwalał Kukiza, mówił, że ten ma bardzo wiele interesujących pomysłów, które mogą zmienić jakość polskiej demokracji, polskiego życia publicznego.

Paweł Kukiz nie pozostawał przesewi dłużny.

- Przede wszystkim chciałem się podzielić swoją radością z faktu podpisania porozumienia programowego z PiS-em - mówił.

To był koniec antysystemowca Pawła Kukiza.

- Kukiz wszedł w fazę schyłkową. On się do tego nie przyzna, ale on zaczął rozumieć, że jego projekt polityczny już się kończy. Jemu już chodzi tylko o to, żeby w przyszłości, jak już zupełnie wypadnie z polityki, a moim zdaniem, nastąpi to za sprawą następnych wyborów parlamentarnych, mieć odpowiedź na pytanie, które będzie za nim do końca życia szło:

„A coś ty właściwie Paweł przez te osiem lat w polityce zdziałał”? W tej chwili najbardziej zależy mu na ustawie antykorupcyjnej, próbuje nakłonić PiS, żeby w życie weszła taka bardzo surowa ustawa. Wtedy powie: „Wiele mi się nie udało, bo system okazał się strasznie odporny na moje działania, ale przynajmniej załatwiłem tę ustawę antykorupcyjną”. Kukiz zrozumiał, że już nie jest w stanie naprawić państwa, ale chce jakąś ustrojową pamiątkę po sobie zostawić. Nie może tego zrobić będąc w opozycji, to postanowił wykorzystać sytuację - Kaczyński jest teraz w sytuacji podbramkowej - mówił w 2021 roku prof. Antoni Dudek.

Paweł Piskorski, były polityk Platformy Obywatelskiej, szef Stronnictwa Demokratycznego miał podobne spostrzeżenia.

- Mam wrażenie, że Paweł Kukiz na pewnym etapie po prostu się pogubił. Początkowa postawa kontestatora sceny politycznej została pokonana przez postawę: „przetrawiamy, bo za wszelką cenę trzeba być w parlamencie”. Wydaje mi się, że tę barierę Paweł Kukiz przekroczył już jakiś czas temu - mówił Piskorski.

Gdzie jest dzisiaj Kukiz? W wyborach parlamentarnych 2023 roku startował do Sejmu z list PiS-u, został posłem. Tyle że z jego zdaniem niewiele się już liczy, a sam Kukiz jest na politycznym marginesie.

Kukizowi się nie udało, Palikotowi się nie udało, nie udało się Ryszardowi Petru, ale

Konfederacja mocno się trzyma, to Mentzen z Bosakiem rozdają dzisiaj karty, politycznie rośnie Grzegorz Braun. Dlaczego? Bo, jak tłumaczą eksperci, wciąż istnieje grupa wyborców szukających alternatywy dla PiS-u i Koalicji Obywatelskiej, zmęczonych duopolem, wieczną wojną, chcącą postawić na tego trzeciego.

- Istniały strukturalne przesłanki do tego, aby taka formacja się pojawiła. Pytanie było tylko takie, kto zdyskontuje tych wyborców. Nie udało się tego zrobić bardziej z pozycji liberalnych czy wręcz lewicowo-liberalnych Palikotowi, nie udało się tego zrobić Kukizowi z pozycji narodowo-konserwatywnych. Okazało się, że to Korwin-Mikke był dla osób w wieku 18-25 lat najlepszą propozycją. Za jego pośrednictwem zaczęła się dokonywać socjalizacja, nawet jeśli teraz firmują ją inne twarze - tłumaczy prof. Chwedoruk.

Pewnie nie bez znaczenia jest fakt, że za naszą wschodnią granicą trwa wojna. W takiej sytuacji łatwiej grać na ludzkim strachu, budzić przeróżne demony, skrajna prawica doskonale o tym wie i to robi, także stąd tak wysokie poparcie dla jej haseł.

Ale wracając do Polski 2050, czy formacja Hołowni przetrwa? Nawet jeśli, nie będzie tym trzecim, żadną znaczącą alternatywą.

SPOTKANIE PREMIERA TUSKA Z PREZYDENTEM NAWROCKIM. CZY DOJDZIE DO PRZEŁOMU?

Relacje między prezydentem a ekipą rządzącą od początku nie należały do łatwych, niektórzy mówią wprost o otwartej wojnie. Spotkanie Karola Nawrockiego z Donaldem Tuskiem może choć trochę ostudzić złe emocje

Dorota Kowalska



Ostatnio premier Donald Tusk i prezydent Karol Nawrocki spotkali się podczas oficjalnego spotkania w sierpniu ub. roku

To może być ważny moment w relacjach Pałac Prezydencki - Kancelaria Premiera. Jeszcze w tym tygodniu, prawdopodobnie dzisiaj, premier Donald Tusk spotka się z prezydentem Karolem Nawrockim. Panowie mają rozmawiać o gwarancjach bezpieczeństwa dla Ukrainy po zawieszeniu broni, sporach o nominacje ambasadorskie, w tym kandydatury Bogdana Klichy i Ryszarda Schnepfa, ale tematów, które powinni omówić, jest dużo więcej.

- Liczę, że prezydent Nawrocki skończy pięciomiesięczną politykę sabotażu działań rządu, zwłaszcza w sprawach, które są dla państwa polskiego w tej chwili najważniejsze, czyli w sprawach zagranicznych i bezpieczeństwa - mówił w Porannej rozmowie w RMF FM Marcin Bosacki, wiceszef MSZ i poseł Koalicji Obywatelskiej.

Stwierdził, że prezydent od miesiąca unika kontaktu z przedstawicielami ministerstwa spraw zagranicznych.

- Od równo trzech miesięcy prezydent Nawrocki nie odpowiada na propozycję kompromisu w sprawie ambasadorów sformułowaną na piśmie przez ministra Sikorskiego po osobistej zresztą rozmowie między oboma panami. Mijemy nadzieję, że tego typu działania sabotujące się skończą - dodał Bosacki.

Dopytywany, w jaki sposób premier Donald Tusk chce dogadać się z prezydentem, podkreślił, że padnie zapewne „daleko idąca propozycja kompromisowa”, podobna do tej, jaką przedstawił już minister Sikorski.

- Rozumiemy spory polityczne, ale w kwestiach dla Polski najważniejszych, czyli bezpieczeństwa (...) i nowej polityki Stanów Zjednoczonych, (...) wreszcie będzie otwarcie i rozmowa dorosłych ludzi o najważniejszych problemach Polski - podsumował wiceminister.

Z kolei wiceminister cyfryzacji Michał Gramatyka, także wczoraj rano w stacji RMF24, wezwał prezydenta Karola Nawrockiego, by ten podpisał ustawę o usługach cyfrowych (będącą implementacją unijnego rozporządzenia DSA, Digital Services Act).

- Dzisiaj platformy cyfrowe działają bez jakiegokolwiek kontroli państwa. Mam głęboką nadzieję, że prezydent podpisze ustawę o usługach cyfrowych. To dobra ustawa - przekonywał Gramatyka, dodając, że w Senacie została ona jeszcze poprawiona.

Gramatyka zapewnił jednocześnie, że minister cyfryzacji, wicepremier Krzysztof Gawkowski jest „do dyspozycji prezydenta”. Jednym z głównych i wzbudzających największe kontrowersje zapisów ustawy,

jest wprowadzenie zasad moderacji treści w internecie.

- Dziś treści są usuwane na mocy decyzji samych platform. Znikają posty, komentarze, czasem całe profile (jak kiedyś Konfederacji). Polskie państwo nie miało żadnego startu do tych platform - mówił Gramatyka.

Podkreślił, że jeśli nowe prawo weszłoby w życie, to od każdej takiej decyzji przysługiwałoby odwołanie do organu państwowego, konkretnie Urzędu Komunikacji Elektronicznej, gdzie został stworzony specjalny departament.

Wiceminister odpierał również zarzuty niektórych polityków (wymienił tu Konfederację), że UKE będzie mogło stosować cenzurę. - Żadnej cenzury nie będzie. Co więcej, tak poprawiliśmy ustawę w Senacie, by decyzja prezesa Urzędu nie była od razu wykonywana - tłumac-

zył. Gramatyka wyjaśnił, że jeśli UKE oflaguje jakąś treść i zwróci uwagę platformie cyfrowej, to jeśli użytkownik zwróci się do sądu, to dana publikacja nie będzie mogła zostać usunięta.

To tylko kilka spraw, które należy załatwić, a przecież na akceptację prezydenta Nawrockiego czekają kolejne ustawy, choćby ta o związkach partnerskich. Szef gabinetu prezydenta Paweł Szefernaker już zapowiedział, że jeśli ta ustawa trafi na biurko Karola Nawrockiego, ten jej nie podpisze. Według prezydenckiego ministra nowe przepisy zrównują związki partnerskie z małżeństwem, a na to nie ma zgody.

Tymczasem, według sondaży, Polacy mają już dość sporu na linii prezydent Nawrocki - rząd. O to, jak napięta atmosfera między premierem a prezydentem wpływa na państwo, zapy-

tano w sondażu United Surveys dla Wirtualnej Polski.

„Czy Pana/i zdaniem konflikt pomiędzy premierem Donaldem Tuskiem a prezydentem Karolem Nawrockim prowadzi do paraliżu państwa i uniemożliwia wprowadzanie koniecznych reform?” - brzmiało pytanie.

Zdecydowana większość respondentów - w sumie aż 76 proc. - odpowiedziała na nie twierdząco. O tym, że klótnie na szczycie działają na niekorzyść państwa, przekonanych było 34 proc. ankieterów, a odpowiedź „raczej tak” wybrało 42 proc. uczestników badania.

Co ciekawe, Polacy nie wierzą jednak, że stosunki między dwoma pałacami ulegną poprawie.

Z badania United Surveys by IBRIS na zlecenie Wirtualnej Polski przeprowadzonego zaledwie

dwa dni temu wynika, że 84,8 proc. ankieterów przewidyuje złe relacje między Donaldem Tuskiem a Karolem Nawrockim. Najczęściej wskazywaną odpowiedzią było stwierdzenie, że relacje prezydenta z premierem będą „zdecydowanie złe”, co zadeklarowało 44,3 proc. badanych. Kolejne 40,5 proc. uważa, że będą „raczej złe”.

Wiarę w dobrą współpracę deklaruje jedynie 10,6 proc. respondentów, z czego 2,5 proc. jest o tym zdecydowanie przekonanych. Brak zdania w tej sprawie deklaruje 4,6 proc. badanych.

Sondaż pokazuje wyjątkową zgodność ocen po obu stronach politycznego sporu. Zarówno wyborcy obozu rządzącego, jak i opozycji, niemal identycznie oceniają przyszłość relacji na linii rząd - prezydent.

I trudno się temu dziwić. Prezydent Nawrocki nie ukrywa, że zrobi wszystko, aby utrudnić życie koalicji 15 października. Wystarczy wspomnieć, że w ciągu pięciu miesięcy urzędowania zawetował więcej ustaw niż Andrzej Duda podczas 10 lat swojej prezydentury. Przy okazji zwrócił się do rządu oraz premiera Donalda Tuska o konsultowanie projektów ustaw „już na wczesnym etapie prac”.

- Takie działanie usprawniłoby proces legislacyjny, ograniczyłoby konieczność wetowania ustaw wadliwych, a przede wszystkim służyłoby obywatelom - podkreślił.

Na decyzję prezydenta zareagował w mediach społecznościowych minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski.

„Pan Prezydent chciałby, aby rząd prosił go o zgodę na procedowanie ustaw tak, jak prezydent Duda chciał, abym prosił o zgodę, o kogo mogę wnioskować o powołanie na ambasadora. Nie ma na to cienia podstawy prawnej. Trzeba było przeczytać konstytucję przed decyzją o kandydowaniu” - napisał.

W połowie listopada Pałac Prezydencki zablokował awanse ponad 100 funkcjonariuszy i żołnierzy ABW oraz SKW. Pretekstem miała być odmowa stawienia się u głowy państwa przez szefów służb specjalnych.

Krótko po tej decyzji RMF FM nieoficjalnie poinformowało, że Pałac Prezydencki jest w konflikcie z ABW i SKW, a decyzja Nawrockiego jest zemstą. W Kancelarii Prezydenta podejrzewają ponoć, że to właśnie z Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego wyszła informacja o sprawie kawalerki pana Jerzego w kampanii wyborczej. Agencja miała też robić wszystko, aby Nawrocki nie został głową państwa. Służba Kontroli Wywiadu Wojskowego miała z kolei podpaść odebraniem prezydentowi dostępu do tajemnic szefowi Biura Bezpieczeństwa Narodowego Sławomirovi

Cenckiewiczowi. Z kolei Onet pisał, że powodem wojny o awanse w służbach mają być rosnące wpływy ludzi Antoniego Macierewicza na funkcjonowanie Biura Bezpieczeństwa Narodowego.

Nawrocki odmówił także przyznania odznaczeń i orderów funkcjonariuszom ABW, także tym, którzy mieli zostać odznaczeni w związku ze zwalczaniem wrogich aktów dywersji.

Wcześniej Karol Nawrocki nie podpisał nominacji 46 sędziów. Minister sprawiedliwości Waldemar Żurek stwierdził, że „tego typu podejście do procesu nominacji jest łamaniem polskiej konstytucji”. Lista „odrzuconych” sędziów była bowiem poprzedzona jedynie jednozdaniowym stwierdzeniem: „Odmawiam nominacji niżej wskazanym osobom”, bez jakiegokolwiek argumentacji. Ale może chodzi o to, że sędziowie, którym prezydent odmówił nominacji, wcześniej podpisali dwa rodzaje listów: protest przeciwko tzw. wyborom kopertowym oraz apel o wykonanie wyroków Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej dotyczących Izby Dyscyplinarnej.

Nawrocki otwarcie krytykuje rząd, mówi też, że Donald Tusk jest najgorszym premierem w historii III RP, co niczego dobrego ich relacjom nie wroży.

Może jednak czas na złagodzenie sporu? Na czwartkowej konferencji prasowej w Sejmie o oczekiwania względem zapowiadanego na piątek spotkania prezydenta z premierem został zapytany marszałek Sejmu Włodzimierz Czarzasty.

- Myślę, że są takie tematy, które bez względu na to, skąd pochodzimy i czy jesteśmy w koalicji rządzącej demokratycznej, czy jesteśmy w kancelarii prezydenta i prezydentem, które nie powinny podlegać sporom, powinny wymagać wspólnego działania - powiedział. - Taką sferą jest polityka zagraniczna i taką sferą jest bezpieczeństwo kraju. Rozumiem, że spotkanie pana prezydenta z panem prezydentem Tuskiem tego dotyczy. Trzymam kciuki - dodał Czarzasty.

Odnosząc się do kwestii sporu na linii kancelarii prezydenta i kancelarii premiera, marszałek stwierdził, że „nikomu spory się nie podobają”, jednak problem jest w ich źródłach.

- Ja też wolałbym z panem prezydentem się nie spierać o politykę legislacyjną i nie wysłuchiwać kierowanych w stronę Sejmu inwektyw ze strony kancelarii pana prezydenta - mówił.

Cóż, pozostaje liczyć na to, że politycy wezmą pod uwagę opinię Polaków zmęczonych już sporem na linii prezydent - Kancelaria Premiera. I nie chodzi tylko o nasze lepsze samopoczucie, ale o sprawy kraju.

Współpraca: Adam Kielar

Szef dyplomacji Marco Rubio potwierdził, że Donald Trump od dawna ma na celu pozyskanie wyspy w drodze zakupu, i zaznaczył, że obecny prezydent nie jest w tym względzie pierwszym przywódcą USA, bo podobne zabiegi podejmował już Harry Truman. Rubio zapowiedział rozmowy w tej kwestii z przedstawicielami Danii w przyszłym tygodniu.

Pytany o to, czy administracja Trumpa jest skłonna narażać NATO na rozpad, dążąc do przyłączenia Grenlandii siłą, Rubio stwierdził, że „każdy prezydent zawsze zachowuje opcję” użycia siły. - Nie mówię o Grenlandii, mówię globalnie: jeśli prezydent zidentyfikuje zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego Stanów Zjednoczonych, każdy prezydent zachowuje możliwość rozwiązania go środkami militarnymi. Jako dyplomata, którym jestem teraz, zawsze wolę rozwiązać to innymi sposobami - odpowiedział.

Kupić, a nie przejąć?

Waszyngton przygotowuje propozycję dla rządu autonomicznej Grenlandii - pisze z kolei „The Economist”. Chodzi o możliwość zawarcia umowy o wolnym stowarzyszeniu (Compacts of Free Association, COFA). Podobne umowy Waszyngton zawarł z kilkoma małymi państwami na Pacyfiku.

Umowy takie zapewniają amerykańskim siłom zbrojnym wyłączny dostęp do wód terytorialnych i przestrzeni powietrznej partnerów, pozabawiając tego prawa inne kraje. W zamian Stany Zjednoczone udzielają pomocy gospodarczej i finansowej.

Dania, której autonomicznym terytorium jest Grenlandia, wskazuje, że na wyspie znajduje się już amerykańska baza wojskowa, a obowiązująca umowa z Kopenhagą nie ogranicza liczebności wojska amerykańskiego, chociaż jej znaczne zwiększenie prawdopodobnie będzie wymagało zgody władz duńskich.

Według „The Economist”, amerykańscy urzędnicy próbowali już rozpocząć bezpośrednie negocjacje z rządem Grenlandii, ale spotkali się z odmową. Premier Danii Mette Frederiksen oświadczyła, że wypowiedzi Trumpa o chęci przejęcia kontroli nad Grenlandią należy traktować poważnie. - Jeśli Stany Zjednoczone zdecydują się na atak militarny na inne państwo NATO, wszystko się zatrzyma. W tym NATO, a co za tym idzie, bezpieczeństwo, które było zapewnione od końca II wojny światowej - powiedziała Frederiksen w wywiadzie dla telewizji TV2.

Doradca prezydenta USA Stephen Miller w rozmowie ze stacją CNN zakwestionował



FOT. SEAMAN KATE KILROY/COVER IMAGES/EAST NEWS

USA chcą mieć militarną wyłączność na Grenlandii

PO CO TRUMPOWI GRENLANDIA?

Waszyngton przygotowuje się do zaproponowania Grenlandii umowy, którą prezydent USA Donald Trump porównał do dużej transakcji na rynku nieruchomości, informuje „The Economist”. Sekretarz stanu USA Marco Rubio powiedział w środę, że w przyszłym tygodniu spotka się z przedstawicielami Danii na rozmowy na temat Grenlandii. Dodał, że każdy prezydent ma opcję rozwiązania zagrożeń dla bezpieczeństwa środkami militarnymi, choć on jako dyplomata woli inne środki

Grzegorz Kuczyński

zwierzchność Danii nad Grenlandią. - Nikt nie będzie walczył zbrojnie ze Stanami Zjednoczonymi o przyszłość Grenlandii - odpowiedział Miller na pytanie, czy wyklucza użycie siły militarnej w celu przejęcia kontroli nad wyspą. - Żyjemy w świecie, w realnym świecie rządzonym siłą, potęgą (...) To są żelazne prawa tego świata od zarania dziejów.

Trump wielokrotnie twierdził, że USA potrzebują Grenlandii ze względów obronnych. Pod koniec 2025 roku mianoował gubernatora Luizjany Jeffa Landry'ego specjalnym wysłannikiem na Grenlandię. W komunikacie dotyczącym nominacji nie ma mowy o ewentualnej aneksji wyspy, ale ponownie podkreślono, że Grenlandia ma kluczowe znaczenie dla bezpieczeństwa narodowego Stanów Zjednoczonych. Sam Landry napisał na portalu społecznościowym X, że z przyjemnością będzie

pracował nad tym, aby „Grenlandia stała się częścią Stanów Zjednoczonych”.

Premier Grenlandii: Jesteśmy w NATO, to nie Wenezuela

Szef grenlandzkiego rządu Jens-Frederik Nielsen oświadczył w poniedziałek, że Grenlandia to naród, kraj i demokracja, co powinni szanować zwłaszcza bliscy i lojalni przyjaciele. „Kiedy prezydent Stanów Zjednoczonych mówi: ‘potrzebujemy Grenlandii’ i łączy nas z Wenezuelą i interwencją wojskową, to jest to nie tylko niewłaściwe, to świadczy o braku szacunku” - napisał na Facebooku. „Jesteśmy częścią NATO i w pełni zdajemy sobie sprawę ze strategicznego położenia naszego kraju” - zaznaczył.

Grenlandia formalnie nie należy do NATO, ale podlega postanowieniom artykułu piętego Traktatu Północnoatlan-

tyckiego dzięki członkostwu Danii w sojuszu. Nielsen oświadczył, że nie można porównywać wyspy z Wenezuelą i że nie da się zająć Grenlandii w ciągu jednej nocy.

„Konkwistador” Trump

Już w 2019 r. podczas swojej pierwszej kadencji Donald Trump zasugerował, by USA kupiły Grenlandię od Danii, co oburzyło zarówno Kopenhagę, jak i Nuuk, stolicę autonomii.

Wyspa jest obiektem pożądanym Trumpa (i wielu innych polityków amerykańskich) nie bez przyczyny. To nie jest jakaś fantazja kontrowersyjnego lidera. Kryje się za tym interes USA. Na Grenlandii znajduje się najbardziej na północ wysunięta baza amerykańskich Sił Powietrznych, wykorzystywana do wykrywania zagrożeń rakietowych i monitorowania przestrzeni kosmicznej. Na wyspie znajdują się również ogromne złoża minerałów,

które mogą mieć kluczowe znaczenie dla Trumpa.

Zmiany klimatyczne zwiększają atrakcyjność Arktyki. Z dwóch głównych powodów. Topnienie lodu otwiera dostęp do nowych wielkich złóż minerałów oraz otwiera nowe szlaki żeglugi. Jedno i drugie ma znaczenie nie tylko dla gospodarki, ale też bezpieczeństwa. Arktyka, z Grenlandią na czele, już stała się nowym, ważnym obszarem rywalizacji mocarstw.

Grenlandia: mało ludzi, dużo bogactw

Największa na świecie wyspa ma mniej niż 60 tys. mieszkańców (ok. 0,025 osoby na kilometr kwadratowy), za to posiada ogromne bogactwa naturalne. Grenlandzki szelf kryje duże zapasy ropy i gazu. Szacunkowe oceny Służby Geologicznej USA mówią o ok. 17 mld baryłek ropy i 4 mld m sześciennych gazu. Podczas gdy Rosja posiada największe za-

soby ropy naftowej i gazu ziemnego w Arktyce, szacowane na 105 miliardów ton,

Grenlandia zajmuje wraz z Norwegią drugie miejsce z 65 miliardami ton - więcej niż Kanada z 61 miliardami ton i znacznie więcej niż USA z 40 miliardami ton i Islandia z 16 miliardami ton. Przede wszystkim jednak Grenlandia kryje ogromne zapasy metali rzadkich, niezbędnych dla produkcji elektroniki. To nawet 38,5 mln ton - cała reszta świata kryje 120 mln t. Grenlandia ma jedno z największych zasobów uranu na świecie. Oczywiście wyspa kryje też duże i nie do końca jeszcze oszacowane złoża złota, wolframu, cynku, wanału i tytanu.

Ok. 90 proc. ludności Grenlandii stanowią Inuici, których przodkowie przybyli tutaj z terytorium współczesnej Kanady w XIII w. Wyspa geograficznie jest częścią kontynentu amerykańskiego, ale politycznie i kulturowo od tysiąca lat jest związana ze Skandynawami, przez ostatnie kilka wieków z Danią. Referenda w 1979 i 2008 dały Grenlandii autonomię, choćby ws. decydowania o wydobywaniu minerałów. W gestii rządu Danii pozostaje polityka zagraniczna, obronna i walutowa. Grenlandia ma też zagwarantowane prawo do ewentualnego dążenia do niepodległości.

Zagrożenie ze strony Chin i Rosji

Mocno na wyspie inwestują Chińczycy. W Kvanefjeld spółki z Państwa Środka planują rozpocząć wydobywanie nie tylko uranu (jest tu piąte pod względem wielkości złoża tego minerału na świecie), ale i innych rzadkich minerałów, których produkcję Pekin usiłuje zmonopolizować. Chińskie firmy inwestują też w kopalnie cynku i żelaza. Nie tak dawno inwestorzy z Państwa Środka chcieli finansować budowę międzynarodowego lotniska w stolicy Grenlandii Nuuk, które umożliwiłoby bezpośrednie loty z Europy i Ameryki Północnej. Projekt zablokował rząd Danii.

Gdyby Chiny uzyskały możliwość kontrolowania portów i lotnisk Grenlandii, oznaczałoby to poważne problemy dla NATO. Przemysł GIUK (Grenlandia-Islandia-Wielka Brytania) ma kluczowe znaczenie w planach zachodnich strategów na wypadek konfliktu z Rosją w Europie. Z drugiej strony Grenlandia może być użyta do przeprowadzania operacji mających na celu neutralizację rosyjskich sił w Arktyce. W czerwcu 2019 roku Pentagon opublikował „Strategię Arktyczną”, w której czytamy że morskie przejście na wschód od Grenlandii to „strategiczny korytarz” dla całej Arktyki i Północnego Atlantyku, bardzo ważny w kontekście rywalizacji z Rosją i Chinami. PAP

Gen. Komornicki: Kreml przetestuje kraje bałtyckie

– Trump rozmawiał z Putinem na Alasce i w mojej ocenie w czasie tego spotkania uzgodnili nowy podział świata. W przestrzeni geopolitycznej wszystko już ustawione, a my dziś obserwujemy w dużej mierze grę pozorów – mówi gen. Leon Komornicki, przewodniczący fundacji Poległym i Pomordowanym na Wschodzie

Agaton Kozłowski

Właściwie przez całe życie o Grenlandii słyszeliśmy tyle co z książek Czesława i Aliny Centkiewiczów. Ale nagle okazało się, że geopolityczna waga tej wyspy jest najwyższa z możliwych. Coś się zmieniło, czy czegoś nie dostrzegaliśmy wcześniej?
Zmieniło się. W tym obszarze coraz bardziej aktywne stawały się Rosja i Chiny. Przez tę wyspę biegnie szlak skracaający znakomicie drogę w region Pacyfiku Zachodniego, gdzie krzyżują się strategiczne interesy Stanów Zjednoczonych. Zmiany klimatyczne sprawiają, że już nie tylko lodolamacze są w stanie pokonywać tę przestrzeń, ale także i okręty wojenne. W tym sensie staje się to coraz ważniejszy szlak globalnej gospodarki.

Amerykanie od dawna mają na Grenlandii bazę wojskową. W czasie zimnej wojny stacjonowało tam nawet 10 tys. żołnierzy, obecnie jest tam ich ok. 200 - ale kontrolę nad tym obszarem zachowują. Po co im coś więcej?
Bo Grenlandia staje się kluczową przestrzenią z punktu widzenia strategicznych interesów Stanów Zjednoczonych. USA dążą do odbudowy swojego prymatu na zachodniej półkuli - jak to zdefiniowano w niedawno opublikowanej strategii bezpieczeństwa narodowego Stanów Zjednoczonych. Poza tym ta wyspa to kolejny rezerwuwar zasobów naturalnych.

Znajdują się tam m.in. ogromne pokłady metali ziem rzadkich.
A tych Amerykanom mocno brakuje, z kolei potentatem w tej dziedzinie są Chiny, dzięki czemu kontrolują one rynek najnowocześniejszych technologii. Chodzi o nie tylko o technologie cywilne - ale także wojskowe. Przy ich rozwoju praktycznie cały świat stał się uzależniony od dostaw z Chin.

Innymi słowy, gdyby Pan był Donaldem Trumpem, też by Pan chciał Grenlandii?
Tak, oczywiście. Może się to podobać albo nie, ale takie są realia.

Jednocześnie Unia Europejska kategorycznie sprzeciwia się planom Trumpa wobec Grenlandii. Choć przecież do tej pory traktowała tę wyspę jako drogę trzeciej kategorii odśnieżania.
Dosłownie ją tak traktowała. Natomiast prawda jest taka, że Europa przez ostatnie 20-30 lat tylko żerowała na wsparciu USA, swoje bezpieczeństwo budowała na oparciu o USA. Żadna armia NATO - z wyjątkiem Turcji i Szwecji oraz Finlandii, które niedawno dołączyły do Sojuszu - nie wywiązywała się z zobowiązań wynikających z Traktatu Północnoatlantyckiego. A dziś nie mają one zdolności do zadbania o własne bezpieczeństwo. Dotyczy to także nas, krajów położonych na wschodniej flance NATO.

Polska konsekwentnie co roku wydaje 2 proc. PKB na obronność dopiero od 2020 r.
W większości krajów NATO to wygląda dużo gorzej. Jednocześnie Europa wyspecjalizowała się w wysuwaniu roszczeń wobec Stanów Zjednoczonych - tak jakby artykuł 5. Traktatu NATO miał być panaceum na wszystko.

Kraje europejskie długo zapomniały o artykule 3. tego traktatu, który zobowiązuje członków Sojuszu do rozwijania własnych zdolności obronnych.
Tymczasem te obowiązki powinny być na pierwszym miejscu, dopiero później oczekiwania. Europa o tym zapomniała. W efekcie dziś jest słaba. Przypomina wyskubaną kurę, która udaje koguta.

Ta słabość staje się coraz bardziej widoczna i rozgrywana przez innych, choćby przez USA w kwestii Grenlandii.
Dziś Europa zachowuje się jak osoba obudzona gwałtownie w środku nocy - jest w chaosie, nie wie, co się dzieje, ma problem z prawidłową oceną

rzeczywistości. Miło jej się spało i nie rozumie, czemu nagle musi opuścić ciepłe, przyjemne łóżko. Wyraźnie nie ma strategii, nie wie, co w obecnej sytuacji trzeba robić. Jedyne działania, jakie podejmuje, to różnego rodzaju przedsięwzięcia o charakterze propagandowym, czy PR-owym.

Nie tylko. Kraje europejskie skokowo zwiększają wydatki na obronność. Państwa UE stworzyły program SAFE służący poprawie ich zdolności wojskowych. Niemieckie Patrioty chronią lotniska w Jasionie. Trochę konkretnych decyzji jednak zapadło.
Tylko że to nie układa się w jasną, czytelną strategię. Europa przez wiele lat jak gdyby nigdy nic handlowała z Chinami i Rosją. W przestrzeni geopolitycznej długo nie przyjmowała w ogóle do swojej świadomości zmian, jakie zachodzą w jej otoczeniu. Jeżeli chodzi o zdolność do zapewniania sobie bezpieczeństwa, jest dopiero na początku drogi. Teraz szybko podejmuje różnego rodzaju decyzje, tworzy

jakieś programy - ale wszystko trzeba jeszcze zrealizować. Jaki z tym jest problem, widać choćby po kwestii zamrożonych funduszy rosyjskich, których ciągle nie udało się wykorzystać.

Użył Pan metafory o osobie nagle obudzonej w środku nocy. Tym budzikiem była rosyjska agresja na Ukrainę. USA pokazały akcją w Wenezueli, w jaki sposób interpretują geopolityczne zmiany na świecie. Jakie według Pana płyną wnioski z tej amerykańskiej interwencji?
Ona nie była przypadkowa. To była wypadkowa zmian, jakie zachodzą w przestrzeni geopolitycznej. USA utraciły pozycję globalnego hegemonu. Przestali być żandarmem świata, nie są już tak silni jak 20-30 lat temu. W przestrzeni geopolitycznej mamy dziś nowy układ, który ja nazywam „2 plus 2”.

Jak należy rozwiązać to geopolityczne równanie?
Na pierwszym poziomie są dwa supermocarstwa, czyli Stany Zjednoczone i Chiny. Pekin rośnie w siłę, kontroluje przepływ technologii, natomiast Amerykanie kontrolują przepływy finansowe poprzez dolara, który cały czas jest międzynarodową walutą rozliczeniową. Jednocześnie USA ciągle słabną, nie mają na tyle siły, żeby w przestrzeni geopolitycznej realizować swoje interesy poprzez samą swoją obecność.

Czy operacja w Wenezueli nie zaprzecza tej tezie? Przecież tą akcją USA pokazały, że wręcz tryskają testosteronem.
Owszem, pokazały. Tylko kto był ich przeciwnikiem? Słaba republika bananowa. Owszem, wspierali ją rosyjscy doradcy oraz dostarczony w ostatniej chwili sprzęt z Rosji - ale on nawet nie został w pełni zainstalowany. Pokonanie takiego przeciwnika nie jest żadną miarą. Tym bardziej, że wiele wskazuje na to, że po stronie wenezuelskiej doszło zwyczajnie do zdrady wobec Maduro.

Faktem jest, że Maduro nikt nie obudził, gdy Amerykanie nadlatywali.
A był na to czas. Kto wie, może nawet podrzucono mu przed snem tabletki nasenne.

Nawet jeśli, to łatwo znajdziemy przykłady podobnych operacji, które jednak zakończyły się dużo gorzej.
Skoro Amerykanie są tacy mocni, to niech spróbują podobnych działań przy poważnych przeciwnikach. Zobaczymy, jak wtedy im pójdzie. Nie wyciągałbym z akcji w Wenezueli dalekosiężnych wniosków. Oczywiście, sama operacja była godna podziwu, została sprawnie zaplanowana i przeprowadzona. Ale też świadczyła ona o tym, że Amerykanie musieli taką akcją przeprowadzić. Wcześniej podjęli próbę przekonania Maduro, żeby dobrowolnie

**NA NASZYCH OCZACH WŁAŚNIE
UPADA DOTYCHCZASOWY
PORZĄDEK ŚWIATA.
TAKŻE OBECNA ROLA NATO
I STANÓW ZJEDNOCZONYCH**

złożył rezygnację, chcieli ją przeprowadzić w białych rękawiczkach. Ale to im się nie udało, dlatego musieli tę operację przeprowadzić. Widać, że nie wszyscy boją się presji amerykańskiej.

Aresztowanie Maduro było też sygnałem wysłanym w stronę Putina i Xi?

Nie, tu chodziło tylko o Maduro. Z Putinem Trump rozmawiał na Alasce i w mojej ocenie w czasie tego spotkania uzgodnili nowy podział świata. W przestrzeni geopolitycznej wszystko już ustawione, a my dziś obserwujemy w dużej mierze grę pozorów.

Wszystko już ustalono? Od sierpnia, kiedy Putin i Trump rozmawiali w Anchorage, gramy znaczącymi kartami?

Może nie do końca, ale główne kwestie zostały ustalone. Moim zdaniem to nie przypadek, że nowa amerykańska strategia bezpieczeństwa została ogłoszona właśnie po tym spotkaniu. Wynika z niej, że Amerykanie zamierzają koncentrować swoją uwagę na zachodniej półkuli i zamierzają rugować w tej przestrzeni każdego, kto będzie w tym regionie budować swoją siłę.

Trump to nazwał „doktryną Donroe”.

Właśnie. Ale póki co mówimy o USA i Chinach, tymczasem w tym układzie „2 plus 2” ważne te mocarstwa, które tworzą tę drugą dwójkę. Chodzi mi o Rosję i Indie. Teraz idzie gra o względy tychże dwóch mocarstw. Nawet mniej o Indie, bo ten kraj ze względu na swoje geopolityczne położenie może rozgrywać i Amerykanów, i Chińczyków, ale też Rosjan. Natomiast Rosja jest kluczowa dla Chin.

Do czego? Konfrontacji z USA?

Chiny grają na osłabienie Stanów Zjednoczonych, a Stany Zjednoczone do osłabienia Chin. Ale w mojej ocenie do wojny pełnoskalowej między tymi krajami nie dojdzie. Konflikt między tymi krajami już trwa, ale jest prowadzony w innych przestrzeniach, choćby w przestrzeni informacyjnej, technologicznej, handlowej, itp. Na naszych oczach właśnie powstaje nowy podział świata między te dwa supermocarstwa. I w tej grze bierze udział cały świat. Wenezuela czy Grenlandia to tylko jej mały wycinek.

Przed chwilą powiedział Pan, że właściwie wszystkie kluczowe kwestie Putin i Trump uzgodnili między sobą na Alasce, a teraz obserwujemy głównie grę pozorów. Co oni

ustalili między sobą w kwestii Ukrainy?

Podczas tamtych rozmów temat Ukrainy był wątkiem pobocznym, jedną ze zmiennych.

Z perspektywy Polski dużo ważniejsza niż kwestia Wenezueli na przykład.

Owszem. Moim zdaniem już zapadła decyzja, że Ukraina nie odzyska tych terytoriów, które Rosja obecnie okupuje. Uważam, że Trump się zgodził podczas rozmowy z Putinem, że Rosja będzie władać z tym obszarem, który zdefiniowała w grudniu 2022 r. jako terytorium rosyjskie - chodzi o cztery obwody w Donbasie. Putin to mówi wprost, że to jego warunek zakończenia wojny. On moim zdaniem nie zgodzi się na żadne zawieszenie broni.

Czy Putin może się w ogóle zatrzymać? Rosja już funkcjonuje w trybie gospodarki wojennej, cały system władzy jest ustawiony pod konflikt na Ukrainie. Czy Kreml może sobie pozwolić na zakończenie wojny?

Ta teza powraca bardzo często, dla osób znających historię Europy wcale nie jest bezpodstawa. Właśnie trwały

dyskusje w Paryżu „koalicji chętnych” o gwarancjach bezpieczeństwa dla Ukrainy. Na zdjęciach to wyglądało pięknie, ale mam wrażenie, że nikt nie wziął pod uwagę, że Putin te ustalenia po prostu odrzuci - a wtedy cały plan leagne w gruzach.

Bo gwarancje bezpieczeństwa będą oznaczać przebywanie na Ukrainie wojsk z krajów NATO - a Putin nie zaakceptuje faktu, że żołnierze Sojuszu są tak blisko rosyjskiej granicy.

On wprost stawia jako warunek powrót do ustaleń z Aktu Rosja-NATO z 1997 r. I z tego punktu nie zrezygnuje.

Powrót do tych ustaleń oznaczałby na przykład zamknięcie amerykańskie bazy Radzików czy wycofanie niemieckich Patriotów z lotniska w Jasionce.

Dokładnie. Widać, że Ukraina wyjdzie z tej wojny bardzo osłabiona, straci część swojego terytorium. To będzie miało swoje konsekwencje, także społeczne. Jeśli Ukraina poniesie straty terytorialne, to Ukraińcy - przede wszystkim żołnierze walczący na froncie - będą pytać: po co właściwie

walczyliśmy przez te cztery lata. Przełoży się to na brak zaufania do rządzących. Decydenci w Kijowie też to biorą pod uwagę w kolejnych fazach negocjacji.

Sprzeczność. Generalnie cały czas jest więcej sprzeczności niż zbieżności przy tych rozmowach dotyczących zakończenia walk. Jak rozwiązać tę kwadraturę koła?

Dołożyłbym jeszcze jeden wątek. Jeśli kraje europejskie zaangażują się w misję pokojową na Ukrainie, to tym samym osłabiają własne możliwości obronne. USA chcą, żeby nastąpiła „europeizacja NATO”. Kraje europejskie muszą przede wszystkim odbudować własne zaplecze wojskowe, a nie wydawać pieniądze na rzecz Ukrainy. Im bardziej Europa angażuje się po stronie Kijowa, tym trudniej im zbudować własne zdolności militarne odstraszaające Rosjan.

Jeśli Europa potrzebuje czasu, by stać się samowystarczalną pod względem wojskowym i nie musieć się oglądać na Amerykanów?

W mojej ocenie 10 lat. Wcześniej będziemy zależni

od USA, a Trump wystawi za to rachunek - on to przecież jasno artykułuje, że to dla niego stało się biznesem, to też wynika ze strategii bezpieczeństwa USA. Taka sytuacja sprawia, że dziś wszyscy muszą się maksymalnie mobilizować. Pytanie, czy Europa do takiej mobilizacji jest zdolna.

Czy to ostatnie spotkanie w Paryżu przywódców krajów „koalicji chętnych” było dla Pana sygnałem, że Europa rozumie powagę sytuacji?

Nie. Z jednej strony Europa wspiera Ukrainę, mówi, że nie powinna ona zrobić ani kroku do tyłu, a Rosja jako agresor nie może stawiać żadnych warunków. Europa przekonuje też, że będzie w stanie udzielić Kijowowi gwarancji bezpieczeństwa. Ale pytanie, jaką formę przyjmie tryb wykonawczy tych gwarancji: kto to zorganizuje, kto będzie dowodził, jak to się przełoży na zdolności obronne krajów wschodniej flanki NATO, biorąc pod uwagę, że Rosja może zaatakować właściwie w każdej chwili kraje nadbałtyckie. Czy, jeśli to nastąpi, Europa będzie w stanie im pomóc? Bo nie spodziewam się, żeby USA przyszły im z pomocą.

Kraje bałtyckie należą do NATO. Jeśli nie zostanie im udzielona pomoc, będzie to oznaczało koniec Sojuszu. A co się stanie, jeśli Stany Zjednoczone zajmą Grenlandię?

Marco Rubio powiedział, że USA planują tę wyspę „raczej kupić”. Oczywiście, gdyby przejęli ją zbrojnie, to też by oznaczało koniec NATO.

Nie wykluczałbym takiej sytuacji. Podobnie jak Rosja zmierza do tego, żeby przetestować zbrojnie NATO. Wyrazem tego jest wojna hybrydowa, jaką prowadzą z całą Europą. Tymczasem nasza strona nie podejmuje żadnych działań odwetowych, nie ma żadnej strategii postępowania w tej sytuacji. To sygnał, że NATO nie ma zdolności odstraszenia, jeśli chodzi o wojnę hybrydową. Dlatego właśnie spodziewam się, że do ataku na kraje bałtyckie dojdzie. Zostanie zajęta jedna albo dwie miejscowości - i Rosjanie się zatrzymają, przyglądając się, jaka nastąpi na to reakcja.

W 2024 r. kraje NATO ustaliły, że także uderzenia hybrydowe mogą być podstawą do uruchomienia artykułu piątego.

I ktoś już podjął jakieś działania z tego wynikające?

Widocznie obecne działania hybrydowe zostały uznane za działania poniżej progu wojny hybrydowej.

Spodziewam się następującej sekwencji zdarzeń. Rosjanie jeszcze jakiś czas poczekają na wynik rozmów w sprawie Ukrainy. Ale jeśli w tym czasie nie uda się ich zakończyć na warunkach, które oni stawiają, to Kreml przetestuje kraje bałtyckie. I nie spodziewam się, żeby jakiś kraj NATO był gotowy pójść na wojnę z Rosją.

Innymi słowy to Rosja cały czas będzie nadawać ton zdarzeniom w geopolityce.

Tak, ten kraj cały czas ma inicjatywę. Na razie prowadzi wojnę pozycyjną na Ukrainie, ale za jakiś czas przejdą w rejon bałtycki. Zacznie się tam od działań hybrydowych, z czasem one będą eskalować - a Moskwa będzie analizować, jak NATO reaguje. Tymczasem kraje Sojuszu nie zareagują, bo nie są do tego gotowe. Przede wszystkim społeczeństwa europejskie nie są przygotowane do takiego wysiłku, jakiego wymagają poważne przygotowania do wojny.

Tyle że brak reakcji na uderzenia na kraje bałtyckie będzie oznaczał dalsze działania Rosji. Znow aktualny stanie się cytat z Churchilla: „Mieliście do wyboru hańbę albo wojnę. Wybraliście hańbę, a wojnę i tak będziecie mieli”.

Tyle że Europa nie jest dziś wystarczająco skonsolidowana, by zareagować inaczej. Ona musi podejmować działania zmierzające do tego, żeby zbudować własną siłę oraz wypracować strategię jej wykorzystywania. Rosję można odstraszać tylko wtedy, gdy się uda wypracować ofensywną doktrynę obronną, czyli przenoszenia obrony na terytorium agresora. Tyle że do takich działań są potrzebne przygotowania uwzględniające terytorium przeciwnika, jego wielkość, zdolności. Tylko w ten sposób uda się skutecznie odstraszyć Rosję. Zresztą tak naprawdę i tak czekają nas daleko idące globalne wstrząsy. Na naszych oczach upada dotychczasowy porządek świata, także obecna rola NATO i Stanów Zjednoczonych. Na tych gruzach powstanie - ale dziś nie wiemy, jaki ostatecznie przybierze on kształt.

CV

Leon Komornicki

Generał dywizji Wojska Polskiego w stanie spoczynku. Przewodniczący zarządu Fundacji Poległym i Pomordowanym na Wschodzie. Współtwórca Pomnika Poległym i Pomordowanym na Wschodzie. Prowadzi firmę doradczą



Gen. Komornicki: To nie przypadek, że nowa amerykańska strategia bezpieczeństwa została ogłoszona po spotkaniu Trumpa z Putinem na Alasce

FOT. JULIA DEMAREE NIKHINSON/ASSOCIATED PRESS/EAST NEWS

Czy emocje, jakie towarzyszyły kilkanaście lat temu panu polskiemu debiutowi, „Sali samobójców”, są porównywalne do tych, jakie towarzyszą panu amerykańskiemu debiutowi, filmowi „Rocznica”?

Są różne. W przypadku „Sali samobójców” byłem kompletnie pozbawiony skorupy, jaką daje obycie i robienie filmów. To był mój pierwszy film. Szalenie mnie dotknął, bardzo mocno oddziaływała na mnie reakcja publiczności. Nie umiałem tego przefiltrować. To było emocjonalne zderzenie ze sobą dwóch pociągów. Dzisiaj jest pod tym względem lepiej. Mam więcej doświadczenia i wiem, po co robię pewne rzeczy. Tak „Rocznica” jest moim anglojęzycznym debiutem i tak jest ten film traktowany w świecie. Jest to rodzaj innej kategorii kina. Ostatnio widziałem kompilację filmów reżyserów nieanglojęzycznych, w której znalazł się też fragment „Rocznicy”. Były to fragmenty raczej udanych filmów, co było dla mnie miłe. „Anniversary” [ang. tytuł „Rocznicy”] jest w stu procentach próbą hollywoodzką. Wjechałem prosto polską ciężarówką do hollywoodzkiego studia. Nie było żadnego brania jeńców, tylko zderzenie estetyki hollywoodzkiej z moją polską. Wychowałem się na filmach hollywoodzkich, dlatego łatwiej mi się rozmawiało z Amerykanami. Język, który próbowałem w „Sali samobójców” i w wielu reklamach, teledyskach, jest w Stanach zupełnie zrozumiały. Nie byłem dla nich zbyt arthouse’owy czy też zbyt europejski i enigmatyczny, gdyż mam rockandrollową wrażliwość. To ona ich zaciekaawiła.

Najpierw napisał pan nowelę filmową „Rocznica”. Czy powstała z myślą o zagranicznym producencie, czy jednak polskim?

Gdy myślę o polskich filmach, zaczynam prowokować swój umysł, by myśleć o nich jak o amerykańskich. Czy film „Dług” Krzysztofa Krauzego mógłby być amerykańskim filmem? Tak. Dlaczego go nie zrobić dzisiaj na nowo? Czy „Wieża. Jasny dzień” Jagody Szalc, fantastyczny intymny horror może być amerykański? Może być. Film Macieja Pieprzycy „Jestem mordercą” też mógłby mieć wersję amerykańską. Otworzyło mi się w głowie, że nasze, dobrze przefiltrowane koncepty można połączyć z estetyką hollywoodzką, przełożyć na język angielski. Jestem podekscytowany takim myśleniem. Ciągle siedzę w kulturze anglojęzycznej, przynajmniej od „Sali samobójców”. Ciągle szukam sposobu przetransmisowania naszej polskiej

KOMASA: WJECHAŁEM POLSKĄ CIĘŻARÓWKĄ DO HOLLYWOODZKIEGO STUDIA

– Opowiadam o buncie przeciw establishmentowi na zasadzie wywrócenia stolika – mówi Jan Komasa o pierwszym swoim amerykańskim filmie „Rocznica”

Piotr Samolewicz

i środkowoeuropejskiej wrażliwości na inne kraje...

Nie rezygnując z niej?

W ogóle. Wręcz przeciwnie, bo nie byłoby to sexy. Nie nie się drewna do lasu, tylko trzeba wnieść polskie pierogi. Jednocześnie powiedzieć coś ciekawego o amerykańskości, to, czego oni sami nie widzą. Wziąłem moje/nasze doświadczenie wywiedzione z kina z PRL. W naszym DNA płyną sceny z Adamem Ferencym i Januszem Gajosem, przesłuchujących Krystynę Jandę w „Przesłuchaniu” i zrobiłem w „Anniversary” podobną scenę. Najpierw jest miło, przesłuchujący chcą się zaprzyjaźnić z małżeństwem Ellen i Paula, jest gadanie o kawie, a potem przestaje być miło, bo na stole pojawiają się dokumenty o współpracy do podpisania. Chciałem zobaczyć też faszyzm z dziwną flagą, niby amerykańską, a wcale nie amerykańską.

Jak współpracowało się panu z amerykańską ekipą?

Początkowo chcieliśmy kręcić w Waszyngtonie, bo akcja „Rocznicy” dzieje się w tym mieście, ale Stany są drogie, a my nie mieliśmy takiego budżetu. Potem zrobiliśmy budżet na Kanadę, ale cały czas był ponad nasze możliwości, bo mieliśmy 11 mln dol. Wtedy padła rewolucyjna propozycja: co by się stało, gdybyśmy nakręcili w UE. Stało się na Dublinie, bo jedynym państwem anglojęzycznym w UE jest Irlandia, gdzie Hollywood kręci non stop, korzystając z unijnych upustów. W Irlandii Polacy są drugą narodowością, więc z Irlandczykami miałem najlepiej na świecie. Dogadywałem się z nimi także pod względem Guinnessa, którego po raz pierwszy piłem w Dublinie.



Jan Komasa ma w dorobku m.in. filmy: „Miasto ‘44”, „Sala samobójców”, „Boże Ciało”, „Sala samobójców. Hejter”

Natomiast z Amerykanami cały czas współpracuję, bo promujemy film. Amerykanie działają na bazie czegoś, co bym nazwał „momentum”. Momentum jest dla nich religią. Jest jak gotowość. Trzeba być cały czas gotowym na cokolwiek, co może się wydarzyć w twoim życiu. Nie mo-

żesz spokojnie umówić się na jakiś projekt, jak w Europie, tylko chodzić za nim, rozmawiać i wierzyć, że powstanie. Jeśli projekt będzie realizowany, tzn. że miałeś rację, a jeżeli nie, tzn. że jej nie miałeś. Nie wolno być sfrustrowanym, trzeba fake it till you make it, czyli udawać tak

TRZEBA BYĆ CAŁY CZAS GOTOWYM. BO NIE WIADOMO, KIEDY TEN POCIĄG PRZYJEDZIE. A GDY PRZYJEDZIE, TO ZATRZYMA SIĘ NA KRÓTKO

Polska
Piątek–niedziela, 9–11.01.2026

długo, aż coś się stanie. I na tym polegają Stany.

Cały Hollywood rządzi się tą zasadą momentum?

Tak. Nauczyła mnie ona tego, że trzeba być cały czas gotowym. Bo nie wiadomo, kiedy ten pociąg przyjedzie. A gdy przyjedzie, to zatrzyma się na krótko. Trzeba być gotowym na ten moment. Wskakujesz do pociągu, fantastycznie, mówiłem, że się tak wydarzy. Kiedy już jedziesz, nie masz ani chwili odpoczynku. Tak też się stało z „Anniversary”. Tak długo jeździłem od premiery „Sali samobójców” do Stanów, aż się okazało, że jesteśmy z „Bożym Ciałem” [trzeci film fabularny w dorobku reżysera – ps] na short liście do Oscarów, potem dostaliśmy nominację. I wtedy obejrzałem się za ramię i zobaczyłem, że złoty pociąg stoi na stacji. Stał tylko 3 minuty. Producenci rozdzwonili się do mnie z pytaniem, co mam? Miałem jeden z wielu projektów o nazwie „Rocznica”. Opowiadał on o rodzinie, która co roku spotyka się w jednym miejscu dla uczczenia różnych rocznic, a w tym czasie zaczyna zmieniać się system polityczny, tak jak w latach 30. w Niemczech przed nocą kryształową. Pomysł spodobał się. Kupił go ode mnie w 2019 roku. Parę miesięcy później pracowałem nad nim ze scenarzystką wyłonioną w castingu, Lorie Rosene-Gambino. W czerwcu 2020 roku mieliśmy gotowy tekst. Jeszcze na fali popularności „Bożego Ciała” podtrzymanej przez sukces „Hejtera”, który jako pierwszy polski film wygrał Tribeca Film Festival, scenariusz „Rocznicy” trafił na biurko Diane Lane i stał się pierwszym jej producenckim projektem. Gdy zgodziła się na ten film, zgodzili się też inni, w tym znani aktorzy.

Czy „Rocznica” jest filmem politycznym, czy filozoficznym, alegorycznym?

Jest to film pseudopolityczny. Tworzymy w nim swoją własną rzeczywistość, dlatego nazywamy go dystopią. Ona jest prawie jak nasza, ale nie do końca, bo przesunięta. Tworzymy korytarz dla widza między dzisiejszą rzeczywistością a rzeczywistością na ekranie. Tworzymy fragment wolności dla wyobraźni widza, by wypełnił ten korytarz sobą, swoimi strachami, lękami. Tak jest pomyślana każda dystopia. W „1984” Orwella widzimy ten sam zabieg. Każda opcja polityczna, zarówno lewicowa, jak i prawicowa, może traktować „1984” Orwella jako fantastyczną książkę o tym, jak nasi oponenci mogą doprowadzić nasz kraj

do upadku. Dlatego że dystopia pokazuje zmyśloną rzeczywistość, ale mając pewne cechy prawdopodobieństwa. Tak też jest pomyślany mój film, by spowodować efekt zwany incredible valley (niesamowitą doliną), kiedy odczuwamy niepokój, że prawie coś znamy, ale nie do końca. Można to przyrównać do spotkania człowieka, który niby jest podobny do nas, ale ponieważ ma troje oczu, to nas przeraża. W moim filmie pokazujemy niby flagę Stanów Zjednoczonych, ale jest ona nieco inna, niż powinna być. Z tego powodu nasz mózg się buntuje i próbuje znaleźć rozwiązanie, dlaczego tak się dzieje.

I znów pokazuje pan młodych bohaterów, którzy działają radykalnie, ostro. Z czego czerpie pan ten motyw: z własnego życia, literatury, kultury?

Opowiadam o buncie przeciw establishmentowi na zasadzie wywrócenia stolika, a to wywrócenie odbywa się z wykorzystaniem najbliższych osób. Polacy wiedzą, czym są zmiany polityczne, bo przez ostatnie 120 lat mieliśmy wiele różnych zmian, a każda sobie przeczyła, jak kapitalizm zaprzecza komunizmowi. Moi dziadkowie, moi rodzice przeżywali co 20-30 lat totalną zmianę, zastanawiali się, po co uczyć się jednego systemu, skoro zaraz przyjdzie następny. I to w Polakach wytworzyło tolerancję na zmiany. W „Rocznicy” zmianą jest przez duże „Z” i oznacza jakąkolwiek zmianę. Zmiany mają to do siebie, że korzystają na nich sfrustrowani i skrzywdzeni, ci, którym nie wyszło w poprzednim systemie. Kto podejmuje pomysł wywrócenia stolika? Ci, którzy nie dostali się w piątek na urodziny kogoś ważnego, bo nie zostali na nie zaproszeni. Ci odrzuceni teraz wracają i tak ustawiają rzeczywistość, że nie będą nikogo wpuszczać na urodziny. Chcą poczuć się tak jak ci, których nienawidzą za to, że nie zostali przez nich kiedyś dopuszczeni.

Czy polski kontekst jest ważny?

Bardzo ważny. Recenzenci amerykańscy podkreślają, że o tym filmie można różnie myśleć, ale trzeba dać kredyt zaufania reżyserowi z Polski, który jeśli nie przeżył tego na własnej skórze, to na pewno przeżył to jego rodzice. Ma to w DNA. Jeśli ktoś coś ma do powiedzenia o autorytaryzmach, to właśnie on. W wielu amerykańskich recenzjach pojawia się mój biogram, który legitymizuje ten film. Amerykanie oglądają Stany Zjednoczone odbite w polskim lustrze.

NARODOWA LISTA

~~ZMARTWIEN~~

(KOLEJNOŚĆ PRZYPADKOWA)

1. ZDROWIE
2. BEZPIECZEŃSTWO
3. PIENIĄDZE
4. BEZPIECZEŃSTWO
5. PIENIĄDZE
6. ZDROWIE
7. PIENIĄDZE
8. ZDROWIE
9. BEZPIECZEŃSTWO

Marek Twaróg

JAK PORÓWNAĆ PREMIERA DO MADURO I CZUĆ SIĘ DOBRZE



Tomasz Sakiewicz, Izabela Kloc i inni prawicowi działacze porównali w mediach społecznościowych Donalda Tuska do wenezuelskiego dyktatora Nicolasa Maduro. Sakiewicz czy Kloc to tylko symbol pewnej metody - całego sposobu myślenia po prawej. Prawo nie ma znaczenia, bo siła ma znaczenie, media nie mają znaczenia, bo propaganda ma znaczenie, zasady nie mają znaczenia, bo biznes i pieniądze mają znaczenie.

Ustalmy od razu: jeśli pani posłanka Kloc czytała rocznemu wnukowi książkę Kaczyńskiego i była tym chwycona tak bardzo, że pochwaliła się na Facebooku, to dlaczego nie miałyby teraz uważać Tuska za drugiego Maduro? I jeśli Sakiewicz na okładce swojego periodyku dał trzy lata temu Tuska z podpisem „Gott mit uns”, to dlaczego teraz nie miałby marzyć, by Trump porwał polskiego premiera i wywiózł go z kraju?

To oczywista oczywistość - cytując idola Kloc i Sakiewicza - że oboje doskonale odnajdują się w świecie braku zasad, ignorowania prawa, w tym prawa międzynarodowego, zamulania wszelkich zasad etycznych. Donald Trump spadł im z nieba. Już w czasie pierwszej prezydentury nauczył ich wiele: od szantażowania niepokornych wobec ideologicznych wariactw wielkich miast, przez obdarowywanie swoich faworytów funduszami federalnymi, aż po brutalną walkę z imigrantami czy zakwestionowanie zmian klimatycznych. W drugiej dołożył jawną niechęć do Unii Europejskiej czy uległość wobec wschodnich satrapów, a nienawiść do mediów osiągnęła stan patologiczny.

Wypisz-wymaluj program prawicowych radykałów przełożony na swój buraczany sposób na realia polskie, a może wszechpolskie. Wszystko to znaliśmy nad Wisłą w pewnym wymiarze, ale dopiero teraz metoda ta otrzymała legitymację światowej potęgi i ma swojego prawdziwego lidera. Mamy więc ruską propagandę, która wpływa na biedne umysły nie tylko Braunowców i maści im spokój ducha. Mamy boty i farmy trolli wzmacniające polsko-polską wojnę, mamy głupkowate kanały na YT, które dają głos wariatom, mamy podważanie społecznego konsensusu, mamy wreszcie wynajętych przez Putina bandytów od pożarów i podkładania bomb pod pociągami.

Wszystko to zło, tam mamy wroga. Ale Polskę rozkręcali i rozkręcają śruba po śrubie także ci, którym przywódca mocarstwa i nasz sojusznik dał gwarancję dobrego samopoczucia. Najpierw pokazał, że można kwestionować każdy porządek, potem nauczył uprawiania pseudopolityki albo realpolityki, a dziś daje glejt na takie poczynania.

Adam Bula

UMRZEMY ZA GRENLANDIĘ CZY ODDAMY KORYTARZ?



Za komuny modny był żart, że PRL powinien wypowiedzieć wojnę USA, a potem natychmiast się poddać. To było nawet dość śmieszne za późnego Gierka i smętną dekadę Jaruzela. Trochę mniej śmieszne jest, że po 40 latach pomysłu, żeby Polska została kolonią Stanów, podoba się połowie naszej tzw. klasy politycznej.

Dla porządku zaznaczmy, że według tej połowy - z grubsza to PiS i Konfederacje -wiernopoddanych sojusz z Ameryką Trumpa to odpowiedź na zdradzieckie działania tej drugiej połowy - z grubsza to Tusk i cała Koalicja 15 X - którzy robią z Polski kolonię niemiecką, wiernie realizując nad Wisłą interesy „Brukseli”.

Zauważyliście? - nie ma tu w ogóle miejsca na wizję Polski, która rządzi się we własnym interesie i możliwie samodzielnie, bez „mocnych” patronów. Może dlatego między zwolenników „tylko Ameryki” a „Unii przede wszystkim” tak zgrabnie wbija się skrajne skrzydło Korony Polskiej Brauna i rzesza niszowych dotąd, dziwnych ludków z hasłem: „hej, a wielka i słowiańska Rosja? Musimy się po polexicie na nowo dogadać z Rosją, bo nasz odwieczny wróg to Ukraińcy”.

Prawdziwe zamieszanie zacznie się, gdy Donald Trump ruszy po Grenlandię. A pewnie ruszy szybciej, niż zamierzał, bo z każdą zastrzeloną jak pies białą kobietą w Minneapolis potrzebował będzie bardziej „sukcesów” za granicą. Błyskotliwa, nokautująca akcja amerykańskich sił zbrojnych w Wenezueli z pewnością dodała też jego administracji animuszu.

No więc tak: jak przyjdzie co do czego, to wysyłamy Formozę na pomoc Duńczykom czy oddajemy znów GROM do dyspozycji Amerykanów, by pomogli w lądowaniu ich sił specjalnych. Marynarki lepiej nigdzie nie wysyłajmy, bo dopiero mamy ją mieć. Wojskowi mają cywilne zwierzchnictwo, więc czekają nas wtedy dwa następujące po sobie orędzia do Narodu i nie do końca jest pewne, co w nich usłyszymy. Bo generalnie sprawa dla nikogo nie będzie prosta: NATO nie ma żadnych procedur na wypadek konfliktu zbrojnego między dwoma jego członkami. Po prostu zamiast wałkować art. 5 Paktu - pomoc dla zaatakowanego

członka Sojuszu, wałkowany będzie art. 1, który wojny w rodzinie zabrania.

No ale to przecież nie będzie wojna: Amerykanie nie muszą najeżdżać wyspy, wystarczy, że radykalnie i bez zgody Danii powiększą swój personel wojskowy w bazie lotniczej, którą mają tam od połowy XX wieku.

To oczywiście czysta spekulacja. Znacznie ciekawsze są dziś spekulacje, kto lub co było na pustym tankowcu rosyjskiej floty cieni, który z Iranu płynął sobie do Wenezueli, ale nie dopłynął, tylko nawiewał przez Atlantyk, ścigany przez Amerykanów, którzy ostatecznie zrobili jego abordaż, zanim Rosjanie mogli go skutecznie ochronić na Morzu Barentsa. To musiało być coś więcej wartego dla Rosjan niż cała legenda floty cieni, skoro na koniec próbowali się ratować, wciągając tankowiec pod swoją oficjalną banderę.

Spokojnie - nikt nie ma pojęcia, o co tam chodziło. Jasne za to jest, że Amerykanie weszli w fazę ostrego prężenia mięśni, przekazując komunikat, że mogą robić, co chcą i gdzie chcą. Złośliwi zauważają jednak, że nie dotyczy to tylko Chin i kwestii Tajwanu, bo tam może być akurat zupełnie odwrotnie. Ale pewne jest tylko jedno: po zaledwie tygodniu nowego roku wiadomo już, że to będzie ekstremalnie... ciekawy rok. A jak my jesteśmy na niego gotowi?

Dominik Tarczyński, teoretycznie nadal z PiS, choć już naprawdę mógłby zrzec się polskiego obywatelstwa, publicznie klaszcze agentom służb imigracyjnych ICE z Minneapolis. Patrząc na niego, mam wrażenie, że marzeniem Tarczyńskiego jest zrobienie sobie niedźwiedzia z głębokim całusem z Trumpem, tak jak to udawało się naszym kiedyś z Breżniewem. W każdym razie inni PiS-owcy, którzy w tym czasie wieszczyli Tuskowi, że będzie następny po dyktatorze Wenezueli, to przedszkole.

Trzon partii PiS próbuje w tym czasie coś politycznie ugrać na tragedii zgwałconej policjantki z Piaseczna, doprowadzając szefa MSWiA Marcina Kierwińskiego do stanu, w którym z mównicy sejmowej apeluje: puknijcie się w czoło, pisowskie hieny...

Na szczęście ten pierwszy tydzień nowego roku zakończy spotkanie prezydenta i premiera, na którym ustalą, czy są w stanie cokolwiek między sobą ustalić.

Nie łudźcie się jednak: szaleństwo świata nie jest dość dobrym powodem, by jakiś polski polityk zaczął się kierować nie partyjnym interesikiem, tylko... polską racją stanu. To zwyczajnie za trudne dla ludzi o mentalności wasali.

Niezależnie od emocji politycznych wewnątrz kraju w kwestii bezpieczeństwa będę namawiał prezydenta, żeby wykorzystał, jak najlepiej potrafi, swoje relacje z administracją amerykańską i prezydentem Donaldem Trumpem i dlatego będę proponował, żebyśmy budowali synergii i pełną koordynację

FOTOkomentarz tygodnia



7 STYCZNIA, POZNAŃ

Nie jest aż tak zimno, by pisać o „zimie stulecia” (choć na Hali Izerskiej temperatura spadła do $-31,7$ st. C), ale na pewno tegoroczna zima to jedno z największych zaskoczeń tej dekady. Ostatnie zimy były ciepłe, wydawało się już, że duża część Polski śnieg będzie mogła oglądać tylko na starych zdjęciach, tymczasem teraz pokrywa śnieżna sięga nawet 35 cm. Ale dzięki temu możemy obserwować tak piękne zjawiska przyrody, jak tworzenie się kry. Na zdjęciu obok widać śryż (czyli załączek kry) na rzece Warta w Poznaniu

FOT. PAP/IAKUB KACZMARCZYK



5 STYCZNIA, NOWY JORK **Uprorowadzony przez Amerykanów z domu w Caracas były prezydent Wenezueli Nicolás Maduro stanął przed sądem w USA. Prokuratorzy postawili mu i jego żonie zarzuty wysyłania narkotyków do Ameryki. Obalony przywódca nie przyznał się do winy. Jego rozprawa ruszy 17 marca**

FOT. XINYSTAR MAX/IPX/ASSOCIATED PRESS/EAST NEWS



6 STYCZNIA, PARYŻ **Emmanuel Macron dyskutował z liderami krajów „koalicji chętnych” o gwarancjach dla Ukrainy, choć premier Danii Mette-Frederiksen pewnie woli dyskusję o gwarancjach dla Grenlandii**

FOT. PAP/EPA/TERESA SUAREZ



7 STYCZNIA, SAINT-TROPEZ **W nietypowej trumnie wykonanej z wikliny w swoją ostatnią drogę wyruszyła Brigitte Bardot. Aktorkę żegnały tłumy fanów, rodzina, ludzie sztuki, ale też polityki**

FOT. VALERY HACHE/APPE/EAST NEWS

ROK 2025 NIE BYŁ ZŁY. I BYLE 2026 NIE BYŁ GORSZY

Rok, który minął, większość z nas uważa za udany – tak w sferze prywatnej, jak i zawodowej. W roku 2026 najbardziej obawiamy się problemów z dostępem do służby zdrowia, pogorszenia zdrowia własnego lub bliskich. Sen z powiek spędza nam to, co dzieje się na świecie: wojny, konflikty, niepewność. Polityczna sytuacja w kraju też nie nastraja optymizmem. Byle więc ten nowy rok nie był gorszy niż 2025

Dorota Kowalska

Marta, 28 lat, pracownik korporacji. A oprócz tego zapalona ekologka, fanka polskich siatkarzy i butów na koturnie. Na początku zeszłego roku zrobiła sobie tabelkę i wypisała rzeczy, które chce zrobić w 2025 roku. I tak postanowiła wreszcie zdać egzamin na prawo jazdy, przejechać sobie uszy, dwa razy wyjechać gdzieś na urlop, upiec dwa ciasta – to tylko kilka z punktów zapisanych na białej kartce.

– Prawie wszystko zrealizowałam! – wykrzykuje. Chodzi na kurs prawa jazdy, uszy przekłute, majątkę spędziła na Mazurach, w sierpniu pojechała na Fuerteventure, upiekła dwa ciasta, zrobiła swoje urodziny, zaczęła chodzić na siłownię, przeczytała tyle książek, ile sobie założyła. Dużo.

– W sumie to był udany rok. Zawsze mogłoby być oczywiście lepiej, ale nie ma co narzekać – mówi.

Znajomi też są zadowoleni. Marta zrobiła wreszcie remont mieszkania, dostała je po rodzicach i wymagało gruntownego odświeżenia, Alicja poszła na studia podyplomowe jak chciała, Maciek dostał podwyżkę, chociaż i tak jako informatyk zarabia dużo więcej niż ona, Pola wreszcie dostała pracę, o jakiej marzyła. W każdym razie przestała kelnerować.

– Nie przydarzyło mi się też nic złego: wszyscy w rodzinie są zdrowi, nikt nie miał wypadku samochodowego, nie połamał nóg ani ręk, nie zachorował. W sumie moja rodzina też nie powinna narzekać – opowiada.

I dodaje, że jednej rzeczy nie udało jej się zrealizować: zmienić pracy. To zadanie na ten rok. Poza tym założyła sobie, że w 2026 poleci gdzieś poza Europę, ale to już załatwione: lot wykupiony, mieszkanie zabukowane, plan wycieczki opracowany w najmniejszych

szczeółach – w lutym dwa tygodnie spędzi w Azji.

Marta nie jest wyjątkiem, bo teraz trochę liczb. Jak wynika z najnowszego badania CBOS, Polacy oceniają 2025 rok w wymiarze osobistym, zawodowym oraz w odniesieniu do Polski i świata generalnie lepiej niż 2024 rok, choć – umówmy się – poprawa jest niewielka.

Ponad trzy piąte badanych (62 proc.) stwierdziło, że rok 2025 – najogólniej rzecz biorąc – był dla nich dobry. Jednak zaledwie 7,9 proc. ankietowanych uznało mijający rok za bardzo dobry dla siebie.

Mimo iż łączny odsetek dobrych ocen roku 2025 jest minimalnie wyższy niż w odniesieniu do roku 2024 (wzrost o 1,9 pkt proc.), to ubyło ocen dobrych (spadek o 3,4 pkt proc.), a przybyło dość dobrych (wzrost o 4,9 pkt proc.).

Na ubiegłorocznym poziomie w odniesieniu do wymiaru osobistego utrzymuje się odsetek wskazań oceny „ani dobry, ani zły” (obecnie 27,4 proc.). O 1,8 pkt proc. ubyło natomiast ocen negatywnych (obecnie 10,3 proc.). W niemal równym stopniu ubyło wskazań odpowiedzi „bardzo zły” i „zły” (łącznie o 1 pkt proc.), „raczej zły” (spadek o 0,8 pkt proc.).

„W dłuższej perspektywie warto też zauważyć, iż generalnie od 2005 do 2025 roku nieustająco dominowały grupy respondentów oceniających, że mijający rok był dla nich dobry. Ten okres względnej prosperity Polaków zbiega się z przynależnością Polski do Unii Europejskiej” – ocenili autorzy badania.

PONAD TRZY PIĄTE BADANYCH (62 PROC.) STWIERDZIŁO, ŻE ROK 2025 BYŁ DLA NICH DOBRY. ZALEDWIE 7,9 PROC. ANKIETOWANYCH UZNAŁO GO ZA BARDZO DOBRY

Gospodarka ma się dobrze

Justyna, 48 lat, zamężna, dwójka dzieci. Razem z mężem prowadzą własną firmę, Adam i Marcelina, ich pociechy, chodzą do szkoły średniej. Mają jeszcze Koksę, owczarka niemieckiego i małą kotkę, Rudą.

– Myślę, że rodzina jest dla mnie najważniejsza. Oczywiście, zdrowie to podstawa. Ale ważne są relacje między nami i dziećmi, atmosfera panująca w domu. Póki co, dogadujemy się świetnie i w 2025 roku nic się w tej kwestii nie zmieniło – wylicza. Mają sporą grupę znajomych, często się spotykają, wyjeżdżają razem na wakacje. To też dla nich ważne.

– Podobnie jak praca. Nie wyobrażamy sobie, żeby robić coś, czego nie lubimy. W końcu spędzamy w swojej firmie ponad osiem godzin dziennie. Uważam, że praca powinna inspirować, motywować, powinna pozwolić na rozwój, to jednak istotny aspekt życia. W naszym przypadku wciąż tak jest – uważa. Zarabiają tyle, że wystarcza na zajęcia dodatkowe dzieci, wspólny wakacyjny urlop. Zimowy zawsze spędzają tydzień w Beskidach, syn i córka jeżdżą na snowboardzie, ona z mężem na nartach.

– Prowadzimy normalne, przeciętne życie, bez luksusów, bez szaleństw, ale stać nas na to, żeby nasze dzieci rozwijały swoje zainteresowania, żebyśmy gdzieś wyjechali, coś zobaczyli. Staramy się nie szastać pieniędzmi – mówi.

W 2025 roku spędzili z dziećmi wakacje na Majorce,

kupili trochę nowych sprzętów do domu, wymienili stary piec i pralkę.

– Nie robimy sobie jakichś wielkich planów na ten rok – zauważa. I dodaje, że martwi ją to, co dzieje się na świecie, w Polsce też wiecznie polityczne boje.

Ale też gdybyśmy chcieli podsumować 2025 rok, to w światowej polityce bez dwóch zdań został on zdominowany przez powrót Donalda Trumpa do Białego Domu. Do tego wojna na Ukrainie, decyzje Unii Europejskiej, rosnąca potęgą Chin oraz eskalacja konfliktów na Bliskim Wschodzie zmieniły globalny układ sił. W Polsce nowym prezydentem został Karol Nawrocki, który wygrał w II turze wyborów z Rafałem Trzaskowskim. W siłę rośnie skrajna prawica: tak Konfederacja jak Grzegorz Braun.

Co do gospodarki, rok 2025 był dla niej przełomowy: wzrosło PKB, konsumpcja, poziom inwestycji, wzrosły płace, choć wolniej niż w 2024 roku, spadła inflacja. Niestety, wzrósł dług publiczny. Polska dołączyła jednak do grona gospodarek z PKB powyżej 1 biliona dolarów, jest dzisiaj dwudziestą gospodarką świata.

Wracając do raportu CBOS, niemal tyle samo badanych mijający rok uważa za dobry dla Polski (35,7 proc.) co tych opisujących go jako „ani dobry, ani zły” (35,4 proc., wzrost o 2,1 punktu). Wśród ocen pozytywnych przybyło przede wszystkim dobrych i bardzo dobrych (łącznie o 2 pkt proc.). W porównaniu z poprzednim rokiem ubyło ocen negatywnych (25 proc., spadek o 2,9 pkt proc.).

W odniesieniu do świata większość badanych (55,9 proc.) uważa, że rok 2025 był dla świata zły. Jest to nieznacznie mniej niż w odniesieniu do roku ubiegłego (spadek o 1,4 pkt proc.).

pozytywne oceny wystawiło mu jedynie 12,7 proc. respon-

dentów, czyli tylko nieznacznie więcej niż przed rokiem (wzrost o 1,4 pkt proc.). W porównaniu z poprzednim rokiem nieznacznie przybyło też uważających mijający rok za „ani dobry, ani zły” (24,4 proc.).

„Rok 2025 jest w ocenie badanych jednym z siedmiu najgorszych dla świata w okresie objętym badaniami, czyli od roku 1986. Wyniki dotychczasowych badań pokazują, iż – w odbiorze Polaków – pandemia COVID-19 rozpoczęła trwający już sześć lat okres złej passy dla naszego globu, a pierwszy rok wojny na Ukrainie skutkowało jeszcze okresowym pogłębieniem negatywnych nastrojów” – podkreślili autorzy.

Respondenci pracujący zarobkowo, choćby w niepełnym wymiarze godzin, oceniali także, jaki był upływający rok dla ich zakładów pracy. 64 proc. uznało go w tym wymiarze za – najogólniej rzecz biorąc – dobry. Pozytywnych ocen jest więcej o 5,3 pkt proc. niż rok temu, przy czym przybyło przede wszystkim bardzo dobrych i dobrych (łącznie o 4,4 pkt proc.).

Na poziomie zbliżonym do ubiegłorocznego kształtuje się odsetek badanych uważających mijający rok za zły dla swoich zakładów pracy (12,1 proc., wzrost o 0,5 pkt proc.). Zmniejszyła się natomiast grupa, która oceniła, że mijający rok był dla ich zakładów pracy „ani dobry, ani zły” (19,7 proc., spadek o 6,9 pkt proc.).

Na tle pracujących w innych sektorach znacznie gorszymi ocenami 2025 roku w odniesieniu do swojego miejsca pracy wyróżniają się badani pracujący w prywatnych gospodarstwach rolnych. Wśród nich ocen pozytywnych jest 41 proc.

Obawy o bezpieczeństwo

Wojtek, 43 lata, informatyk. Mijający rok był dla niego dobry, bez fajerwerków, jak mówi, ale bez wielkich nieszczeń. On

wciąż najbardziej boi się wojny, tego, co dzieje się za wschodnią granicą, na Bliskim Wschodzie w Ameryce Łacińskiej.

– To się może wymknąć spod kontroli – uważa.

I tłumaczy: nikt się nie spodziewał, że Putin rozpocznie wojnę w Ukrainie. Ale tak się stało. Wojna trwa już prawie cztery lata i nic. Putin nie cofnie się o krok. Z kolei Trump to biznesmen, który na wszystko patrzy przez pryzmat pieniędzy, dla niego nieważne, jak skończy się ta wojna, grunt, żeby na tym zyskał.

– Do tego konflikt na Bliskim Wschodzie, zamieszanie w Wenezueli, bo porwanie przez Amerykanów prezydenta Maduro daje do myślenia. Wprawdzie to dyktator, ale przywódca suwerennego państwa. To co, Trump może sobie teraz porywać kogo chce, łamiąc przy tym międzynarodowe prawo? Na świecie nie dzieje się dobrze. Są rzeczy, na które nie mamy wpływu i takie sytuacje najbardziej mnie stresują, wywołują u mnie strach – przyznaje Wojtek.

Obawy Wojtka nie są bezzasadne. Wprawdzie Polacy najbardziej boją się, że w 2026 roku zetkną się z trudnościami w dostępie do służby zdrowia, tak przynajmniej wynika z nowego sondażu IBRI dla Wirtualnej Polski, ale drżą też o bezpieczeństwo swoje i kraju. I tak, ankietowani pytani o to, czego najbardziej obawiają się w 2026 roku, mieli wskazać trzy z kilkunastu odpowiedzi. Okazuje się, że głowy Polaków najczęściej zaprzatają problemy z dostępem do służby zdrowia. Opcję tę wskazało 47,5 proc. respondentów. Na drugim miejscu znalazły się za to obawy o pogorszenie zdrowia własnego lub bliskich. Tę odpowiedź wybrało 45,3 proc. badanych.

Kolejnym najczęściej wskazywanym lękiem Polaków są



FOT. 123RF

Najbardziej boimy się jednak tego, co związane z naszym zdrowiem, to ono od lat jest dla Polaków najważniejsze. O tym, że w kwestii zdrowia rośnie świadomość Polaków, świadczy chociażby fakt, że nie zamierzamy na nim oszczędzać

zagrożenia bezpieczeństwa kraju, które wskazało 44,2 proc. ankietowanych. Niewiele mniej, bo 43,3 proc., deklaruje za to, że obawia się o sytuację wewnątrz kraju – niestabilność polityczną i spory.

Kolejne miejsca zajmują lęki o wzrost kosztów życia, czyli kwestie takie jak inflacja, rachunki czy ceny żywności (41,5 proc.), a także o utratę pracy lub źródła dochodu (21,8 proc.). Na ostatnim miejscu znalazła się obawa o zmiany klimatyczne i gwałtowne zjawiska pogodowe (7,9 proc.), 2,4 proc. respondentów wybrało odpowiedź „nie wiem/trudno powiedzieć”, a 0,6 proc. „inne”.

Trudno się dziwić tym wskazaniom, bo sytuacja na świecie może niepokoić.

- Rok 2024 był krwawy. Rok 2025 był jeszcze gorszy. W 2026 roku wchodzimy w niebezpieczną epokę, w której rośnie przyzwolenie na przemoc - ostrzegła prof. Clionadh Raleigh, dyrektor generalna międzynarodowej organizacji ACLED, zajmującej się monitorowaniem konfliktów zbrojnych i przemocy politycznej na świecie. Według danych ACLED, w 2025 roku co szósta osoba na świecie była zagrożona konfliktami zbrojnymi. Nic nie wskazuje na to, by ta sytuacja miała się poprawić.

Cisza przed burzą w Azji. Okrągłe urodziny Ameryki i ostateczny test dla jej obecnego prezydenta Donalda Trumpa, którego polityka może

szokować. Zamieszanie w Ameryce Łacińskiej. Wojna handlowa między Chinami i Stanami Zjednoczonymi. Bliski Wschód na beczce prochu. Wojna w Ukrainie, której końca nie widać. W kraju dalsza wojna prezydenta z rządem i coraz wyraźniejszy skręt w prawo.

- Wiele rzeczy może się wydarzyć. Powiem pani tyle: mimo że nie będzie wyborów w Polsce, to prorokuję, że to będzie bardzo gorący rok i jeśli chodzi o polityczne wydarzenia w naszym kraju i te na świecie - mówił w ostatnim wywiadzie były prezydent Aleksander Kwaśniewski. Tak, to może być trudny, niebezpieczny rok.

Zdrowie najważniejsze

Najbardziej boimy się jednak tego, co związane z naszym zdrowiem, to ono od lat jest dla Polaków najważniejsze, podobnie jak rodzina. O tym, że w kwestii zdrowia rośnie świadomość Polaków, świadczy chociażby fakt, że nie zamierzamy na nim oszczędzać. Jak wynika z badań w 2025 roku Polacy planowali ograniczyć

wydatki na elektronikę, rozrywkę i przyjemności, za to zamierzali inwestować w zdrowie i kondycję fizyczną.

Nie bez znaczenia w naszym postrzeganiu siebie, swojego zdrowia i kondycji jest rozwój medycyny. Dzisiaj leczymy choroby, które kiedyś uchodziły za nieuleczalne. Funkcjonują programy zdrowotne, także te profilaktyczne, z których spora grupa Polaków może korzystać i korzystać.

W ostatnich ośmiu latach wzrosło przekonanie, że ochrona zdrowia jest przede wszystkim obowiązkiem państwa, tak przynajmniej wynika z badań CBOS. Obecnie 56 proc. ankietowanych podziela ten pogląd, co stanowi wzrost o 15 punktów procentowych. Natomiast 38 proc. uważa, że ochrona zdrowia jest przede wszystkim obowiązkiem jednostki, tu widzimy spadek o 17 punktów procentowych. I wprawdzie 66 proc. Polaków negatywnie ocenia aktualną służbę zdrowia, kolejne 22 proc. ankietowanych jest z niej zadowolonych, ale prawda jest taka, że jednak oferuje nam ona więcej niż jeszcze kilkanaście lat temu.

Ewa, 66 lat, wysoka, szczupła. Właściwie od zawsze dbała o siebie: jeździła na rowerze, spacerowała, nie zmieniła tego faktu, że już kilka lat temu przeszła na emeryturę.

- Wyjście do pracy wymusza na nas pewne zachowania. Trzeba wstać, ubrać się, zrobić makijaż. No i samo przebywanie między ludźmi jest motywujące, inspirujące, jest po prostu człowiekowi potrzebne - tak opowiada.

Szybko się pozbierała. Znalazła kilka pań, które, jak ona, nie chciały gnuśnieć w domu. Postanowiły działać. Dwa razy w tygodniu chodzą na basen i gimnastykę, co drugi dzień biegają „na kijki”.

Razem z mężem podróżują. W ciągu roku są w stanie odłożyć na jeden zagraniczny wyjazd, byli już w Grecji, Bułgarii, Chorwacji.

- Do jedzenia kupuję produkty droższe, ale lepsze jakościowo - przyznaje. - Nie objadamy się, wolimy zjeść mniej, ale lepiej - mówi. Odstawili słodczyce, czasami pozwolą sobie na jakieś kruche ciasteczko do kawy. W ich diecie jest dużo owoców i warzyw.

- W naszym wieku wizyty u lekarza to już niemal codzienność - mówi Ewa. I dodaje, że nie będzie wchodzić w szczegóły, ale ich kalendarz na ścianie, na którym zaznaczają, do kogo i kiedy, jest cały na czerwono.

- Oczywiście, że na niektóre wizyty czekamy po kilka mie-

sięcy. Czasami, żeby nie czekać, idziemy na badania prywatnie, ale nie zawsze nas stać, wtedy zostaje państwową służba zdrowia. Czy to problem? Tak - mówi. I dodaje, że to kłopot zwłaszcza dla tych, którym się spieszy, bo dzisiaj skierowanie z adnotacją „na cito” wcale nie znaczy jutro, za tydzień czy za dwa.

Co ciekawe, CBOS w 2024 roku po ośmiu latach przerwy powróciło do badania zachowań prozdrowotnych Polaków. Według sondażu 61 proc. respondentów ocenia swój stan zdrowia jako co najmniej dobry. Jedynie 10 proc. badanych uważa, że ich zdrowie jest złe.

W porównaniu do 2016 roku, lepiej oceniamy swoją kondycję zdrowotną. Odsetek osób zadowolonych ze swojego zdrowia wzrósł o 6 punktów procentowych. Częściej zadowolenie ze swojego zdrowia deklarują mężczyźni, mieszkańcy największych miast, osoby lepiej wykształcone oraz te o wyższych dochodach.

Polacy uważają, że najważniejszym czynnikiem wpływającym na poprawę zdrowia jest właściwe odżywianie się - taką odpowiedź wskazało 50 proc. badanych. Dalej: niepalenie papierosów (27 proc.), regularne uprawianie sportu (26 proc.) regularne wizyty u lekarza (26 proc.).

Młodsze pokolenie uważa, że na nasz dobry stan zdrowia wpływ ma zwłaszcza uprawianie sportu, starsze osoby sta-

wiają na regularne wizyty u lekarza, niepalenie papierosów i niepicie alkoholu. Największe znaczenie zdrowemu odżywianiu przypisują osoby w wieku 25-44 lat.

Pieniądze też ważne

Zawartość portfela też spędza nam sen z powiek w 2026 roku. Bo wprawdzie sytuacja gospodarcza kraju jest lepsza, spadła inflacja, coraz więcej zarabiamy, ale też coraz więcej wydajemy.

Ewelina, 57 lat, wciąż czynna zawodowo. Zarabia w granicach 6,5 tys. złotych na rękę. Jeszcze dwa lata temu razem w mężem wynajmowali w jednym ze śląskich miast spore mieszkanie w kamienicy. Córka, Monika ze swoją rodziną - mężem, roczną córeczką i siedmioletnim synem, także płacili za wynajem trzypokojowego lokum w bloku z wielkiej płyty.

- Postanowiliśmy wziąć kredyt i wspólnie kupić dom pod miastem. Znaleźliśmy taki, w stanie zamkniętym surowym. Ma dwa osobne wejścia: górę miała zamieszkiwać Monika z rodziną, my dół - opowiada Ewelina: niewysoka, włosy do ramion, pełna energii.

Szybko obliczyli, że muszą wziąć 200 tys. złoty kredytu na wykończenie domu. Tak też zrobili. Było ciężko, bo wciąż wynajmowali mieszkania, a musieli już spłacać zadłużenie. Potem „ciężko”, zamieniło się w „tragicznie”. Przyszła wojna w Ukrainie, inflacja, podwyżki stóp procentowych, rata kredytu niemal się podwoiła. Ceny materiałów budowlanych też poszybowały w górę.

- Kiedy przyszedł fachowiec wycenić, ile weźmie za położenie wylewki w całym domu, stwierdził, że 8 tys. złotych, koniec końców wziął 19 tys., bo tak zdrożał materiał i koszty pracy - opowiada.

Za 200 tys. złotych zrobili połowę tego, co zamierzali zrobić. Przez dwa lata w dwie rodziny mieszały na parterze domu, w tym roku wykończyli piętro. Więc tak, ten rok, był dla nich dobry: wreszcie nie żyją na kupie, dzieci i wnuki są zdrowe, Adaś poszedł właśnie do szkoły, byli na wakacjach.

- Jest lepiej niż było, ale wciąż nie szalejemy z wydatkami. Oboje z mężem boimy się, żeby nas nie zwolniono z pracy, chcemy doczekać do emerytury, potem jakoś już będzie. Zawsze gdzieś sobie dorobimy - opowiada.

Czego najbardziej boi się w 2026 roku?

- Drożyzny, coraz wyższych cen w sklepach - mówi.

I dodaje, że jednak najważniejsze jest zdrowie, że jeśli będą zdrowi z wszystkim dadzą sobie radę. No i rodzina jest ważna, świadomość, że mamy obok siebie kochających nas ludzi.

PAP

**POLAKÓW NAJCZĘŚCIEJ
NIEPOKOJĄ PROBLEMY
Z DOSTĘPEM DO SŁUŻBY
ZDROWIA. OPCJĘ TĘ WSKAZAŁO
47,5 PROC. RESPONDENTÓW**

WARSZAWIANKA PRZEZ WIELKIE „W”. O NOWYCH ZASADACH PISOWNI OD 2026 ROKU

- Pisownia nazw mieszkańców miejscowości i dzielnic była od dawna dużym problemem dla użytkowników języka polskiego. Do 2026 roku w ten sposób zapisywano nazwy mieszkańców regionów, np. Małopolanin lub państw, np. Polak – mówi dr Małgorzata Kułakowska, językoznawca z Uniwersytetu Rzeszowskiego

Urszula Sobol

Pani doktor, dlaczego zdecydowano się na takie zmiany zasad pisowni właśnie teraz?

Decyzję o zmianie zasad ortograficznych języka polskiego podjęła Rada Języka Polskiego, która w myśl „Ustawy o języku polskim” z 1999 roku, ma za zadanie wydawać opinie i doradzać w sprawach związanych z ochroną języka polskiego oraz dbać o poprawność językową. Zapowiedź zmian w zasadach pisowni ogłoszono w 2024 roku, dlatego nie powinny być zaskoczeniem. Tym bardziej że – jak czytamy w komunikacie Rady Języka Polskiego – większość wprowadzonych zmian była postulowana już od dłuższego czasu. Wprowadzenie nowych zasad ortograficznych jest reakcją na sposób, w jaki użytkownicy języka polskiego zapisują różnego typu problematyczne wyrazy lub grupy wyrazów.

Co wpływa na decyzje dotyczące zmian w zasadach ortograficznych?

Błędne formy, jeżeli są często używane, wchodzą do uzusu. Wówczas instytucja, której celem jest dbanie o poprawność językową, czyli Rada Języka Polskiego, wprowadza zmiany w przepisach, by dostosować je do uzusu. W ten sposób innowacja, taka jak np. zwyczaj zapisywania wielką literą nazw mieszkańców miast, staje się nową normą. Warto zauważyć, że taka zmiana staje się niekiedy zakończeniem długiego procesu historycznego. Pisownia łączna „nie” z imiesłowami przymiotnikowymi to efekt tego, że uznajemy je za formy

niemal tożsame z przymiotnikami, w których „nie” jest pisane zawsze łącznie. Przewidywany użytkownik języka polskiego nie widzi różnicy pomiędzy takimi wyrazami, jak niewątpliwy i niewątpliwość, choć pierwszy jest imiesłowem przymiotnikowym, a drugi – przymiotnikiem.

Czy nowe reguły bardziej porządkują pisownię, czy raczej ją komplikują?

W komunikacie zamieszczonym na stronie internetowej Rady Języka Polskiego możemy przeczytać, że wprowadzenie zmian w pisowni „przyniesie korzyść w postaci uproszczenia i ujednoczenia zapisu poszczególnych grup wyrazów i połączeń, eliminacji wyjątków, a także likwidacji przepisów, których zastosowanie jest z różnych powodów problematyczne, np. wymaga od piszącego zbyt drobnej analizy znaczeniowej tekstu”. Zatem celem wprowadzenia zmian jest porządkowanie pisowni. Niemniej warto pamiętać, że wśród użytkowników języka polskiego są osoby, które skrupulatnie przestrzegają zasad ortograficznych i doskonale znają wszystkie wyjątki. Dla tych osób nowe re-

guły mogą być komplikacją, choć zapewne będą przestrzegać nowych przepisów ortograficznych. Zresztą większość osób wypowiadających się przeciwko reformie zarzuca jej twórcom „pójście na łatwiznę” czy „promowanie błędów”. Można przypuszczać, że dla tych osób znajomość skomplikowanych reguł jest wartością, a ich upraszczanie to negowanie tej wartości.

Czy obowiązujące od 1 stycznia zasady lepiej oddają to, jak Polacy faktycznie piszą?

Reforma była poprzedzona badaniami uzusu, czyli tego, jak faktycznie – nie zawsze zgodnie z normą – piszą Polacy. Językoznawcy informowali o tych badaniach w mediach, np. prof. Katarzyna Kłosińska mówiła o badaniach języka czasopiśm w TVN 24. W związku z tym na to pytanie należy odpowiedzieć twierdząco. Należy dodać, że obecnie – dzięki temu, że wiele osób zamieszcza różne teksty w sieci (na forach dyskusyjnych, w mediach społecznościowych, itp.) – możemy analizować bardzo dużo tekstów i dzięki temu dość precyzyjnie ustalić, jak Polacy faktycznie piszą.

Czy można powiedzieć, że dziś użytkownicy internetu współtworzą normę językową?

Na pewno łatwiej badać pod kątem występowania innowacji teksty dostępne w sieci niż np. wypracowania uczniowskie, czy prywatną korespondencję użytkowników języka. Internet jest też powszechnie używanym medium, czyli próbki tekstów są reprezentatywne dla codziennej polszczyzny. Jednak nie każde powszechne zjawisko językowe, które pojawia się w sieci, jest aprobowane przez językoznawców. Warto wspomnieć o społecznej kampanii „Język polski jest ą-e”, której celem było uświadomienie Polakom, że znaki diakrytyczne, czyli wszystkie ogonki, są bardzo ważne i nie należy ich pomijać nawet w nieformalnej komunikacji. Zaniepokojenie budzą też takie elementy komunikacji językowej w internecie, jak np. emotikony. Wielu badaczy uważa, że zastosowanie ikonki informującej o czymś nastroju powoduje, że coraz trudniej jest opisać emocje słowami, a to zubaża język.

Czy zmiany ortografii budzą sprzeciw?

To pytanie z pogranicza lingwistyki i nauk społecznych. Na pewno osoby dobrze znające zasady ortografii i jednocześnie konserwatywne są przeciwne wprowadzaniu nowych norm. Nie jest to jednak zjawisko wyjątkowe – każda zmiana budzi takie reakcje. Silne emocje wywołały także poprzednie zmiany w pisowni. I nie mówię tu tylko o ostatnich

zmianach dotyczących pisowni „nie” z imiesłowami. Bardzo duże spory toczyły się wokół prac nad zasadami ortograficznymi polszczyzny w okresie międzywojennym. Pierwsze propozycje zasad opracowane przez Polską Akademię Umiejętności powstały w 1918 roku – budziły jednak tak duży sprzeciw, że nie zostały wprowadzone w życie. Kolejna próba uporządkowania zasad pisowni podjęta w 1932 roku przez PAU również spotkała się z dużym oporem społeczeństwa. Dopiero zaangażowanie Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego i powołanie kilku komisji przyniosło rezultat w postaci opracowania zasad ortograficznych w 1936 roku. Jednak także wówczas wiele środowisk (np. literackich, dziennikarskich) zapowiadało bojkot wielkiej reformy ortografii. Zatem, jak widać, wszelkie odgórne zmiany czegoś, co większość ludzi uważa za niezmienne, zawsze budzą sprzeciw i emocje. Warto dodać, że w pisowni polskiej obowiązują cztery zasady: fonetyczna (w myśl której, wyrazy zapisujemy tak, jak je słyszymy, np. dom), historyczna (dotycząca pisowni ustalonej w związku z procesami rozwoju języka, które już się zakończyły. Ta zasada decyduje o pisowni takich wyrazów, jak np. góra, rzeka, harcerz, itp.), morfologiczna (w myśl której zapisujemy wszystkie formy wyrazu tak samo, bez względu na to, jak ten wyraz jest wymawiany, np. w wyrazie nóż słyszymy na końcu głoskę „sz”,

jednak zapisujemy ją jako „ż”, ponieważ w pozostałych przypadkach słyszymy już głoskę „ż”, np. noża, nożem, itd.) i konwencjonalna (umowna) – polegająca na zastosowaniu takich rozstrzygnięć, które nie mają oparcia w pozostałych zasadach. Zasada ta reguluje użycie wielkiej litery i pisownię łączną lub rozłączną poszczególnych wyrazów. Najnowsza reforma zmienia jedynie część reguł wynikających z tej ostatniej zasady. Przypuszczam, że dużo większe protesty budziłyby, postulowane przez niektórych, odejście od zasady morfologicznej na rzecz fonetycznej zapisu wszystkich wyrazów.

A jakie były najczęstsze błędy użytkowników języka, które wpłynęły na decyzje dotyczące tych zmian?

Najwięcej błędów pojawiało się w pisowni nazw mieszkańców. Użytkownicy często intuicyjnie stosowali wielką literę w nazwach mieszkańców miast i wsi na wzór nazw narodowości. Od 2026 roku zapis typu Rzeszowianin stał się poprawną i jedyną formą. Również często błędne zapisy pojawiały się w zapisie cząstki „nie” z przymiotnikami w stopniu równym (łącznie) oraz wyższym i najwyższym (rozdzielnie). Od 2026 roku obowiązuje jednolita pisownia łączna, np. nienajlepszy, niewiększy. Trudności sprawiało także stosowanie małych liter w nazwach, takich jak kawiarnie, restauracje czy obiekty architektoniczne, gdy nie traktowano ich jako nazw własnych. użyt-

**REFORMA BYŁA POPRZEDZONA
BADANIAMI UZUSU,
CZYLI TEGO, JAK FAKTYCZNIE
– NIE ZAWSZE ZGODNIE Z
NORMĄ – PISZĄ POLACY**



FOT. PAWIEŁ DUBIEL

Małgorzata Kułakowska: - Wprowadzenie nowych zasad ortograficznych jest reakcją na sposób, w jaki użytkownicy języka polskiego zapisują różnego typu problematyczne wyrazy lub grupy wyrazów

kownicy języka nierzadko nie potrafili określić, co jest nazwą gatunkową, a co już nazwą własną, stąd pojawiały się błędne zapisy typu Aleja Rejtana - na wzór nazwy Aleje Ujazdowskie.

Dlaczego uznano, że nazwy mieszkańców miast i dzielnic powinny być pisane wielką literą?

Jak wspomniałam wyżej, pisownia nazw mieszkańców miejscowości i dzielnic była od dawna dużym problemem dla użytkowników języka polskiego. Do 2026 roku w ten sposób zapisywano nazwy mieszkańców regionów, np. Małopolanin lub państw, np. Polak. Taki zapis podkreślał ważny dla wielu osób związek z krajem czy regionem. Jednak użytkownicy języka polskiego często także zapisywali wielką literą nazwy mieszkańców miast, czy mniejszych jedno-

stek administracyjnych, podkreślając równie ważne związki z małą ojczyzną, np. Rzeszowianina z Rzeszowem. Warto zauważyć, że zmiana pisowni nazw mieszkańców miast, dzielnic i wsi była proponowana już w XX wieku. W 1963 roku opublikowano w „Przekroju” artykuł Walego Pisarka pt. „Zmiany w pisowni”, w którym autor zapowiadał między innymi wprowadzenie pisowni wielką literą nazw mieszkańców miast, wsi i dzielnic miejskich. Protesty czytelników spowodowały, że wycofano się m.in. z tych propozycji.

Jak zmiany w pisowni nazw własnych wpłyną na media, urzędy i szkoły?

Osoby tam pracujące powinny stosować nowe zasady - zwłaszcza w dokumentach urzędowych. Jeżeli chodzi o ocenę poprawności prac

uczniów (w tym egzaminu ósmoklasisty i maturalnego), to do roku 2030 obowiązują okres przejściowy, kiedy nie uznaje się za błąd zapisu zgodnego ze starymi zasadami ortograficznymi. Uczeń musi jednak stosować te zasady konsekwentnie, czyli np. zawsze zapisywać nazwy mieszkańców miast małą literą. Myślę, że wiele zależy od tego, czy edytorzy tekstu, którymi posługują się dziennikarze i urzędnicy, zostaną wyposażone w słowniki zawierające nowe zasady pisowni. Jeżeli

tak się stanie, to dość szybko dostosujemy się do nowych zasad.

Czy możemy spodziewać się kolejnych zmian w ortografii w najbliższych latach?

To pytanie warto zadać członkom Rady Języka Polskiego. Myślę, że zbyt częste zmiany wywoływałyby duży opór społeczny. Z drugiej strony język polski zmienia się dziś bardzo dynamicznie, więc może na kolejną reformę będziemy czekać nieco krócej niż ostatnio.

*JĘZYK POLSKI ZMIENIA SIĘ DZIŚ
BARDZO DYNAMICZNIE,
WIĘC MOŻE NA KOLEJNĄ
REFORMĘ BĘDZIEMY CZEKAĆ
NIECO KRÓCEJ NIŻ OSTATNIO*

NIKTÓRE ZMIANY ZASAD PISOWNI POLSKIEJ, OBOWIĄZUJĄCE OD 1 STYCZNIA 2026 R.

- Pisownia wielką literą nazw mieszkańców miast i ich dzielnic, osiedli i wsi, np. Warszawianin, Zgierzianin, Ochocianka, Mokotowianin, Nowohucianin, Chochołowianin. Dopuszczenie alternatywnego zapisu (małą lub wielką literą) nieoficjalnych nazw etnicznych, takich jak kitajec lub Kitajec, jugol lub Jugol, angol lub Angol.
- Wprowadzenie pisowni wielką literą nie tylko nazw firm, marek i modeli wyrobów przemysłowych, ale także pojedynczych egzemplarzy tych wyrobów (samochód marki Ford i pod oknem zaparkował czerwony Ford).
- Wprowadzenie rozdzielnej pisowni cząstek -bym, -byś, -by, -byśmy, -byście ze spójnikami, np. Zastanawiam się, czy by nie pojechać w góry.
- Ustanowienie pisowni łącznej nie- z imiesłowami odmiennymi (bez względu na interpretację znaczeniową: czasownikową lub przymiotnikową), tj. zniesienie wyjątku zezwalającego na „świadomą pisownię rozdzielną”.
- Ujednolicenie zapisu (małą literą) przymiotników tworzonych od nazw osobowych, bez względu na to, czy ich interpretacja jest dzierżawcza (odpowiadają na pytanie czyj?), czy też jakościowa (odpowiadają na pytanie jaki?), np. dramat szekspirowski, epoka zygmuntońska, koncert chopinowski. Przymiotniki tworzone od imion (rzadziej od nazwisk) zakończone na -owy, -in(-yn), -ów będą mogły być zapisywane małą lub wielką literą, np. jackowe dzieci lub Jackowe dzieci, poezja miłoszowa lub poezja Miłoszowa, zosina lalka lub Zosina lalka, jacków dom lub Jacków dom.
- Wprowadzenie łącznej pisowni członu pół- w wyrażeniach: półzabawa, półnauka; półzarterem, półserio; półspał, półczuwał oraz pisowni z łącznikiem w połączeniu typu: pół-Polka, pół-Francuzka (odniesionym do osoby będącej w połowie Polką, w połowie Francuzką).
- Dopuszczenie w parach wyrazów równorzędnych, podobnie lub identycznie brzmiących, występujących zwykle razem, trzech wersji pisowni:
 - z łącznikiem, np. tuż-tuż; trzask-prask; bij-zabij;
 - z przecinkiem, np. tuż, tuż; trzask, prask; bij, zabij;
 - rozdzielnie, np. tuż tuż; trzask prask; bij zabij.
- W zakresie użycia wielkich liter w nazwach własnych:
 - w nazwach komet wprowadzenie zapisu wszystkich członów wielką literą, np. Kometa Halleja, Kometa Enckego;
 - w nazwach obiektów przestrzeni publicznej wprowadzenie pisowni wielką literą stojącego na początku wyrazu aleja, brama, bulwar, osiedle, plac, park, kopiec, kościół, klasztor, pałac, willa, zamek, most, molo, pomnik, cmentarz itp. (przy utrzymaniu pisowni małą literą wyrazu ulica), np. ulica Józefa Piłsudskiego, Aleja Róż, Brama Warszawska, Plac Zbawiciela, Park Kościuszki, Kopiec Wandy, Kościół Mariacki, Pałac Staszica, Zamek Książ, Most Poniatowskiego, Pomnik Ofiar Getta, Cmentarz Rakowicki;
 - wprowadzenie pisowni wielką literą wszystkich członów (oprócz przyimków i spójników) w wielowyrzowych nazwach lokali usługowych i gastronomicznych, np. Karczma Słupska, Kawiarnia Literacka, Księgarnia Naukowa - wprowadzenie pisowni wielką literą wszystkich członów (oprócz przyimków i spójników oraz wyrazów typu imienia) w nazwach orderów, medali, odznaczeń, nagród i tytułów honorowych, np. Nagroda im. Jana Karłowicza i Poli Nireńskiej, Nagroda Nobla, Nagroda Artystyczna Miasta Lublin, Nagroda Literacka Gdynia, Śląska Nagroda Jakóści, Nagroda Rektora za Wybitne Osiągnięcia Naukowe, Nagroda Newsweeka im. Teresy Toruńskiej, Nagroda Wielkiego Kalibru, Mistrz Mowy Polskiej, Ambasador Polscy, Honorowy Obywatel Miasta Krakowa.
- Wprowadzenie jednolitej łącznej pisowni cząstek niby-, quasi- z wyrazami zapisywanymi małą literą, np. nibyartysta, nibygotyk, nibyludowy, nibyorientalny. przy zachowaniu pisowni z łącznikiem przed wyrazami zapisywanymi wielką literą, np. niby-Polak, quasi-Anglia.
- Wprowadzenie łącznej pisowni nie z przymiotnikami i przysłówkami odprzymiotnikowymi bez względu na kategorię stopnia, a więc także w stopniu wyższym i najwyższym, np. nieadekwatny, nieautorski, niebanalny.

Źródło: <https://rjp.pan.pl/> (Komunikat Rady Języka Polskiego przy Prezydium PAN z 10 maja 2024 r. wraz ze zmianami z 7 listopada 2025 r.)

MAREK ORAMUS: KAPITALIZM STAJE SIĘ KAMIENIEM U SZYI CYWILIZACJI. CO NAS CZEKA PO EPOCE MARNOTRAWSTWA

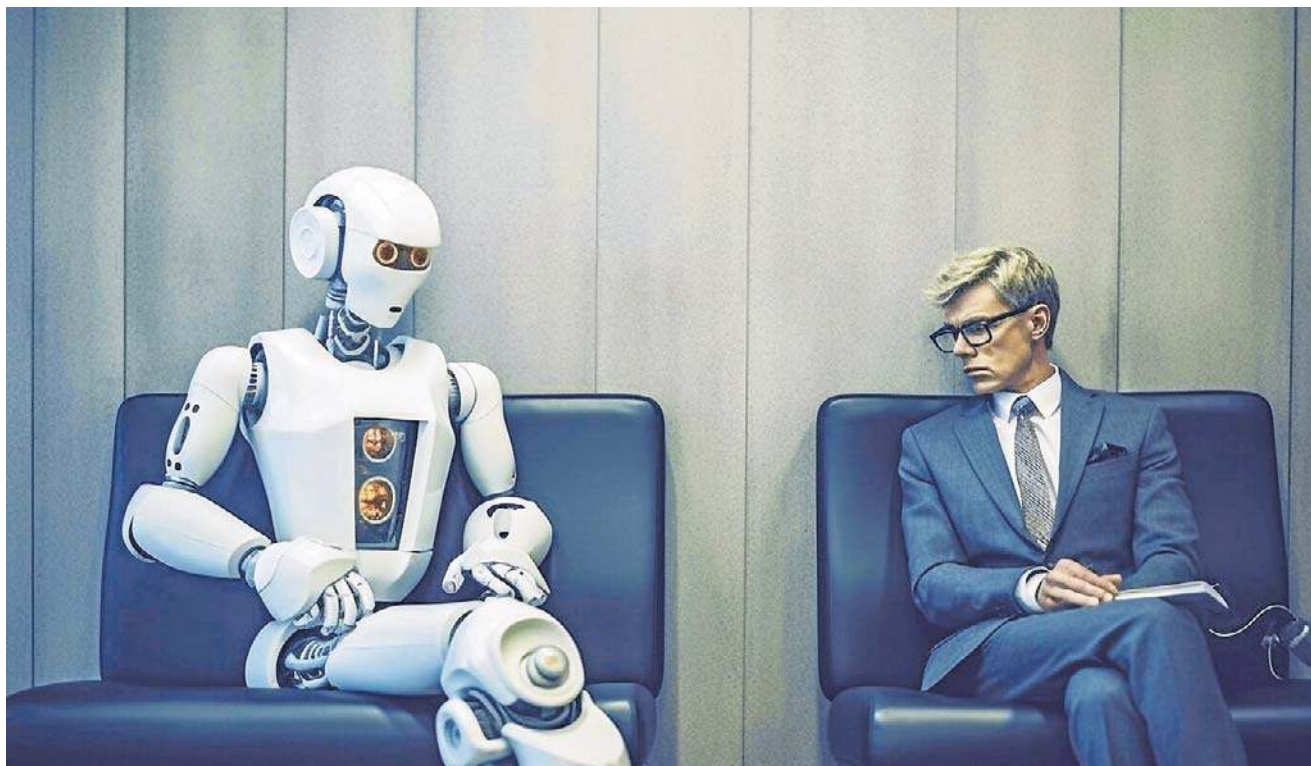
Należało się spodziewać, że wraz ze wzrostem kultury, ogłady, refleksji nad cywilizacją człowiek się ulepszy, zmieni. Nie zmienił się. Jest dalej taką samą krwiożerczą małpą, jaką był kiedyś. Tylko zamiast kościanej maczugi w ręku ma narzędzia nieporównywalnie potężniejsze, skutkujące masową zagładą – mówi Marek Oramus, pisarz, futurolog

Anita Czapryn

Z jaką myślą wszedł Pan w nowy rok?

Wszedłem z dwojakim stanem umysłu. W poprzednim roku udało mi się wydać książkę „Pieśń rąbanego lasu”; zawsze taki rok uważałem za udany. Ale w grudniu 2025 zniknęła moja witryna internetowa „Galaktyka Gutenberga. Marek Oramus o książkach i filmach”. Zmarł niespodziewanie kolega, który ją prowadził od strony technicznej. Okazało się, że zarejestrował ją na siebie. Najpierw „Galaktyka” wisiała w internecie przez pewien czas, potem została zdjęta, a w końcu platforma Consulting Service w ramach działalności kulturotwórczej sprzedała adres komuś, kto umieścił tam ogłoszenia porno z Hrubieszowa. Napęliło mnie to obrzydzeniem: w kraju uchodzącym za praworządny zamienia się witrynę walczącą o poprawę stanu czytelnictwa w Polsce w tubę pornograficzną.

Zanim przejdziemy do książki „Pieśń rąbanego lasu”, która bardzo mnie urzekła, zwracam się do Pana jako futurologa: co Pana najbardziej niepokoi politycznie albo cywilizacyjnie w nowym roku 2026?



Marek Oramus: My, istoty białkowe, w porównaniu ze sztuczną inteligencją jesteśmy jak ślimaki... jak nieruchome pomniki nieudolności

Przeczytałem ostatnio książkę Wellsa z 1913 roku „Świat wyzwolony”. To pierwsze wydanie polskie, wcześniej nie było tłumaczenia. Książka była naprawdę wizjonerska: w 1913

roku Wells przewidział użycie bomb atomowych. Wtedy fizykom nawet się nie śniło, że istnieje reakcja łańcuchowa, a on już z tego zrobił bombę A. Oczywiście opierał się na pra-

cach Soddy’ego i Rutherforda, ale dopiero chyba w 1933 roku opublikowano koncepcję reakcji łańcuchowej. Wells pisał tę książkę przed pierwszą wojną, w 1913 roku, wyszła

na początku 1914. W 1914 wybuchła pierwsza wojna zwana Wielką, bo wtedy myślano, że większych już nie będzie. Jakże się mylili chłopcy i dziewczynki, prawda?

Nawiążę od razu do „Pieśni rąbanego lasu”, bo Pan też bywa w swojej książce profetyczny. Po pierwsze, przewidział Pan, pisząc o Breżniewie, że Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich upadnie. Ale napisał Pan też: „Wojna być musi i nie wiem, czy życzyć jej sobie prędko, czy dopiero na starość”. Wygląda na to, że Pan wywróżył.

To się sprawdza, bo idzie rażno ku trzeciej wojnie. Niektórzy twierdzą, że ona już trwa, tylko nie zdajemy sobie z tego sprawy, bo ma dziś formę hybrydową. Żadna wojna się dokładnie nie powtarza. Wells miał za sobą doświadczenie wojen XIX-wiecznych: jeden głównodowodzący w polu, ataki i odpierania. W powietrzu nic nie latało, poza kartaczami i pociskami z dział. A Wells już wprowadza centralne sztaby, które komendują wojskiem z jednego punktu i stają się celem ataków z powietrza, bo on wprowadza też wojnę w powietrzu. W „Świecie wyzwolonym” wojna jest naznaczona na rok 1956. Sprawdziło się to z nadstatkiem: I wojna zaczęła się w 1914, II wojna w 1939. W książce wojna trwa względnie krótko,

parę lat, państwa centralne: Niemcy, Rosja występują przeciwko koalicji brytyjsko-francuskiej. Bomby A zrzuca się z samolotów ręcznie, wcześniej trzeba przegryźć plastikowe zabezpieczenie, ale ich siła destrukcyjna jest porównywalna do naszych bomb. Wojna kończy się ogólnym porażeniem cywilizacji: główne miasta w ruinach, skażenie promieniotwórcze po wybuchach. Wtedy nikt nie zdawał sobie sprawy, że takie odpady będą. Okazuje się, że to jest jeden z najgroźniejszych skutków użycia tej broni. W Hiroszynie jeszcze dziś podobno liczniki pokazują, że coś promieniuje pod nogami, bo ruiny zostały zachowane. Po tej wojnie u Wellsa ludzkość jakby oprzytomniała: tak dalej nie można, bo nastąpi samozagłada. Zaczyna się organizacja rządu światowego, władzy centralnej nad światem. To w ogóle oczko w głowie Wellsa: w co drugim traktacie pojawia się rząd światowy, który radzi sobie ze wszystkim. Antidotum na bolączki militarne, społeczne, cywilizacyjne.

No to byłoby cudowne, taki jeden rząd, prawda?

Byłoby cudownie, tylko że to utopia. Mieliśmy Ligę Narodów, mamy ONZ i widzimy, jaką rolę odgrywają.

Jeden rząd dawałby nadzieję, że nie byłoby wojen.

Pod warunkiem, że taki rząd zyska posłuch. Poza tym natury ludzkiej nie da się odmienić z dnia na dzień. Wierzę, że mamy takie okresy, kiedy jesteśmy lepsi, mili. Święta są takim czasem, kiedy dobro się wyzwala. Ale ledwo miną, zaczyna się z powrotem to, co było. Zwłaszcza kiedy ludzie w mundurach skrzykną się z pomysłem na wojnę, taką jak ta na Ukrainie.

A teraz jeszcze Wenezuela. Co Pan pomyślał o Wenezueli?

Pomyślałem, że Trump robi to samo, co Putin, tylko sprawniej i inaczej. Jak to się mówi: bogatemu nikt nie zabroni. Oczywiście w samej Wenezueli działy się rzeczy straszne: dyktatura, zbrodnie, morderstwa, eksport narkotyków do Ameryki. Oni z czegoś musieli żyć poza ropą. To był bogaty kraj przed nastaniem tam socjalizmu.

Ale czy ta granica narkotykowa zostanie zamknięta?

Trump ją zamykał konsekwentnie od jakiegoś czasu: obstawił morze statkami i kutry nie mogły wywozić narkotyków tak swobodnie jak wcześniej. To na pewno ulegnie zahamowaniu. Ale dziś czytam, że wcale nie Wenezuela była głównym dostawcą, tylko Kolumbia,

a w Kolumbii nic się nie zmienia. Prawdopodobnie Trump chciał położyć rękę na ropie wenezuelskiej. To kraj z olbrzymimi zasobami ropy. Ale, jak mówił Tyrmand: „Zaprowadźcie na Saharze komunizm, to po tygodniu zabraknie piasku”. Nieudolna gospodarka, marnostrawstwo, złodziejstwo itp. spowodowało, że zeszli prawie do poziomu Kuby. Było duże niezadowolenie społeczne, nędza, wspominało się nawet o głodzie.

Jak Pan zapamięta 2025 rok? Czy były momenty graniczne?

Dla mnie 2025 to był rok pracy nad książką. W styczniu nie wiedziałem jeszcze, że będę robił taką książkę. Znalazłem swoje zapisy ze stanu wojennego, zacząłem czytać i pomyślałem: „Przecież to się nadaje do pokazania”. Dałem do czytania kolegom; poparli mój pomysł. Postanowiłem połączyć te zapiski z początku lat 80. z felietonami z XXI wieku. Tu są początki, a tak wygląda koniec mojej przygody z pisaniem; dwa bieguny.

Zastanawiałam się, co łączy dziennik ze stanu wojennego i wybór felietonów, bo to przecież Pański wybór. To był gest domknięcia czy otwarcia?

Na pewno. Z jednej strony domknięcie rozliczeń ze sobą po stanie wojennym, bo ucierpieiałem wtedy i indywidualnie, i rodzinnie. I cały kraj ucierpieiał. Byłem w tym krajem w komitywie w tym ucierpieniu. Z drugiej strony chciałem domknąć felietony. One są cywilizacyjne: o obyczajach, o nauce, o rzeczach, na które trafiałem i które mnie dziwiły. Na przykład: „Kto ukradł czarną dziurę?”; byłem zdumiony, że coś takiego w ogóle może się zdarzyć. A teraz okazuje się, że jakaś czarna dziura, odległa o dziesięć miliardów lat świetlnych, leci z prędkością dziesięciu milionów kilometrów na godzinę. To jest potwór: ma jakieś sto milionów mas Słońca, zgarnia wszystko na drodze swoim horyzontem zdarzeń. Idzie jak pług śnieżny, że nawiąże do zimy, jaką mamy, i czyści przesiekę przez kosmos. Dokąd zmierza? Nie wiadomo. Prawdopodobnie, w wyniku wypadkowych grawitacyjnych, wyleciała z układu dwóch albo trzech czarnych dziur. One się czasami zlewają i wtedy idzie potężna fala grawitacyjna. Tu się obróciło inaczej: jedna została wystrzelona i pruje kosmos z niewiarygodną prędkością. Takie fenomeny bardzo mnie interesują, bo to są wielkie energie, wielkie masy. Człowiek nie może stanąć temu na drodze, ani sam, ani z tym, co posiada, bo zostałby zmieciony, połknięty i zamieniony na makaron.

Zgodzi się Pan, że w tych felietonach pisał kiedyś rzeczy, które dziś się sprawdzają?

Nie pisałem z ambicją, że coś przepowiem. Jeśli fantazie coś się „sprawdza”, to zwykle mimo woli, przypadkiem, nieświadomie. Wells był tu wyjątkiem. Są takie fenomeny: Verne, Wells, Lem...

A Philip K. Dick?

Dick nie był człowiekiem, który dużo przewidział. Ale miał pomysły: losowanie zamiast wyborów, jak w „Słonecznej loterii”. Wskazywał tendencje niepokojące, jakby zawieszony w powietrzu, które mogą się za chwilę zmaterializować.

Na przykład to, że tylko bogaci będą mogli żyć wygodnie, bo będą mieli wszędzie klimatyzację, a biedota będzie się męczyć w upale.

Tak. Bogaci będą mieli pieniądze, żeby opłacić własne życie. To już jest połowicznie zdane. W krajach gorących, powiedzmy w Arabii Saudyjskiej, bogaci jakoś sobie żyją, a biedota skwierczy. Czytam losie rolnika w upalnym klimacie w Indiach i nie ma czego zazdrościć: egzystencja na progu przeżycia jego i rodziny. I to nie dlatego, że on jest leniwy albo mu się nie chce. Żle się pracuje w wysokich temperaturach, rośliny marnie rosną, bo brak wody, mamie dojrzewają, źle się zbiera plony, których jest mało. Ale kiedy myślę o Dicku, mam raczej na myśli jego historie dotyczące się w zaświatach. W „Ubiku” jest na przykład stan nazwany „półtraniem”, przez analogię do promieniotwórczego półrozpadu. Osobowość zmarłego się rozpada, ale stopniowo, wzdłuż krzywej zmierzającej do zera, kiedy człowieka już nie ma. Technika pozwala doprowadzić do tego, że można włamać się do grobowca i rozmawiać z półumarłym, zasięgając jego rad. Bohater zasięga opinii żony, ale okazuje się, że on sam jest już w świecie zagarbietym przemianą i dla niego też nie ma ratunku. To jest, moim zdaniem, największa siła Dicka: wyczuwał takie stany.

Czy felietony są dobrym narzędziem dla futurologa? Krótka forma częściej trafia w punkt niż powieść czy opowiadanie?

Jedno i drugie jest dobre, pod warunkiem, że ma się dobre pomysły i dobre spostrzeżenia. Z dobrych pomysłów można zrobić wspaniałą literaturę. Mamy do cholery przykładów, choćby właśnie u Dicka. Felieton ma tę zaletę, że pozwala wydobyć ziarenko: coś małego, co można obejrzeć w krótkim przebiegu, zobaczyć, co to znaczy

i co zwiastuje. W felietonach z „Pieśni rąbanego lasu” są takie ziarenka.

Pana felietony widzę jako laboratorium diagnoz społecznych. I myślę: czy dzisiejsza publicystyka ma jeszcze czas na myślenie? Czy widzi Pan, w którą stronę skręca świat i po czym to poznać?

On nie skręca nigdzie. On już wali naprzód.

Jak ta czarna dziura (śmiech)?

Wali dyszłem w potok, po prostu. Trzeba by ogromnego impulsu, żeby go nakłonić do skrętu albo zawrócić, a bodajże jest to niemożliwe. Zostaje nam obserwowanie co bardziej malowniczych przejawów apokalipsy, która się szykuje, opisywanie tego i dodawanie niewielkich ekstrapolacji: dokąd to może pójść i jak się skończy. Jestem tu całkowitym pesymistą; nie widzę szans na nic. Czasami dziwi mnie, że ludzie pięćdziesiąt lat temu już widzieli to zagrożenie. Świat był wtedy piękny: trzy miliardy ludzi, mało zanieczyszczeń. Owszem, były tendencje niepokojące, ale wydawało się, że to się samo naprostuje. Nie naprostowało się. Kapitalizm? Jego przydatność się kończy. Zysk i słupki wzrostu przestają być miarodajnymi wskaźnikami rozwoju cywilizacji. Nie stać nas na gigantyczne marnotrawstwo, które odbywa się choćby przy okazji Świąt: papier, śmieci, plastyki, prezenty, niepotrzebnie wyprodukowane rzeczy. Do tego potrzeba ludzkiego trudu, energii, wszystkiego. Na to już nas nie stać jako cywilizacji. Ten model się przeżył. Nie przeżył się jeszcze w umysłach ludzi, bo ludzie działają z inercją, ale jako narzędzie rozwoju cywilizacji jest już nieprzydatny. Jest jak kamień u szyi cywilizacji, jeśli cywilizacja ma szyję.

Gdyby miał Pan wskazać, który z felietonów z tej książki czyta się dziś jak prośroczko, to który by to był?

Prośroczko to tam chyba nie ma dużo.

Jest felieton o trzydziestym zjeździe astronomów, w wigilię urodzin Lema, kiedy przychodzi Pan z wierszykiem w hołdzie Lema, a okazuje się, że to 11 września i walą się wieże World Trade Center. Rzeczywistość przebiega groteskowo. Dziś też są takie daty, zwrotnice? Umiałby Pan wskazać?

Nie umiałbym. I wtedy też mimo że działo się to prawie na moich oczach, nie powiedziałbym, że to zwrotnica. A potem wyszło, że jednak to data przełomowa. Niektórzy mówią nawet, że wtedy skończył się XX wiek, takim spektakularnym bum w różnych

miejskach. Ja raczej... nie chcę powiedzieć cenie, ale lubię felietony, które odwołują się do przeszłości. Smutny felieton „Heroizm górny i dolny” traktuje o tym, jak na wieść o lądowaniu Amerykanów na Księżycu zaczęto w Krakowie budować pomnik. Wyglądał świetnie: z drewna, kilkunetrowej wielkości. Człowiek z rękami złożonymi nad głową, co tworzyło jakby szpic rakiety. Odezwał się prezydent Nixon z podziękowaniami, po czym odezwał się Breżniew i pomnik błyskawicznie skasowano. Nie wiadomo, co się z nim stało. Napisałem w tym felietonie: nieprawda, że Polska była najwzrostszym barakiem w obozie komunistycznym; ten przypadek temu przeczy. Komunizm był pod pewnymi względami bardzo sprzyjający dla człowieka, który pisze, bo działy się tam rzeczy urągające rozumowi.

Powiedziałby Pan, że najtrafniejsze teksty publicystyczne pisze się nie o wydarzeniach, tylko o mechanizmach: strachu, interesach, propagandzie?

Proszę pani, dziś felieton przeżywa kryzys. Właściwie nie ma na rynku porządnego felietonu. Są takie, które są krótkimi artykułami publicystycznymi urwanymi byle gdzie, bo autorowi przestało się chcieć pisać. Felieton musi mieć pomysł. Musi mieć aforystycznie pobrządkujące zdania. Musi zawierać śmieszne kalambury, grę słów. Tego w tej chwili nie ma, bo nie ma wytrenowanych w tym zawodników. Dochodzi jeszcze jedna ważna własność: felieton to jest sposób życia. Musi dotyczyć autora dotkliwie, być przeżyty. Ja jestem zwoleńnikiem starego Hamiltona, z czasów „Kultury”, z lat 70. To były felietony. Byłem wtedy na dziennikarstwie: wychodziło się z zajęć, bo do kiosku dostarczali „Kulturę”. Potem siedziało się na zajęciach z tą „Kulturą” i czytało Hamiltona, Głowackiego i innych. Felieton jest trudny do napisania. Dziś te pisma, które czytam... „Do Rzeczy” ma chyba z pięćdziesiąt tak zwanych felietonów. Podobnie „Plus Minus”: każdy w redakcji musi mieć felieton, bo z definicji mu się należy. Niektórzy kompletnie nie potrafią pisać, nie tylko felietonów, ale niczego. Potem się dziwią, że sprzedaż spada. Jakże ma nie spadać przy takiej kompetencji autorów i dziennikarzy?

W jednym z felietonów, „Gaz półdoskonały”, w duchu Lema pisał Pan o cywilizacji wyłaniającej się z chaosu: „napakowanej różnicami interesów, konfliktami, kryzysami, groteskowym pozba-

wieniem wartości i jakiegokolwiek busoli”. Dla mnie to jest wypisz wymaluj dzisiejsza rzeczywistość.

Ja tu powtarzam pewne rzeczy za Lemem, który w „Katarze” napisał, że ludzkość zachowuje się jak gaz podgrzewany od zewnątrz. Dostaje coraz więcej energii, więc kłębie nie cząstek w środku robi się coraz gwałtowniejsze i coraz bardziej nieprzewidywalne. Porównując ludzkość do stanu termodynamicznego uzyskał bardzo dobrą metaforę tego, co się dzieje. I od tego czasu, moim zdaniem, nic się nie da do tego dodać.

Co uważa Pan dziś za toksyczne paliwo współczesnej rzeczywistości czy polityki?

Naturę ludzką. Człowiek jest zepsuty do szpiku kości. I to nie jest kwestia ostatnich lat czy dekad, ani nawet ostatnich wieków. Tak jest od zarania, człowiek ma wbudowany błąd, komponent agresywny. Być może to pozwoliło mu przetrwać, inaczej drapieżniki by go pożarły i nie rozmawiali byśmy dziś przy tym stole. Nie byłoby ani stołu, ani tego domu, ani niczego. Z biegiem czasu należało się spodziewać, że wraz ze wzrostem kultury, oglady, refleksji nad sobą człowiek się ulepszy, zmieni. Nie zmienił się. Jest dalej taką samą krwiożerczą małpą, jaką był kiedyś. Tylko zamiast kosćnanej maczugi w rękę ma narzędzia nieporównywalnie potężniejsze, skutkujące masową zagładą.

Jakie to narzędzia?

Przede wszystkim technika. Mam wrażenie, że ci, którzy wymyślają narzędzia, są na innym poziomie niż ci, którzy potem je dostają do użycia. A ci, którzy ich używają, nie nadają za pomocą środków, które wpadają im w ręce. Mam na myśli polityków i wojskowych, bo to oni podejmują decyzje. Potem są ludzie od propagandy: trzeba uzasadnić politykę, a potem ją relacjonować odpowiednio. Pole do nadużyć jest ogromne. I dopóki nie umiemy tych ludzi okiełznać, przy tym złudzeniu, że reszta, tak zwana milcząca większość, jest dobra, spolegliwa, dopóty będzie źle. Wczoraj rano czytałem o zbrodniach, od których włos się jeży. Ktoś komuś wepchnął nóż w brzuch. Ktoś zgwałcił dziecko, półtoraroczne. Dzieją się straszne rzeczy, o których nie zdajemy sobie sprawy.

Obiecałam, że wrócę do pierwszej części książki, do stanu wojennego, tego autentycznego zapisu z tamtych czasów, bez upiększania, bez

dokończenie na str. 20

dokończenie ze str. 19

wyglądania, bez redakcji. Po co Pan to napisał? Żeby pamiętać, czy żeby nam, czytelnikom, łatwiej było zrozumieć teraźniejszość?

To nie było pisane z myślą o publikacji. Pisałem z dnia na dzień, najpierw częściej, potem rzadziej, właściwie dla siebie. Żeby nie uleciała pamięć o tym, co się dzieje. Żebym zanotował swój stan psychiczny, bo sądziłem, i słusznie, że to próba ze strony świata zewnętrznego. Kiedy zdecydowałem się to opublikować, za radą kolegów, którzy mówili, że można to pokazać, stanąłem przed pytaniem: czy to „czyścić”, czy nie. Tam była taka rzeczywistość, że się przeklinało, płakało, robiło różne rzeczy. Postanowiłem więc zostawić tak, jak było.

A po co? Po pierwsze jako zapis historyczny. Z tego, co wiem, są znakomici krytycy zajmujący się literaturą stanu wojennego, którzy nie wiedzieli ani o tej książce, ani o mojej wcześniejszej książce o stanie wojennym, „Święto śmiechu”. Więc to jest świadectwo czasu i wiadomość o tym, co się wtedy ze mną działo. Wyniknąłem na rynku fantastyki naukowej właściwie znikąd. Pojawiła się powieść i człowiek, całkiem anonimowy, nagle stał się znany; takie to były czasy. Ta książka zasypuje pewien rów niewiedzy, choć to oczywiście nie był jej główny cel. Główny cel, który zrealizował się niejako po drodze, to pokazanie tego, co oddaje tytuł: naród, ukryty w metaforze rąbanego lasu, próbuje przeżyć i jakoś się ostać mimo bezlitosnego wyrębu. To jest metafora, która mi pasuje do obrazu stanu wojennego.

Marka Nowakowskiego Pan czytał?

Nowakowski postawił sobie pozornie mało ambitne zadanie: pokazywać obrazki, z których dopiero składa się większa całość. Udało mu się, bo był artystą. Ja byłem człowiekiem podróżującym. Byłem w wielkim mieście, w Warszawie, byłem w małym mieście, w średnim. Byłem w pociągach, na dworcach. Widziałem Polskę z różnych miejsc i z różnych pozycji.

Na dodatek jeździł Pan bez pozwolenia.

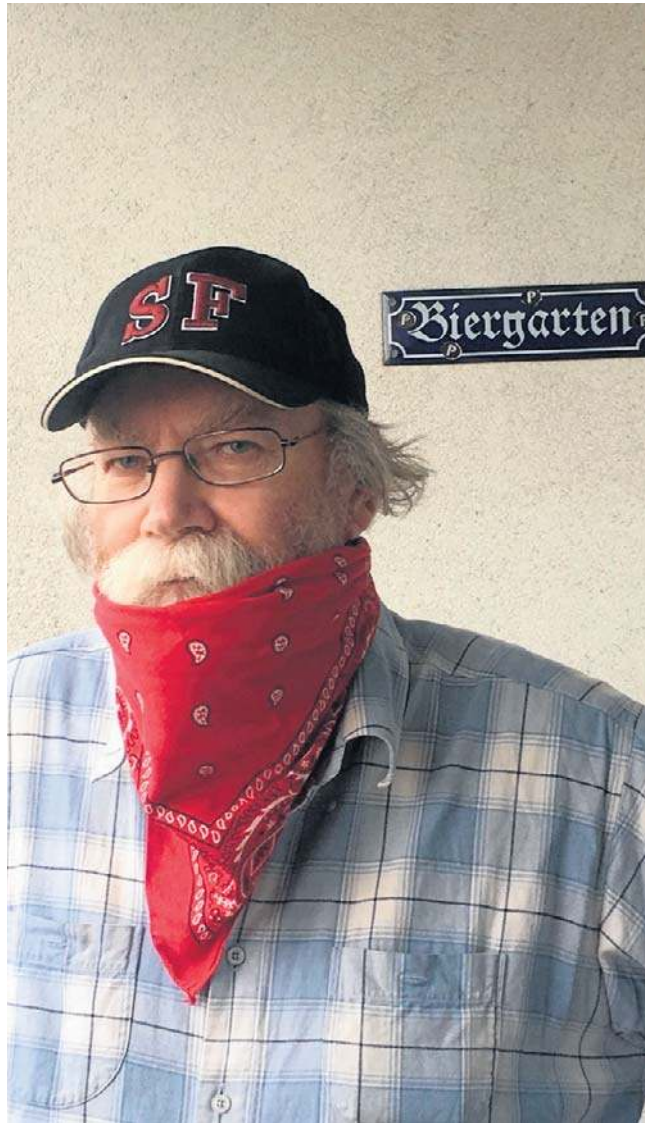
Bez pozwolenia, bo nie mogłem go dostać. Kiedy poszedłem pierwszy raz, nawet nie skończyłem pierwszego zdania: „Chciałbym jechać do rodziny na Święta...”, gdy jakiś gówniarz w stopniu porucznika chyba, powiedział: „To dla nas nic nie znaczy” i „Następny!”. Zabrałem podanie i poszedłem do domu. Nie klóciłem się.

Co z tamtego doświadczenia najczęściej dziś do Pana wraca? W ogóle coś wraca?

Wraca strach przed tym, jak łatwo spory naród zamienić w stado baranów: terroryzując przywódców, zamykając ich, wprowadzając reglamentację, cenzurę i tak dalej. Jak łatwo taki naród ujarzmić. Nie zerwała się żadna partyzantka, zresztą słusznie, bo byłoby dużo bardziej krwawo. Ale jest wąski przedział między łagodnym bytowaniem a katastrofą. To można odnieść do dzisiejszych czasów: my sobie spokojnie egzystujemy, a nie wiemy, czy za kilka dni nie wybuchnie wojna, czy nie zostanie wprowadzone prawo stanu wojennego, uzasadnione wojną, że nie wolno tego czy tamtego. To jest dla mnie przestroga: nie można być niczego pewnym. W 1981 roku byłem przekonany, że idzie ku lepszemu. Że naród się ogarnął, że coraz więcej wolno, że wychodzimy z imadła; wszystko się zachwiało w momencie ogłoszenia stanu wojennego. Uważałem stan wojenny za absurd. Z punktu widzenia tchórzliwej władzy namiestniczej to było świetne wyjście: marszałkowie na Kremlu pochwalili naszych wojskowych za taki wynalazek. Stan wojenny nie był wcześniej zastosowany.

W stanie wojennym został Pan negatywnie zweryfikowany jako dziennikarz i miał Pan zakaz pisania. To bolało?

Boleć nie bolało, to nie była rana. A i tak przecież pisałem. W stanie wojennym rozpisałem się literacko, wydałem chyba cztery książki napisane wtedy. Miałem rodzinę z małym dzieckiem, musiałem zarabiać. Natomiast pod sam koniec stanu wojennego zrobiło się nieprzyjemnie i zdecydowaliśmy się wyjechać do Niemiec. Moja żona była pochodzenia niemieckiego, więc z łatwością uzyskała obywatelstwo. Przede mną stanęło pytanie: co ja tam będę robił? Wziąłem swój dyplom polit techniki i poszedłem do elektrowni Rybnik. Zatrudniłem się tam na zasadzie ćwiczeń przed pracą w niemieckiej elektrowni, bo wiedziałem, że będę musiał zaczynać od dołu. W międzyczasie żona z dzieckiem wyjechali, kombinowaliśmy, żeby wyjechać osobno, bo razem nie wypuszczali. Kończyłem wtedy powieść „Dzień drogi do Meorii”, chciałem ją zostawić w kraju już gotową. Ale kiedy przyjechałem do Niemiec, było już po małżeństwie. Zabrałem się i wróciłem do Polski. Na dworcu w Essen na wielkiej podświetlanej ścianie leciały wiadomości. Czytałem: Arbeitsführer Lech Walesa wezwał robotników do demonstracji gegen Regierung... nie mogłem sobie przypo-



Marek Oramus: Układ dwubiegunowy zmienił się w wielobiegunowy: doszły Chiny, Rosja słabnie, ale jeszcze się liczy, powstają nowe siły

mnieć, że Regiering to rząd. Ale pomyślałem: wracam w ciekawym momencie, coś się będzie działo. To było lato 1988 roku, potem poszło błyskawicznie. Wróciłem do dziennikarstwa, pracowałem w „Czasie Krakowskim”, potem w „Fantastyce” i znalazłem się na swoim miejscu. Tylko że bez rodziny, bez dziecka, bez żony. Trzymałem się z dala od polityki, interesowałem mnie raczej to, co się dzieje z cywilizacją, kulturą, społeczeństwem.

To co dziś dzieje się z cywilizacją? Czy AI jest królową nowych technologii? Ludzie pytają Chat GPT jak wyrocznie o wszystko. Co w tej sztucznej inteligencji naprawdę jest nowe?

Ludzie zwracają się do Chata GPT, dostają absurdalne odpowiedzi, uznają je za stuprocentowo prawdziwe i się na tym przejeżdżają. Są dwa rodzaje sztucznej inteligencji. Jedna, prosta, której uosobieniem jest Chat GPT. Druga to pełna sztuczna inteligencja, tak zwana mocna: ma te same kompetencje umysłowe co człowiek, ale ma dostęp do narzędzi, o jakich my nie marzymy, i do szybkości. My, istoty białkowe, w porównaniu z nią jesteśmy jak ślimaki... jak nieruchome po-

mniki nieudolności. Ta sztuczna inteligencja, której używamy, jest użytkowa: można ją włączyć, wyłączyć. Chociaż nie wiadomo, co się tam kluje na zasadzie emergencji. Czytałem esej, że pomiędzy włączeniem komputera a wyświetleniem pierwszych sygnałów na ekranie jest obszar zupełnie niekontrolowany; martwy odcinek. I więcej jest takich odcinków; fachowcy wiedzą lepiej. W drutach może się załęgnąć, na zasadzie emergencji, przechodzenia ilości w jakość, inteligencja większego rodzaju. Znaczący nazywają ten moment Osobliwością, przewidują go na rok 2030.

Co będzie tematem politycznym tego roku i najbliższych lat: AI czy klimat?

Wszystko naraz. I klimat, i sztuczna inteligencja, i wojny, które będą trwały, i polityczne przepychanki. Układ dwubiegunowy zmienił się w wielobiegunowy: doszły Chiny, Rosja słabnie, ale jeszcze się liczy, powstają nowe siły, Brazylia staje się mocarstwem, Japonia się odradza. Jest trochę krajów, które za chwilę będą aspirować do tego, żeby się z nimi liczyć. A ponieważ Ziemia jest ciasna i już zagospodarowana, to jeśli ktoś chce wkroczyć

Polska
Piątek-niedziela, 9-11.01.2026

na jakiś teren, musi wejść w konflikt z kimś, kto tam siedzi. Popatrzmy na Grenlandię: są mieszkańcy, załogi duńskie, długo nie miało to znaczenia. Ze względów strategicznych Grenlandia bardzo by się Trumpowi przydała. Do tego lody schodzą i pokazują, co jest pod spodem; okazuje się, że na Grenlandii jest to i tamto do wykopania. To samo dzieje się na Antarktydzie, w Arktyce. Odsłaniają się nowe rejony świata, które można psuć. Są koncepcje wydobywania konkretnych minerałów z dna oceanów. Paszczykoparek, sterowane z góry, będą jechały po dnie, zagarniały urobek, wnoszą na powierzchnię do przeglądu, a szlam z powrotem wrzucały do wody. To jest załatwienie oceanów definitywne. Zanim oceaniczne życie dojdzie do siebie, minie dziesięć tysięcy lat.

Jest jakiś obszar, w którym człowiek robi postęp, i to bez ironii? Medycyna, bezpieczeństwo, nauka?

Medycyna na pewno. Ale część jej badań może służyć sterowaniu człowiekiem. Czytałem takie anonse, że po drganiu mięśni na szyi - wiem, jak to kuriozalnie brzmi - będzie można odczytywać myśli ludzkie. Że są daleko pounięte badania i zajmuje się tym wojsko.

Czasem mam wrażenie, że to już istnieje, choćby po reklamach, które podsuwa mi mój telefon, z rzeczami, o których nawet nie powiedziałam głośno, tylko pomyślałam.

Inwigilacja elektroniczna to już stała rzeczywistość naszego życia. A taka czysta dziedzina, choć też nie do końca, bo nic nie istnieje bez powiązań z wojskiem i polityką, to astronautyka. Będzie się wychodziło w kosmos. Dziś chyba zaczęło się odliczanie w programie Artemis do startu w stronę Księżyca. To będzie coś jak Apollo 8: pod presją rosyjską, bo tamci też chcieli wyładować, Amerykanie zdecydowali się na bardzo ryzykowny krok i puścili bez przetarcia załogę wokół Księżyca; kilka okrążeń i powrót. Działo się to w Boże Narodzenie 1968 roku. Astronauci, kiedy już widzieli, że wszystko się powiodło, czytali z orbity Księżyca fragmenty Genesis. To zrobiło na świecie bardzo dobre wrażenie. Teraz będzie wyścig amerykańsko-chiński o Księżyc, zwłaszcza o jego biegun południowy, bo tam jest woda, pokłady lodu. W związku z tym będzie albo latająca baza amerykańska, albo stała baza na Księżycu. To samo kombinują Chiny, przy czym bardzo się interesują odwrotną stroną Księżyca. To znaczy, że techniki mają porównywalną z amery-

kańską, jeśli chodzi o Księżyc. Rosjanie raczej wypadają z konkursu, bo nie mają pieniędzy. Myślę, że wojna na Ukrainie doprowadzi Rosję do rozpadu i to jest moja przepowiednia. Może nie na ten rok, ale w najbliższym czasie: rozpad na mniejsze państwa. Rosja tej wojny nie udźwignie przy takim sposobie prowadzenia. Nie ma na to dość rozumu ani pieniędzy.

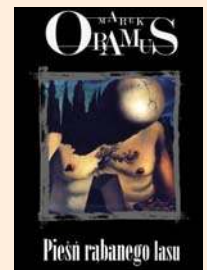
Ale można odnieść wrażenie, że Donald Trump bardzo pomaga Rosji.

Trump działa według mnie irracjonalnie. Czytałem książkę, w której napisano, że Rosjanie coś na niego mają i wtedy jego postawa jest zrozumiała. Poza tym to człowiek sędziwy, zmurszały miazdzycowo. Tylko że za plecami Trumpa nikogo nie widać i to jest najgorsze. Nie widać nowego Regana. A to jest moment, kiedy można by położyć Rosję na plecy i przespacerować się po niej tam i z powrotem. Jest koncepcja, że Rosja pomoże w wojnie z Chinami, ale nie ma gwarancji, że pomoże nam, tylko raczej pomoże Chinom. Nie ma żadnej świetlonej drogi przed cywilizacją, żadnej przesłanki, która by wskazywała, że wszystko będzie OK i nie ma się czym martwić.

W takim razie: czy jest coś, co dziś zachwyca jeszcze w pojedynczym człowieku?

Tak. Człowiek jest bardzo piękną maszyną biologiczną. Oglądam dużo sportu, bo transmisje sportowe pozostają, mam wrażenie, nie za fałszowane. Oglądam lekkoatletykę, piłkę nożną i widzę, jak te maszyny biologiczne działają. Ale czytam też książki, czasem obejrzę film i widzę, że człowiek ma niekieski mózg i zdolności twórcze, które składają do produkcji imponujących rzeczy. W tym tkwi wielkość człowieka: w połączeniu biologii, ruchliwości, impetu, z możliwościami umysłowymi. Tylko jak wyjść z węzła cywilizacyjnego? Jak nad tym kryzysem zapanować? Byłbym bardzo wdzięczny, gdyby mi to ktoś powiedział.

KSIĄŻKA



Marek Oramus, „Pieśń rąbanego lasu”, Wydawnictwo: Stalker Books

RATOWNIK STWORZYŁ APLIKACJĘ, KTÓRA MOŻE URATOWAĆ ŻYCIE

Gdy pacjent nie da rady mówić, a każda sekunda decyduje o życiu, telefon może stać się najważniejszym narzędziem ratunkowym. Tomasz Citkowski, ratownik medyczny z Podlasia, stworzył aplikację Info Ratunek, która w nagłych sytuacjach „mówi” za pacjenta, przekazuje kluczowe dane służbom i pomaga wezwać pomoc

Agnieszka Domanowska

Przez 15 lat pracy widział Pan setki interwencji. Co było impulsem do stworzenia aplikacji Info Ratunek?

To nie był jeden moment, raczej proces. Każda interwencja zostawiała w głowie pytanie: czy mogłem działać szybciej, skuteczniej? Przyjeżdżamy do pacjenta i często nie mamy podstawowych informacji: jakie mają choroby przewlekłe?, jakie biorą leki?, jakie mają alergie? Pacjent bywa w stanie zagrożenia życia, ma duszność, jest zdezorientowany lub sparaliżowany bólem. Rodzina zaś często nie jest w stanie nic powiedzieć, nie ma pojęcia, gdzie znajduje się dokumentacja medyczna lub ma skąpą wiedzę na temat chorób, alergii czy przyjmowanych przez pacjenta leków. A my musimy działać natychmiast. Pomyślałem: każdy nosi telefon, więc dlaczego nie wykorzystać go do przekazywania danych, które mogą uratować życie?

Czyli Info Ratunek powstał z potrzeby skrócenia dramatycznych pierwszych minut?

Myszę, że tak. To narzędzie stworzone na moment kryzysu zdrowia pacjenta. Wystarczy aparat telefoniczny pacjenta i uzupełnione dane w aplikacji, by ratownik w kilka sekund uzyskał kluczowe informacje. Nie trzeba czekać, aż znajdzie się karta informacyjna ze szpitala, nie trzeba dopytywać chorego. Te pierwsze minuty są decydujące – każda uproszczona procedura zwiększa szanse przeżycia. A pamiętajmy, że często zabieramy pacjentów z ulicy i nie każdy ma przy sobie potrzebne informacje, a stan zdrowia może się na tyle pogorszyć, że zebranie wywiadu i uzupełnienie karty czynności medycznych pochłania kolejne cenne minuty.

Jakie informacje są najważniejsze z punktu widzenia ratownika?

Najważniejsze są te dane, które pozwalają połączyć objawy choroby z wywiadem i obecnym stanem pacjenta, by działać natychmiast i skutecznie, bez trącenia cennych sekund na dopytywanie pacjenta. To

wszystko pozwala jak najszybciej wdrożyć odpowiednie procedury medyczne i leczenie. Przede wszystkim chodzi o wywiad chorobowy – szybka diagnoza pozwala przewidzieć możliwe komplikacje i dostosować postępowanie. Kolejna kluczowa rzecz to przyjmowane leki i dawki, bo niektóre z nich mogą wchodzić w interakcje z lekami podawanymi w nagłych przypadkach, ale też źle zażywane mogą dawać konkretne objawy choroby. Alergie również mają ogromne znaczenie – reakcja anafilaktyczna może rozwinąć się w kilka minut, a znajomość alergii pozwala natychmiast zastosować właściwe leki. W aplikacji jest odpowiednie miejsce, gdzie możemy zostawić informacje, gdzie znajdują się leki ratujące życie i jak je podać jeszcze przed przyjazdem Zespołu Ratownictwa Medycznego w sytuacji np. wstrząsu anafilaktycznego czy hipoglikemii. Dzięki tym informacjom nawet osoby postronne, które nie mają wykształcenia medycznego, mogą udzielić skutecznej pomocy, zanim przyjedzie karetka. To ogromna różnica, bo w nagłych przypadkach – takich jak wstrząs anafilaktyczny, zawał serca, udar mózgu czy zatrzymanie krążenia – każda minuta decyduje o życiu i zdrowiu pacjenta. Ratownik na miejscu zdarzenia, kiedy ma komplet takich danych, jest w stanie błyskawicznie podjąć właściwe działania, ograniczyć ryzyko powikłań i zwiększyć szanse pacjenta na przeżycie.

Czy Info Ratunek sprawdza się także przy nagłych zdarzeniach, takich jak zawał czy udar?

Tak. Przy zawałach pacjent często ma duszność, silny ból oraz lęk o własne życie. Każda rozmowa to dodatkowy wysiłek. Jeśli mamy informacje w telefonie, nie musimy zadawać wielu pytań. Podobnie przy udarze, gdy pacjent może mieć zaburzenia mowy lub świadomości. Aplikacja Info Ratunek „mówi” za niego: zgromadzone karty informacyjne z poszczególnych oddziałów, wszystko chronolo-



Tomasz Citkowski – ratownik medyczny z Wojewódzkiej Stacji Pogotowia Ratunkowego w Białymstoku

gicznie posegregowane, wyniki badań, stosowane leki i dawki, dziennik pomiarów parametrów życiowych czy zapisane niepokojące objawy – wszystko to pozwala ratownikowi działać natychmiast. A nawet gdy pacjent nie jest w stanie rozmawiać z powodu dysfunkcji mowy czy rurki tracheotomijnej, przez aplikację można wysłać SMS SOS z opisem stanu zdrowia, a lokalizacja i dane pacjenta są uzupełniane automatycznie.

Aplikacja wspiera też rodziny i opiekunów?

Tak, aplikacja jest ogromnym wsparciem dla rodzin i opiekunów osób chorych. Umożliwia wprowadzenie danych bliskich, dzięki czemu w sytuacjach kryzysowych ratownicy mają dostęp do kontaktów do najważniejszych osób, które mogą udzielić dodatkowych informacji lub wspomóc w opiece. Możemy także dodać osoby do informowania o stanie zdrowia – ta informacja trafia dalej do dokumentacji w szpitalu i rodzina może bez przeszkód uzyskać informację, co dalej dzieje się z pacjentem. Można również szczegółowo wprowadzić listy leków, ich dawkowanie i harmonogram przyjmowania – to niezwykle istotne w przypadku osób starszych, przewlekłe chorych lub tych, które mają trudności z pamięcią.

Dodatkowo aplikacja pozwala gromadzić wyniki badań ze zdjęciami oraz ustawiać przypomnienia o wizytach lekarskich w kalendarzu wizyt Info Ratunek. Dzięki temu opiekunowie nie muszą stale pilnować papierowych kartotek ani martwić się o pominięcie ważnej informacji – wszystko jest dostępne w jednym miejscu, bezpośrednio na telefonie. Dla rodzin oznacza to realne odciążenie i poczucie spokoju, że w nagłej sytuacji mogą działać szybko i skutecznie. Wiedza, że najważniejsze dane są zawsze pod ręką, zmniejsza stres i daje poczucie bezpieczeństwa, a jednocześnie zwiększa szanse na właściwą reakcję w kryzysie. To rozwiązanie, które łączy komfort opiekunów z bezpieczeństwem osób potrzebujących pomocy.

Jednym z kluczowych elementów jest moduł lokalizacji. Jak działa w praktyce?

W nagłych sytuacjach liczy się nie tylko adres, ale konkretne współrzędne miejsca zdarzenia. Jeśli ktoś zaśnie w lesie, w drodze czy w mieście, którego topografii nie znamy, aplikacja pozwala precyzyjnie określić miejsce – najbliższy adres lub dane GPS, długość i szerokość geograficzną. Wystarczy podać dane z aplikacji dyspozytorowi medycznemu przy wzywaniu pomocy. To realnie

skraca czas dotarcia pomocy i zwiększa szanse przeżycia.

W aplikacji znalazł się również moduł wsparcia psychicznego. Dlaczego?

Kryzysy psychiczne są ogromnym problemem, a dostęp do natychmiastowej pomocy bywa utrudniony. Dlatego w aplikacji znajdują się numery wsparcia dla dzieci, młodzieży, dorosłych oraz służb mundurowych. Chodzi o to, aby w momencie kryzysu pomoc była dostępna od razu – bez szukania w internecie. Osoba z depresją czy w kryzysie psychicznym znajdzie kilka numerów z całodobową pomocą psychologów. To realnie może pomóc w chwili słabości, a nawet zmniejszyć liczbę prób samobójczych czy samobójstw.

Info Ratunek uczy również pierwszej pomocy.

Tak, każdy może zostać ratownikiem, a udzielanie pomocy jest też naszym prawnym obowiązkiem. Aplikacja poprowadzi użytkownika krok po kroku w stanach nagłego zagrożenia życia, opisując objawy np. udaru, zawału czy zatrzymania krążenia, ale też dając instrukcje, co robić i czego unikać. Bardzo ważną funkcją aplikacji jest również wskazanie najbliższego AED (automatycznego defibrylatora zewnętrznego) w okolicy. W Polsce dochodzi do ponad 40 tysięcy zatrzymań krążenia rocznie, a szybkie użycie defibrylatora AED zwiększa szanse przeżycia z 5 do nawet 70 proc. W aplikacji znajduje się mapa najbliższego AED z nawigacją dojazdu. Jeśli chodzi o Białystok, mamy dość sporo AED, ale poza aglomeracją jest ich niewiele w promieniu kilkudziesięciu kilometrów. Będę pracować nad tym, by zwiększyć dostępność urządzeń ratujących życie w zatrzymaniu krążenia, tym bardziej że dojazd karetki może trwać nawet kilkanaście minut, a samo urządzenie jest zawsze dostępne i bardzo proste w obsłudze. By ułatwić udzielanie pomocy, zastosowano moduły głosowe, tak by ręce mogły działać, a oczy szukać objawów i skupić się na bezpieczeństwie.

W stresie łatwo popełnić błąd. Aplikacja porządkuje działania i pozwala komuś przetrwać do przyjazdu służb ratunkowych. To edukacja praktyczna, realne wskazówki i wsparcie w nagłych sytuacjach.

Apka pomaga też rozpoznawać sygnały alarmowe syren i wskazuje, jak postępować w przypadku ataku dronów czy bombowych.

Rzeczywiście, w obecnej sytuacji bezpieczeństwa szczególną uwagę zwróciliśmy na rozbudowę aplikacji o moduł sygnałów alarmowych oraz jasne procedury postępowania w przypadku ataków dronów czy alarmów bombowych. Społeczeństwo zbyt często nie wie, jak interpretować sygnały alarmowe. Z doświadczeń ostatnich lat – zarówno z Ukrainy, jak i z analiz zdarzeń kryzysowych w Europie – wynika jasno, że największym zagrożeniem nie jest sam alarm, ale brak wiedzy, co dokładnie należy zrobić w pierwszych minutach po jego usłyszeniu. Panika, chaos i sprzeczne informacje prowadzą do błędnych decyzji, które mogą kosztować zdrowie lub życie. Dlatego w aplikacji Info Ratunek użytkownik otrzymuje rozpoznawanie rodzajów sygnałów alarmowych i ich znaczenia oraz konkretne instrukcje krok po kroku, jak zachować się przy alarmie bombowym, ataku dronów czy zagrożeniu powietrznym.

Jak długo powstawała aplikacja?

W głowie około pięciu lat. Technicznie to rok intensywnej pracy po dyżurach. Projekt stworzony bez zaplecza korporacyjnego, bez reklam – z potrzeby i z doświadczenia.

Aplikacja kosztuje jednorożowo 14,99 zł.

To symboliczna kwota. Aplikacja zostaje na całe życie i może uratować nie tylko użytkownika, ale również jego bliskich. Dla mnie to inwestycja w bezpieczeństwo – realne narzędzie, które może uratować życie w sytuacji, gdy liczy się każda sekunda.

OSKARŻENIE Z WOSKU. WOJSKOWY PROKURATOR POZYWA WYNALAZCÓW

Miał być wynalazek, który zrewolucjonizuje przetwarzanie odpadów. Patent jest, ale wynalazek skończył na złomie, a jego twórców - po tym, jak zwrócili się o jego finansowe wsparcie - oskarża dziś wojskowa prokuratura. Wynalazcy mówią wprost: to wygląda tak, jakby ktoś chciał przejąć nasz projekt

Justyna Piasecka-Gabryel

Gdy policjanci po raz drugi wchodzą do domu Bartłomieja Wasiniaka, szukają reaktora do pirolizy, metalowego urządzenia wielkości stolika, serca jego opatentowanej technologii przerabiania plastikowych odpadów na frakcje wosków i parafin. Zagląją do szafek, także tej z bielizną.

- Byli zdziwieni, kiedy powiedziałem im, że tydzień wcześniej reaktor pociąłem szlifarką i oddałem na złom - opowiada Wasiniak. - Wolałem go zniszczyć, niż patrzeć, jak ktoś próbuje wyciągnąć z niego szczegóły technologii. Niech zostaną w mojej głowie.

On i jego wspólnik Tomasz Sierszchuła są dziś oskarżeni o usiłowanie wyłudzenia 1,7 mln zł z Freya Capital - funduszu venture capital, który inwestował m.in. pieniądze pozyskane od PFR Ventures będącej częścią grupy Polskiego Funduszu Rozwoju. Sprawę - co też jest w tej sprawie zaskakujące - prowadził Wydział do Spraw Wojskowych Prokuratury Okręgowej w Warszawie.

Mężczyźni mówią: mamy poczucie, że to próba przejęcia naszej technologii pod przykrywką śledztwa. Prokuratura: to nieudane oszustwo na publiczne pieniądze, wsparte - w jej ocenie - sfałszowanymi dokumentami z badań laboratoryjnych.

Reaktor, który przetworzy śmieci w wosk

Punkt wyjścia wyglądał obiecująco. Circu Eco, spółka z Poznania, której zarząd tworzyli Wasiniak i Sierszchuła, szukała finansowania na przemysłowe wdrożenie technologii pirolizy plastiku - głównie polipropylenu i polietylenu.

- Piroliza jest znana od lat, ale sedno jest w szczegółach: jak

ją przeprowadzić, w jakich warunkach, w jakiej temperaturze, na jakim urządzeniu - tłumaczy Sierszchuła. - My nie wymyśliśmy nowego rynku. Połączyliśmy dwa istniejące: górę zalegających odpadów z tworzyw sztucznych i ogromny rynek wosków i parafin.

- Polska jest znaczącym graczem na rynku parafin i wosków. Jesteśmy potentatem produkcji zniczy, świec, produktów parafinowych - mówi Wasiniak. - W covidowym 2022 r. cena dla producentów świec skoczyła - z ok. 3,5 tys. do nawet ok. 11 tys. zł za tonę. Nasza technologia, według naszych wyliczeń, pozwalała zejść z kosztem do ok. 3 tys. zł za tonę. Gdy rozmawialiśmy z odbiorcami, mówili, że już płacą 4,5 tys. zł. Dziś - ok. 5-6 tys., mimo że minęły już trzy lata.

Technologia - jak podkreślają - była w trakcie patentowania, a potem patent uzyskali. Dotyczył układu do prowadzenia procesu pirolizy tworzyw sztucznych. - W biznesplanie zakładaliśmy, że jedna instalacja przerabiająca zaledwie 400 ton odpadów miesięcznie generuje ok. miliona złotych zysku operacyjnego, oczywiście zależnie od rodzaju, sposobu i cen energii potrzebnej do procesu - zaznacza Bartłomiej Wasiniak. - Plan był prosty: najpierw 3-4 instalacje w Polsce, potem kilkadziesiąt, wyjście za granicę.

Akt 1. Kto zainwestuje?

Kapitał na to miał dać Freya Capital, fundusz, którego większość środków pochodzi z PFR Ventures (spółki z w większości należącej do Skarbu Państwa, grupy Polskiego Funduszu Rozwoju), z unijnych pieniędzy w ramach Programu Operacyjnego Inteligentny Rozwój, a reszta od prywatnych inwestorów i zarządzających. Pierwszy



Bartłomiej Wasiniak i Tomasz Sierszchuła twierdzą, że nikt nie przeprowadził badań, których się domagali

mejl do Freya Capital wysłali w grudniu 2021 r. Kilka tygodni później odbyło się spotkanie online z przedstawicielami funduszu Janem Grochowiczem i Zbigniewem Barwiczem. Przedstawili biznesplan, kamienie milowe, potencjał rynku. Żeby wzmocnić wiarygodność, pokazali sprawozdania z badań próbek frakcji parafiny i wosków wykonanych - jak twierdzili - w renomowanym laboratorium J.S. Hamilton Poland.

Tomasz Sierszchuła mejlowo dostał dokumentację, w tym trzy sprawozdania z badań. Następnie Freya Capital zdecydowała się na kolejny krok, podpisanie tzw. term sheet, dokumentu wstępnie regulującego warunki potencjalnej inwestycji.

Akt 2. Pieniądzy nie ma, umowy nie ma, jest oskarżenie

- Jesteśmy oskarżeni o usiłowanie wyłudzenia 1,7 mln zł

na podstawie rzekomego podpisania „umowy term sheet” - mówi Sierszchuła. - Tymczasem term sheet jest szeroko stosowanym w świecie start-upów arkuszem warunków. Nie jest umową, nie ma mocy wiążącej, nie zobowiązuje do żadnego finansowania. Wprost jest to napisane w dokumencie po angielsku, który podpisaliśmy.

Z treści samego dokumentu wynika zresztą, że term sheet ma „opisać - wyłącznie na potrzeby negocjacji - kluczowe

warunki rozważanej inwestycji” i „nie jest traktowany jako zobowiązanie do inwestycji ani finansowania”. Mowa jest więc o porozumieniu, a nie o umowie inwestycyjnej.

Mimo to, zgodnie z aktem oskarżenia, Freya Capital określała term sheet mianem „umowy”. To samo znalazło się - jak mówią oskarżeni, w formalnych zarzutach stawianych im przez prokuraturę. Ale ta sama Freya Capital w jednym z artykułów prasowych z 2021 roku, opisującym ich fundusz, wskazuje, że w tamtym okresie podpisała już swoje pierwsze dokumenty term sheet ze start-upami oraz że dokument to jednak „niewiążące porozumienie, które służy jako szablon określający ogólne warunki przyszłej inwestycji”. Podobne informacje na temat dokumentu typu term sheet można znaleźć na stronach Startup.PFR.pl należących do Polskiego Funduszu Rozwoju.

8 lipca 2025 r. ppłk Anna Gomułska z Wydziału do Spraw Wojskowych Prokuratury Okręgowej w Warszawie skierowała do sądu akt oskarżenia przeciwko Tomaszowi Sierszchułowi i Bartłomiejowi Wasiniakowi. Zarzut: usiłowanie oszustwa znacznej wartości w zbiegu z fałszowaniem dokumentów, działając wspólnie i w porozumieniu, w krótkich odstępach czasu, w celu osiągnięcia korzyści majątkowej. W skrócie, według prokuratury od 14 grudnia 2021 r. do 12 kwietnia 2022 r. obaj wspólnicy, jako zarząd Circu Eco, mieli doprowadzić Freya Capital na skraj niekorzystnego rozporządzenia mieniem w kwocie 1,7 mln zł w ten sposób, że: posłużyli się przerobionymi sprawozdaniami z badań J.S. Hamilton Poland - zamiast nazwy faktycznego zleceńodawcy „GM Color sp. z o.o.” wpisano „Bartłomiej Wasiniak?”; wprowadzili fundusz w błąd co do tego, kto zlecał ba-

FOT. DAM JASTRZĘBOWSKI

dania i czy rzeczywiście dysponują technologią do upcyklingu odpadów tworzy sztucznych; powoływali się na te dokumenty w procesie pozyskiwania finansowania.

Akt 3. Badania były, ale zlecał ktoś inny

Według aktu oskarżenia po nieudanym eksperymencie technologicznym w domu Wasiniaka, po stwierdzeniu - przez Freyę - że sprawozdania z badań są sfałszowane i po spotkaniach, na których oskarżeni mieli przyznać, że nie zlecali badań w J.S. Hamilton Poland, fundusz zdecydował się odstąpić od dalszych rozmów inwestycyjnych, a następnie złożył zawiadomienie o przestępstwie. Prokuratura szacuje, że 1,7 mln zł to wysokość planowanej inwestycji, wynikającej z term sheet i projektowanej umowy inwestycyjnej; kwota, której Freya nie wypłaciła, bo w porę miała wykryć nieprawidłowości.

Wasiniak przyznaje, że zmienił zleceniodawcę na dokumentach, ale twierdzi, że próbki były jego.

- Badania faktycznie zleciła spółka GM Color, ale próbki frakcji woskowo-parafinowej pochodziły ode mnie - mówi. - Uważałem, że mam do nich pełne prawa. Zmieniłem dane zleceniodawcy, bo miałem z GM Color spór cywilny, nie chciałem, by wchodzili w nasz projekt. Wynik badań dotyczył frakcji woskowo-parafinowej uzyskanej z mojej technologii, dla mnie to było kluczowe. Freya i tak miała podjąć decyzję o inwestycji na podstawie własnych próbek zebranych w ramach szczegółowej analizy. Tego nie zrobili, mimo że na to nalegaliśmy.

Akt 4. Czy finansista zna się na eksperymentach?

Kluczową rolę w narracji prokuratury odgrywa eksperyment technologiczny z 22 marca 2022 r., przeprowadzony w domu Bartłomieja Wasiniaka. To tam - według przedstawicieli Freya Capital - miało dojść do „nieudolnej próby oszustwa”. Ludzie z funduszu twierdzili, że sprzęt nie był przygotowany, brakowało gazów technicznych, a kolektory, w których miała zebrać się wytworzona frakcja, były już przed rozpoczęciem procesu wypełnione ciepłą substancją.

Jan Grochowicz, reprezentujący Freyę przy tym projekcie, uznał to za poważny sygnał alarmowy. W jego ocenie mogło chodzić o podłożenie wcześniej przygotowanej frakcji, by pokazać ją jako efekt eksperymentu. Był przy tym świadek niezależny, znajomy Wasiniaka, który zwrócił uwagę na to, że jeśli w kolektorach była frakcja parafinowo-woskowa, mogła to być pozosta-

łość po wcześniejszych próbach.

Oskarżeni opowiadają, że spodziewali się czegoś zupełnie innego. - Umówiliśmy się, że fundusz przyjedzie z niezależnym ekspertem, że będą procedury, powtarzalność, seria prób - mówi Wasiniak. - Ostatecznie dostałem potwierdzenie przyjazdu w dniu wizyty. Zamiast ekipy badawczej, w tym niezależnego eksperta, o którego obecność wnosiliśmy, przyjechał sam Grochowicz. Zaczął rozkręcać mi aparaturę, podnosić głos, zbliżać się do reaktora i naciskać na udostępnienie schematu, choć zastrzegaliśmy, że nie wolno im manipulować ustawieniami, by nie ingerowali w know-how.

- My od początku tłukliśmy im do głowy, że jeśli chcą rzetelnie zbadać proces, trzeba go powtórzyć kilkakrotnie i uśrednić wyniki - na co fundusz się wstępnie zgodził - dodaje Sierszchuła. - Inwestycja miała być w biznes, nie w zakup patentu. Wiedza powinna pozostać u nas. Fundusz wchodzi na kilka lat, obejmuje ok. 30 proc. udziałów, wychodzi zyskiem. Gdyby dostał pełne know-how, mógłby pójść z nim do kogoś innego.

Po eksperymencie Freya zleciła weryfikację sprawozdań z badań w J.S. Hamilton Poland, uzyskała informację o przerobieniu dokumentów i zdecydowała o zawiadomieniu prokuratury.

Na tym historia mogłaby się skończyć jak wiele sporów pomiędzy start-upami a inwestorami. Ale nie kończy się. Latem 2022 r. do prokuratury rejony w Warszawie trafiają dwa zawiadomienia: od Freya Capital i od J.S. Hamilton Poland. Sprawa zostaje następnie przekazana do Wydziału do Spraw Wojskowych Prokuratury Okręgowej w Warszawie, gdzie oba wątki połączone pod wspólną sygnaturą.

Akt 5. Dlaczego prokurator wojskowy?

Oskarżeni do dziś nie znają odpowiedzi na to pytanie. Ich spółka zarejestrowana jest w Poznaniu, projekt nie ma związku z wojskiem ani obronnością.

- W kwietniu 2022 r., kiedy negocjacje się sypały, panowie z Freyi - w Warszawie - straszyli nas „prokuratą wojskową” - wspomina Sierszchuła. - Brzmiało jak coś z innej epoki.

Gdy w 2025 r. spotykają się z ówczesnym ministrem sprawiedliwości Adamem Bodnarem, ten dopytuje, czy chodzi o prokuratora Janeczka, zastępcę Prokuratora Krajowego ds. wojskowych, kojarzonego z poprzednią władzą. Janeczek w tej sprawie w aktach się nie pojawia, ale wątpliwości zostają.

Dla Wasiniaka i Sierszchuły ten kontekst jest istotny. W ich narracji kluczowe role odgry-

wają: Prokuratura Okręgowa w Warszawie - która, jak wynika z raportów stowarzyszenia „Lex Super Omnia” i doniesień medialnych, za rządów Zbigniewa Ziobry miała być jedną z kluczowych jednostek do obsługi „spraw politycznych”. Dalej, prokurator Anna Gomułka - awansowana w 2018 r. przez prokuratora Przemysława Funioka, bliskiego współpracownika Ziobry - dziś oskarża ich przed sądem. Wreszcie PFR Ventures, gdzie w zarządzie zasiadali menedżerowie opisywani w mediach jako „system Morawieckiego”.

- Gdyby nie zmiana władzy w 2023 r., nasza dociekliwość, poświęcone noce i setki wysłanych pism, to obawiam się, że nasza sprawa wyglądałaby gorzej, a my moglibyśmy dziś już siedzieć - mówi Sierszchuła. - Mam poczucie, że mieliśmy być lekkostrawną przekąską, a ten system był tak ustawiony, żeby takie sprawy było łatwo pchać do przodu.

Według oskarżonych, już pierwsze działania śledczych mocno koncentrowały się na ich technologii. Z ich relacji wynika, że policja przeszukiwała ich domy i biurowy adres spółki; organy ścigania były szczególnie zainteresowane dokumentacją procesu, parametrami pirolizy, konstrukcją reaktora, listami potencjalnych klientów i planami rozwoju.

- Prokurator żądała wydania wszelkich materiałów dotyczących procesu technologicznego: parametrów pirolizy, konstrukcji reaktora, list potencjalnych klientów, planów lokalizacji fabryk - wylicza Wasiniak. - Wtedy nasza technologia była jeszcze w trakcie patentowania, później patent uzyskali. Freya doskonale o tym wiedziała. Na pierwszym z przesłuchań - jak opowiada - zdecydowana większość pytań dotyczyła właśnie technologii.

- Miałem wrażenie, że to checklista do biznesplanu, który można komuś przekazać - mówi. - Temperatura, czas, dobór surowca, lista odbiorców, gdzie można zbudować instalację, jaka firma mogłaby ją zbudować, jakie są koszty, jakie pozwolenia są potrzebne. To brzmiało jak rozmowa nie tyle o zarzutach, ile o tym, jak „opakować” projekt.

Po tym, jak oskarżeni przedłożyli do akt patent, prokurator - jak relacjonują - zleciła kolejne czynności ukierunkowane na ich technologię. Z ich perspektywy miało to prowadzić do wydobycia jak największej ilości informacji o rozwiązaniu, którego byli autorami. - W naszej ocenie działania prokuratury wykroczały poza to, co jest potrzebne do ustalenia, czy doszło do przestępstwa - uważa Sierszchuła. - Według nas usiłowano naruszyć tajemnicę przedsiębiorstwa i przejąć technologię, zamiast ją po prostu uczciwie zweryfikować.

Akt 6. Jak badano sprawę?

Oskarżeni wielokrotnie wnosili - na piśmie - o przeprowadzenie czynności w siedzibach Freya Capital i PFR Ventures, by zabezpieczyć pełną korespondencję i dokumentację wewnętrzną funduszu. Bezsukcesywnie.

Kolejnym filarem oskarżenia jest opinia biegłych z Instytutu Technologii Paliw i Energii w Zabrze. Z tej opinii wynika, że technologia, którą dysponowali oskarżeni, znajdowała się - w uproszczeniu - na wczesnym etapie rozwoju, typowym raczej dla badań i testów, niż gotowej instalacji przemysłowej. Biegli mieli też kwestionować, czy dwojka założycieli ma wystarczające przygotowanie, by samodzielnie zaprojektować i wdrożyć linię technologiczną na dużą skalę.

Oskarżeni ostro to podważają.

- Uważamy, że biegli nie powinni w ogóle wydawać opinii bez pełnego dostępu do wszystkich informacji i bez udziału w samej analizie. Tymczasem zignorowano nasz patent oraz wcześniejsze prace w obszarze pirolizy, w tym dużą liczbę przeprowadzonych prób. Technologia była testowana w małej skali, a to właśnie finansowanie ze strony Freya Capital miało umożliwić jej wdrożenie na większą skalę. Dodatkowo opinia biegłych powstała - w naszej ocenie - przy nadmiernym wpływie prokuratury, a w toku postępowania doszło do nieprawidłowości dotyczących zarówno dostępu do akt, jak i sposobu formułowania pytań do biegłych - twierdzą.

Zawiadomili prokuratorę o rzekomym poświadczeniu nieprawdy przez biegłych i o przekroczeniu uprawnień przez prokurator Gomułką. Sprawy trafiły m.in. do innych jednostek prokuratury. Żadne z tych zawiadomień - jak wynika z odpowiedzi na nasze pytania zadane prokuratorze - nie doprowadziło do wszczęcia postępowania przeciwko prokuratorce czy biegłym. Wszystkie uznano za bezzasadne.

Akt 7. Bez odpowiedzi

Pytania dotyczące sprawy zadaliśmy także pozostałym stronom postępowania.

Na pytania o podstawy prawne działań w sprawie - w tym o rolę term sheet, dobór biegłych, zakres przeszukań czy ocenę eksperymentu z 22 marca - prokurator Anna Gomułka nie odpowiedziała bezpośrednio. W imieniu Prokuratury Okręgowej w Warszawie głos zabrał prok. Piotr A. Skiba. Napisał m.in., że postępowanie zostało zakończone aktem oskarżenia, a od tego momentu „pozostaje w gestii sądu; nie jest praktyką proku-

ratury szczegółowe komentowanie „treści czynności dowodowych ani oceny przeprowadzonych dowodów” w mediach - właściwym miejscem jest sąd i uzasadnienie aktu oskarżenia; „krytyczny stosunek podejrzanych do postępowania” i „subiektywne poczucie niezadowoloności” nie są sytuacją wyjątkową; podejrzani z prawa do skarg i zażaleń, ale „sądy nie stwierdziły żadnych nieprawidłowości, a w szczególności naruszenia prawa” „nie znalazły potwierdzenia zarzuty braku bezstronności” wobec prokurator nadzorującej postępowanie, wnioski o jej wyłączenie nie zostały uwzględnione; wszystkie czynności „realizowano w granicach prawa i z zachowaniem zasady bezstronności”.

Na koniec prokuratura odsyła dziennikarzy do sądu jako dysponenta akt - to tam, jak zaznacza, można znaleźć „najbardziej wiarygodne źródło informacji” o treści dowodów.

Pytania zadaliśmy również przedstawicielom Freya Capital, PFR Ventures i PFR.

W imieniu Polskiego Funduszu Rozwoju i PFR Ventures informacji udzielił Maciej Buczkowski, rzecznik prasowy.

- PFR Ventures prowadzi bieżący nadzór nad funduszami Venture Capital i Private Equity, w które inwestuje środki. Wśród nich znajduje się zespół zarządzający Freya Capital - wskazał. - PFR Ventures, realizując swoje zadania nadzorcze wobec funduszu, przyjrzało się procesowi współpracy Freya Capital z firmą Circu Eco. Ustalono, że działania zespołu zarządzającego były zgodne ze standardami rynkowymi i nie naruszały zobowiązań umownych.

Spółka zaznacza także, że „PFR Ventures nie może ograniczać ani zakazywać funduszom ze swojego portfela czy spółkom przesyłania zawiadomień do odpowiednich organów, gdy podmioty te identyfikują naruszenia przepisów prawa”. Jak dodaje, „fundusze VC z naszego portfela finansowane są przy udziale środków publicznych. W związku z tym podmioty te mają szczególny obowiązek dbania o prawidłowe wydatkowanie tego kapitału oraz przeciwdziałanie działaniom noszącym znamiona naruszenia prawa”. Odnosząc się do samego zawiadomienia, przedstawiciele PFR i PFR Ventures podkreślają, że spółka „nie udziela informacji o toczących się postępowaniach karnych”.

- Warto jednak wskazać, że fakt wystąpienia przez prokurator z aktem oskarżenia przeciwko osobom, których dotyczy opisywana działalność, wydaje się potwierdzać obawy funduszu Freya Capital i zasadność podjętych działań - podkreślił.

W odpowiedzi czytamy również, że „PFR Ventures informuje swojego głównego akcjonariusza - Polski Fundusz Rozwoju, a także pozostałych partnerów instytucjonalnych o wydarzeniach w poszczególnych zespołach zarządzających. Wśród nich znajdowały się także informacje o Circu Eco i Freya Capital. Miało to miejsce w ramach standardowych działań związanych z nadzorem”. Przypominamy także, że PFR Ventures jest jednym z kilku inwestorów funduszu Freya Capital. Zespół bazuje także na środkach alokowanych przez inwestorów prywatnych. Zgodnie z międzynarodowymi standardami - fundusz prowadzi cały proces inwestycyjny w sposób niezależny od swoich inwestorów (to oznacza, że PFR Ventures, ani PFR nie ma wpływu np. na decyzje inwestycyjne Freya Capital) - podkreślił.

Do momentu publikacji nie otrzymaliśmy odpowiedzi od Freya Capital, mimo wielokrotnej próby kontaktu.

Akt 8. Układ zamknięty

- Trudno logicznie wykażać, że usiłowaliśmy doprowadzić do niekorzystnego rozporządzenia mieniem Freya Capital, skoro to my wielokrotnie wnioskowaliśmy o udział niezależnego eksperta branżowego oraz o rzetelną analizę projektu - zarówno do Freya Capital, jak i do PFR. Co więcej, to my jako pierwsi, już w maju 2022 roku, złożyliśmy zawiadomienie na Freya Capital do PFR, jeszcze przed zawiadomieniem złożonym przez sam fundusz - podkreśla Sierszchuła.

Przez trzy lata postępowania przygotowawczego Tomasz Sierszchuła i Bartłomiej Wasiniak żyli w zawieszeniu.

- Od pierwszego przeszukania Bartek przestał czuć się bezpiecznie we własnym domu - mówi Sierszchuła. - Ma problemy z zasypianiem, korzysta z pomocy psychiatry i psychologa. Nasiliły się u niego stany lękowe, spadła koncentracja, efektywność pracy, poczucie bezpieczeństwa.

- To straszne, kiedy we własnym domu drżysz za każdym razem, gdy po zmroku przejeżdża obok jakiś samochód - mówi Wasiniak.

Sam Sierszchuła opisuje, jak zdalny dostęp do dokumentów śledztwa zajął mu noc.

- Musiałem przebrnąć przez setki stron akt, by zobaczyć, jak moim zdaniem - próbuje się nas wrobić: od zawiadomień i zeznań świadków, przez sposób prowadzenia dowodów, po treść aktu oskarżenia i to, czego w nim zabrakło, choć powinno się tam znaleźć. Te lata postępowania to ciągła analiza działań prokuratury i szybkie reakcje z naszej strony - setki pism, wniosków, skarg i zawiadomień kierowanych do prokuratury oraz innych instytucji - mówi.

ANNA WENDZIKOWSKA: KU ZMIANIE, CZYLI GDZIE TYLKO CHCEMY

Chciałam osiągnąć sukces, bo wydawało mi się, że jest on tożsamy ze szczęściem, a okazało się, że nie. Dziś uważam, że szczęście wiąże się ze spokojem i wolnością życia na własnych zasadach – mówi Anna Wendzikowska, aktorka, dziennikarka, prezenterka telewizyjna, podcasterka

Anita Czupryn

Kiedy wzięłam do ręki Twoją najnowszą książkę „Ku zmianie. 102 nawyki świadomego życia”, pomyślałam: Ku zmianie? Czyli dokąd?

Gdzie tylko chcemy. Ta książka jest o tym, że jesteśmy twórcami własnego życia. I choć czasem mamy ochotę oddać ster komuś innemu, albo powiedzieć, że to ktoś inny jest winny, to ktoś nam coś zrobił i jesteśmy ofiarą, to prawda jest taka, że sami tworzymy swoje okoliczności. Oczywiście nie wszystkie. Ale przychodzi taki moment, kiedy możemy iść, dokąd chcemy. I to jest ważne: uznać, że miejsce, w którym jestem, jest w jakiejś mierze sumą moich decyzji. Czasem to trudne do przyjęcia, bo nie zawsze jesteśmy zadowoleni z tego miejsca. Ale ta świadomość daje wolność i sprawczość: skoro tu jestem, to mogę też pójść dalej; tam, gdzie chcę. Moja pierwsza książka „Ku szczęściu” była bardziej o budowaniu odpowiedzialności. Ta jest dodatkowo o tym, że sama świadomość nie wystarczy, że od niej nic się nie zmienia, jeśli nie idzie za nią działanie. Piszę więc o nawykach, także takich bardzo fizycznych, które poprawiają dobrostan: o śnie, jedzeniu, byciu w naturze. To proste rzeczy, które przywracają nas do korzeni, do bardziej naturalnego życia z ruchem, z oddechem, z przyrodą. I to naprawdę widać od razu: głowa zaczyna lepiej pracować, rosną zdolności poznawcze, kreatywność.

Kiedy Ty naprawdę poczułaś, że możesz iść, dokąd chcesz?

Najpierw wiedziałam, że mogę iść, gdzie chcę w sensie sprawczości. I chyba miałam to od zawsze. Tyle że ja tę sprawczość skierowałam w sukces, bo sukces skleił mi się ze szczęściem, spełnieniem, miłością. Wydawało mi się, że jeśli będę odnosić sukcesy, będę widziana, doceniana, kochana. To się brało z domu i z tej mojej lękowej potrzeby miłości. Moje szkolne i pozaszkolne osiągnięcia były momentami, kiedy czułam się zauważona. W do-

rośnym życiu to się połączyło w jeden mechanizm: sukces jako dowód, że zasługuję. Tylko że w pewnym momencie i to przyszło powoli, zaczęłam odkrywać, że sukces mnie nie wypełnia. Że nie satysfakcjonuje. Że zostawia mnie z głodem kolejnego. Nie umiałam się zatrzymać i docenić: „Dobra robota”, „Jestem dziś z siebie dumna”. Zamiast tego: następnym celem, następnym wynikiem, dalej. Powoli zaczęłam widzieć, że chyba nie o to mi chodziło. Że tak naprawdę chodzi mi o szczęście, spokój, harmonię, balans, poczucie spełnienia, tylko że wybrałam złe narzędzia. A trudno to zauważyć, kiedy jedzie się na automacie. I jeszcze, mówiąc kolokwialnie, nie pełnej petardzie. Zatrzymał mnie ciąg wydarzeń; przede wszystkim związek, który dramatycznie się rozsywał. To mnie zatrzymało na tyle, że zaczęłam się sobie przyglądać. Poszłam na terapię grupową DDA. To był początek poszukiwania wewnętrznego i odkrycia, że, okej, coś jest źle zaprogramowane. Wcześniej nie było na to miejsca; pędziłam, robiłam, osiągałam, więc nie było czasu ani przestrzeni, żeby pomyśleć, że może fundamentalnie coś jest nie tak ustawione. I paradoksalnie to było wyzwajające. Od tamtego momentu zaczęło się moje zatrzymanie i szukanie już nie tylko w jednym obszarze, ale we wszystkich: czy moje życie jest dobrze poukładane, czy ma sens, czy prowadzi do miejsca, do którego ja naprawdę chcę iść.

Zanim zacnie się prawdziwa zmiana, co trzeba w sobie porzucić, żeby w ogóle ruszyć? Jakie przekonania, jakie nawyki?

NAJLEPSZĄ NAUCZYCIELKĄ TEGO, ŻE NA KONIEC DNIA NIE MAM WPLYWU I NIE JESTEM ODPOWIEDZIALNA ZA EMOCJE INNYCH, JEST MOJA MŁODSZA CÓRKA

W książce piszę o nawykach do porzucenia, bo to jest, moim zdaniem, najważniejsze. Zanim zaczniemy nakładać na siebie nowe rzeczy, trzeba trochę przeczyścić wewnętrzny system operacyjny. Zawsze mówię: trudno od razu kłaść świeży lakier na zardzewiały samochód; to bywa zaproszeniem do katastrofy, tylko z opóźnionym zapłonem. Są takie modele funkcjonowania, które mamy właściwie wszyscy. Na przykład narzekanie: to jest coś, do czego jesteśmy przyzwyczajeni społecznie, ale też jest w tym neurobiologia: mózg naturalnie skupia się na negatywach, bo kiedyś to pomagało przetrwać. Dziś trzeba temu aktywnie przeciwdziałać, bo automat ciągnie w stronę narzekania i oceniania innych. W książce piszę też o pomaganiu na siłę, o zadowalaniu innych...

...o przejmowaniu się opinią ludzi.

Tak. Bo to wzmacnia negatywne ścieżki, utrwala określony sposób myślenia i widzenia świata, a do tego kosztuje mnóstwo energii i czasu. To się staje stylem życia, wręcz tożsamością.

Z czym Tobie było najtrudniej się rozstać?

Z kontrolowaniem. Wydawało mi się, że jeśli coś zrozumieję, dotrę do przyczyn, rozgryzę mechanizm pod tytułem dlaczego ktoś tak zrobił, dlaczego tak się stało, co mogło być inaczej, to będę bezpieczniejsza. Miałam mnóstwo takich rozkminiek. Odpuszczenie tej kontroli było dla mnie nauką akceptacji: puszczałam to. Stało się jak się stało, taka jest rzeczywistość. Nic mi nie przy-

dzie z tego, że będę to mielić. A czasem nawet nie mam dostępu do odpowiedzi, bo proces decyzyjny wydarzył się poza mną. Kiedy zaczęłam puszczać, uwolniło się we mnie niewiarygodnie dużo energii. Wcześniej traciłam mnóstwo czasu na reminiscencje, w kółko myślenie o tym samym, bez żadnego ruchu do przodu. Pomogły mi medytacje: dobrze, odkładałam to na półkę, parkuję, zajmuję się czymś innym. Pamiętam, że jako nastolatka usłyszałam raz od mamy: „A możesz po prostu o tym nie myśleć?”. Wtedy brzmiało to dla mnie jak absurd, jak coś kompletnie niemożliwego. Dziś wiem, że to jest możliwe: przekierować myśli. I że to jest naprawdę podobnie wspierające, bo nic mi nie daje spędzanie godzin na rozmyślaniu o tym, co się wydarzyło.

Dla mnie jednym z najtrudniejszych nawyków było przestać ciągle zadowalać innych. Pamiętam ten moment dumy, kiedy pierwszy raz świadomie powiedziałam „nie” i wytrzymałam to, że komus było z tym niewygodnie.

U mnie najlepszą nauczycielką tego, że na koniec dnia nie mam wpływu i nie jestem odpowiedzialna za emocje innych, jest moja młodsza córka. Potrafi się obrazić o rzecz z pozoru banalną; ja czegoś nie dosłyszę, mówię: „Przepraszam, kochanie, czy możesz powtórzyć?”, a ona odpowiada: „Już nic”.

Oj, znam to! (śmiech).

To taki skrajny przykład. Próbowałam wszystkiego, a ona i tak się obrażała. I w którymś momencie dotarło do mnie, że ja nie jestem w stanie naprawić tej sytuacji, bo ona po prostu potrzebuje czasu, żeby przetrawić swoje emocje. Metodą prób i błędów nauczyłam się, że jedyne, co mogę wtedy zrobić, to przyjąć to i powiedzieć: „Okej, jeśli masz taką potrzebę, proszę bardzo. Jak ci przejdzie, to wrócisz”. I ona naprawdę tego potrzebuje: pójść na górę, pobycić sama,

wyjscie gdzieś, a potem wrócić i powiedzieć „przepraszam”. To nie była jedna sytuacja, tylko cały ciąg doświadczeń, w których mogłam sprawdzać różne wersje swoich reakcji. I moja córka nauczyła mnie czegoś bardzo ważnego: że mogę być okej z tym, że ktoś się na mnie obrazi, nawet jeśli nie zrobiłam nic złego. I że ja nic nie muszę z tym zrobić. Mogę tylko poczekać. Bo to są jej emocje i jej odpowiedzialność. To była najlepsza lekcja.

W Twojej książce poruszyłaś mnie metoda małych kroków, bo sama od lat jestem jej wyznawczynią. Ale od czego zacząć?

Po to jest ta książka. Zachęcam, żeby bawić się jej otwieraniem w miejscu, w którym sama się otworzy. Może akurat to będzie odpowiedź. Mam poczucie, że każdy ma szansę zacząć od czegoś innego. Dlatego napisałam 102 nawyki: nie ma znaczenia, od którego zaczniemy, bo dobre nawyki sprawiają, że zaczynamy o sobie lepiej myśleć i one potem pączkują. Gdybym miała doradzić coś uniwersalnego, zaczęłabym od ciała. Jednym z najbardziej podstawowych nawyków jest dbanie o sen. A żeby zadbać o sen, dobrze jest wyjść w naturę. Na przykład na poranny spacer. Budzę się, biorę psa, a jeśli go nie mam, to samą siebie zabieram na spacer. Świeże powietrze, ruch, natura. Patrząc na drzewa, na trawę, na liście. Jeśli chodzi o nawyki bardziej mentalne, to naprawdę nieprzekierowane jest odczuwanie wdzięczności. Można to połączyć z nawykiem, który nazywam framing, czyli torowaniem. Chodzi o to, żeby przekierować i nastawić umysł na to, czego chcemy więcej w swoim życiu. Mnie bardzo dużo zmienił prosty rytuał: rano i wieczorem, albo choć raz dziennie, przywołać jedną rzecz, która była źródłem radości albo dumy. I nie tylko o niej pomyśleć, ale odtworzyć ją w głowie razem z emocjami, które wtedy czułam. Mam taką scenę, którą łatwo mi zwizuali-

zować: moment, kiedy dostałam się do wymarzonego liceum i czytałam tablicę wyników. I to, jaką czułam wtedy radość, wdzięczność, ekscytację, same dobre emocje. To nastraja umysł na wyłapywanie takich sygnałów ze świata. Podobnie działa zapisywanie wieczorem trzech rzeczy, za które jestem wdzięczna: że wyszło słońce, że spotkałam się z przyjaciółką, że uśmiechnął się do mnie sąsiad, kiedy wychodziłam z klatki. To mogą być rzeczy ważne albo zwykłe, na pozór wydawałoby się głupotki. Chodzi o kierunek uwagi. I jeszcze jedno: zasypianie i budzenie się z czymś pozytywnym. Bo my bardzo często budzimy się i zasypiamy, myśląc o problemach: co dziś się nie udało, z czym jutro będę miała kłopot, co muszę zrobić, a jestem w niedoczasie. Skupiamy się na tym, a to nie przyspiesza rozwiązań. To tylko ustawia nas na widzenie świata przez pryzmat wyzwań. Dlatego zachęcam: te dwie minuty przed zaśnięciem albo tuż po przebudzeniu przeznaczyć świadomie na to, żeby pomyśleć o tym, co mi się ostatnio udało.

W książce piszesz o życiu w swojej prawdzie. Co to dla Ciebie znaczy żyć w swojej prawdzie?

Każdy z nas jest inny. Mamy swoje preferencje, swój rytm: ktoś jest introwertykiem, ktoś ekstrawertykiem; ktoś lubi naturę, ktoś chce żyć w mieście. Mamy też tempo, które nam służy, i mnóstwo uwarunkowań, które, jeśli chcemy żyć dobrze, musimy szanować. Ale są jeszcze rzeczy głębsze: wartości, którymi się kierujemy. I jeśli ich nie rozpoznajemy, żyjemy cudzym życiem. Nawet jeśli ich świadomie nie nazywamy, one w nas są i pracują. A gdy żyjemy wbrew temu, co w nas, wbrew tej naszej prawdzie, prędzej czy później pojawia się rozdźwięk i nie jesteśmy szczęśliwi. Dlatego zachęcam do samopoznania: do pochylania się nad sobą i poznawania siebie. Kim jesteś? Co lubię? Co mnie cieszy? Czego nie akceptuję tu i teraz,



FOT. FOT. KRZYSZTOF ADAMEK MATPRAS.

Wendzikowska: Każdy z nas jest inny. Mamy swoje preferencje, swój rytm: ktoś jest introwertykiem, ktoś ekstrawertykiem; ktoś lubi naturę, ktoś chce żyć w mieście

ale też głębiej: jakie są moje wartości? Co muszę mieć, żeby czuć spokój? Czy lubię szybko czy wolno? Spokój czy ekscytację? Czy moją największą wartością jest bliskość, czy wolność, niezależność, wspólnota? Bo jeśli wiemy, kim jesteśmy i jak chcemy żyć, wszystkie mikrodecyzje podejmujemy z myślą o tym, dokąd zmierzamy. A jeśli żyjemy nie swoim życiem, tylko marzeniami rodziców, oczekiwaniami społecznymi, wykonujemy zawody wdrukowane jako prestiżowe i dobrze płatne, a jeszcze dochodzą do tego schematy w stylu, że dziewczynka powinna to, a chłopiec nie powinien tego, to w końcu gdzieś w połowie życia przychodzi moment, kiedy dociera do nas: „Halo! Czy ja drugą połowę życia chcę przeżyć tak samo?”. To, co nazywamy kryzysem wieku średniego, a Jung indywidualizacją, zwykle dzieje się gdzieś między 30. a 40. rokiem życia. Realizujemy plany, które ktoś nam wymyślił, a jednak nie jesteśmy szczęśliwi. Ktoś pracuje

w korporacji, bo trzeba zarabiać, a tak naprawdę pieniądze nie są jego wartością. On chciałby żyć bliżej natury i ludzi, we wspólnocie, w Bieszczadach. To tylko przykład, bo chcę pokazać, że często mamy styl życia niedopasowany do siebie. Czasem są to drobiazgi: rytm, potrzeba ciszy. Jesteśmy z kimś bardzo towarzyskim, kto żyje w domu otwartym, a my jesteśmy introwertykami i marzymy o kocyku, książce i świętym spokoju. Im więcej takich niedopasowań, tym bardziej czujemy, że coś nas uwiera.

Mówi się też, że prawda boli. Czasem może oznaczać utratę czegoś ważnego, jak relacja, praca, finansowy komfort. Miałaś takie momenty, kiedy mimo to że to oznaczało stratę czy koszty, poszłaś za sobą? U mnie ten głos intuicji, serca, jakkolwiek go nazwać, jest tak silny, że ja z nim nie mam jak dyskutować. On po prostu mówi: „Tak” albo „Nie”. I ja nawet nie mam ochoty robić

inaczej. Natomiast trudne było dla mnie odejście z pracy dziennikarskiej, z robienia wywiadów w „Dzień Dobry TVN”.

To były świetne rozmowy, wspaniali ludzie, gwiazdy z Hollywood. Wiele osób myślało: „Jak można było z tego zrezygnować?”

Ale to była moja droga do siebie. I zyskałam dużo więcej: wewnętrznie spójność, wolność, poczucie sprawczości. Nie ukrywam też, że byłam już zmęczona; może to nie jest idealne słowo, ale miałam poczucie, że zrobiłam już wszystko, co mogłam. Chciałam się rozwijać, a najważniejszy rozwój był dla mnie rozwojem wewnętrznym. Dla mojej tożsamości to było bardzo trudne. To leżakowało we mnie przynajmniej rok. Ale wiedziałam, że to właściwa droga. I tego nie da się do końca wytłumaczyć. To trzeba poczuć. Z zewnątrz taka decyzja może wyglądać na szaloną, ale wewnętrznie

bywa spójna. Nawet błędne decyzje podjęte w zgodzie ze sobą mają nieprawdopodobną wartość.

Jak zmieniło się Twoje macierzyństwo, odkąd weszłaś na tę drogę ku zmianie?

Na pewno mam więcej spokoju i więcej cierpliwości. Ale mam też poczucie, że macierzyństwo i relacja z moimi córkami zawsze były przestrzenią, w której potrafiłam sięgać po wyżyny swoich możliwości. I że moja zmiana zaczęła się właśnie tam. Czuję, że tu nie ma miejsca na chodzenie na skrót. W macierzyństwie zaczęła się rodzić prawda o mnie. Zaczęłam odkrywać, kim jestem w swoim rdzeniu: ile mam wrażliwości, miękkości, ale też ile mam cierpliwości. I zaczęłam widzieć, że da się zarządzać emocjami, że da się reagować inaczej, nawet jeśli wcześniej miałam przekonanie, że tak już jest. To było moje pierwsze laboratorium dorosłości: miejsce, w którym byłam odpowiedzialna i za swoje emocje, i za to, jak je reguluję. A potem to poszerzenie umiejętności regulowania siebie przyszło dalej, już w innych obszarach życia.

Czy dom, który zbudowałaś swoim dzieciom, jest podobny do tego, w którym Ty dorastałaś? Co wzięłaś z rodzinnego domu jako zasób, a co budujesz inaczej?

Jest wiele rzeczy, które chciałam zachować, bo były dla mnie cenne. Na przykład poczucie wolności, samostanowienia, sprawczości. I to, że dzieciom wcześniej dawało się podmiotowość, poczucie, że są oddzielnymi bytami, mają prawo do swoich emocji, decyzji, humoru. Mój dom rodzinny był dość liberalny i zawsze to ceniłam. Były zasady, bo były wartości, na których ten dom stał: uczciwość, empatia, szacunek dla drugiego człowieka. A jednocześnie było dużo tolerancji i wolności. Bardzo chciałam przenieść też coś jeszcze: kult czytania, nauki, wiedzy, ale bez napompowania.

W moim domu edukacja była ważna, ale była też lekkość, humor, puszczanie oka do świata. I ja to naprawdę lubiłam, bo to zdejmuje ciężar z rzeczy, które i tak bywają w życiu wystarczająco ciężkie. A czym się różni dom, który ja buduję? Myślę, że większą uważnością i obecnością. Nie mam poczucia, że moi rodzice świadomie zrobili coś źle; raczej brakowało im zasobów i samoświadomości, które pozwoliłyby się regulować, być bardziej obecnym w relacji. U nich było dużo pracy, dużo nieobecności. Przez to, miałam wrażenie, że na co dzień brakowało atmosfery bliskości, miłości, uważności na siebie nawzajem i na mnie jako na dziecko. Jest też jedna rzecz, której zdecydowanie nie chcę powielić:

skupienia na osiągnięciach i sukcesach. Bardzo mocno tłumaczę moim dzieciom, że w szkole uczą się wielu ważnych rzeczy, ale wielu kompetencji potrzebnych w życiu szkoła nie uczy. I że nie warto przywiązywać się aż tak do wyników i ocen, bo one nie świadczą o człowieku. U mnie sukces i osiągnięcia, mierzalne, oceniane z zewnątrz, były ustawione jako coś najważniejszego. I to mi się skleiło z przekonaniem, że to zagwarantuje miłość, uwagę, szczęście. Tego chciałabym moim dzieciom oszczędzić.

Prowadziłaś podcast „Ku szczęściu”, którego finałem stała się książka. Rozmawiałaś z wieloma ludźmi, każdy miał swoją definicję szczęścia. Czy to Ci nie rozsadziło tej Twojej, z którą zaczynałaś? Jaka jest dziś Twoja definicja szczęścia?

Ona się zmieniła. Nie zastanawiałam się nad tym aż tak głęboko, jak mogłam, a szkoda, bo rzeczy, których nie definiujemy, rozmywiają się. Niby wiemy, do czego dążymy, ale pod hasłem „szczęście” każdy może mieć coś innego. U mnie, jak wspomniałam, szczęście bardzo długo było sklejone z sukcesem. Nieświadomie chciałam osiągnąć sukces, bo wydawało mi się, że on jest tożsamy ze szczęściem. A okazało się, że nie. I ta mocna redefinicja wydarzyła się jeszcze przed napisaniem tej książki. Dziś uważam, że szczęście jest stanem, który w pewnym sensie może być stałym tłem życia. I że bardzo wiąże się ze spokojem. Spokój jest dla mnie jednym z elementów szczęścia. Innym ważnym komponentem jest bycie w zgodzie ze sobą, bycie w swojej prawdzie i wolność życia na własnych zasadach. To nie jest życie pozbawione emocji czy wyzwania. To jest raczej trzon; mocny rdzeń, ugruntowanie i poczucie sprawczości, dzięki któremu wracamy do pionu po każdej sytuacji. Emocje przychodzą, problemy przychodzą, ale wracamy do równowagi dość szybko i samodzielnie. A w tle jest spokój i wewnętrzny balans.

Czego Cię nauczył sam podcast?

Każdy gość przynosił coś, co rozszerzało moją świadomość. Czasem podrzucał książkę, czasem jedną myśl, która zostawała na długo. Często rozmawiam z autorami, czytam ich książki wcześniej i to jest dla mnie bardzo cenne. To też jest element mojej drogi. Co ciekawe, bywa tak, że wydaje mi się, że „już coś wiem”, a potem o tym zapominam i przestaję to stosować. I wtedy przychodzi ktoś i mi przypomina. I ja myślę: „No tak, przecież odpuszc”. W pierwszej

książce pisałam o tym, że musimy pamiętać, jak skonstruowany jest mózg. Ewolucyjnie nie jest zaprogramowany na szczęście; jest zaprogramowany na przetrwanie. Dlatego naturalnie idziemy w stronę myśli i zachowań, które nie służą naszemu dobrostanowi, tylko naszej ochronie: oceniamy innych, porównujemy się, widzimy zagrożenia, skupiamy się na negatywach i je pamiętamy, bo mózg chce nas ostrzec przed podobnym scenariuszem w przyszłości. Żeby żyć bardziej szczęśliwie, musimy wykonać świadomy wysiłek: odkręcić ten naturalny skręt umysłu i przeprogramować go na bardziej pozytywną stronę. To się da zrobić, tylko że umysł ma tendencję, by wracać do tego, co dawno uformowane. Trzeba sobie o tym przypominać.

Co łączy ludzi, których uważasz za naprawdę szczęśliwych? Twoim zdaniem, to jest kwestia charakteru, odwagi, pracy nad sobą, decyzji może?

Badania pokazują, że dużo szczęśliwsi są ludzie, którzy mają poczucie sprawczości i idą w działanie. Tacy, którzy czują, że istnieje strefa ich wpływu, nawet niewielka i którzy skupiają się na tym, co mogą zrobić, a nie tylko na tym, co ich spotyka. Gdybym miała dołożyć moją interpretację, to ważnym komponentem jest pewien rodzaj luzu. Wyłączenie perfekcjonizmu, odpuszczenie nadmiernej kontroli i uzależnienia od efektu, akceptacja. Mnóstwo energii marnujemy na mienienie rzeczy, na które i tak nie mamy wpływu. To jest umiejętność puszczenia: „nie będę się mścił”, „nie będę tego rozkminiać”, „nie będę próbować tego naprawić”, „nie będę próbować kogoś przekonać, że jestem inna, niż on myśli”. Puszczając, puszcza, puszcza. Trochę się wyluzować. Nie traktować siebie śmiertelnie poważnie; spuścić gardę, spuścić ego. Mieć pokorę wobec własnych słabszych stron. Znieść to, że ktoś może mieć do nas obiekcje, że może nas skrytykować. I humor, czyli umiejętność śmiać się z tego, co przynosi życie. Przekreślenie się w stronę wdzięczności, a nie ciągłego skupienia na problemach. To jest kompetencja. A pod tym znów jest sprawczość: życie mi się przytrafia, ale ja decyduję, jak tym nurtem płynę. Czynniki zewnętrzne to może 20 procent, a 80 procent to już jest to, jak reaguję. Dojrzałość, odpowiedzialność, wychodzenie z pozycji ofiary. Poczucie, że dobra, coś da się zrobić, więc to zrobimy. Nastawienie na działanie. Że jednak coś zmienię, nie poddam się, nie uniosę ręk i nie zostanę w niemocy, wskazując palcem, kto jest winny.

Wróciłeś niedawno z zimowej Islandii. Jak było?

To była moja podróż życia. Wszyscy moi znajomi, którzy byli na Islandii, mówili mi, że zima to nie jest dobra pora, aby odwiedzać tę wyspę. Ale miałem dużo szczęścia. Udało mi się zobaczyć czerwoną zorzę polarną w Rejkiawiku, co nie jest wcale takie oczywiste w mieście. Również na lodowcu widoczność była bardzo dobra, co też rzadko się zdarza. Trafiłem więc w superpogodę i mogę z pełnym przekonaniem powiedzieć, że Islandia jest piękna.

A często zaglądasz do rodzinnych Wadowic?

Odwiedziłem Wadowice w święta. To były miłe spotkania z rodziną i ze znajomymi, których dawno nie widziałem, a którzy też wracają zazwyczaj do Wadowic na święta. Nie można tego oczywiście oddzielić od dobrego jedzenia, na które zawsze czekam.

Wadowice wszystkim Polakom kojarzą się oczywiście z Janem Pawłem II. Podobno za młodu chciałeś zostać papieżem. Każdy chłopiec w tym mieście tak ma?

Myślę, że kapłańskie plany ma na wczesnym etapie życia wielu chłopców. I ja również je miałem, ale dość szybko porzuciłem. Nie wiem, jak jest w innych miastach, bo nie mam takiego doświadczenia. Mnie dzieciństwo w Wadowicach kojarzy się z kolegami i koleżankami, których wtedy poznałem, i którzy byli moimi towarzyszami mojego dojrzewania i edukacji. To głównie ich twarze wracają, kiedy słyszę słowo „Wadowice”.

Byłeś za młodu nieśmiałym dzieckiem, bo miałaś wadę wymowy. Szkolny teatr pomógł Ci pokonać ten problem?

Absolutnie tak. Kiedy byłem w piątej klasie podstawówki, moja wychowawczyni, pani Joanna Bartkowiak, założyła kółko teatralne i zaprosiła mnie do niego. Stając po raz pierwszy na szkolnej scenie, poczułem, że mogę się wyrazić i mówić więcej niż zwykle, bo jest to przestrzeń, w której jestem bardziej odważny i zauważany przez innych niż na co dzień.

W liceum wygrałeś Ogólnopolski Konkurs Recytatorski. Ten sukces dodał Ci skrzydeł?

To była dłuższa droga. Od czasu tego kółka teatralnego w piątej klasie podstawówki, kiedy zakochałem się w występach na scenie, była Grupa Teatralna Teza w Spółdzielni Mieszkaniowej w Wadowicach i Teatr Ruchu Forma w Centrum Kultury i Wypoczynku w Andrychowie. Pomógł mi też świetnie funkcjonujący w czasach mojej młodości Miejski Dom Kultury. Ważnym wspomnieniem

Zdobył ogromną popularność jako ksiądz Jakub w komediowym serialu „1670”. Sprawdził się jednak również w dramacie „Sonata”, za który otrzymał nagrodę na festiwalu w Gdyni. Nam Michał Sikorski opowiada, jak ukształtowało go dorastanie w rodzinnych Wadowicach

Przewet Gzyl



Michał Sikorski: Kręciliśmy pierwszy sezon „1670” w poczuciu, że robimy coś wyjątkowego

MICHAŁ SIKORSKI: ŻYCIE SKŁADA SIĘ Z MAŁYCH RZECZY I TRZEBA JE DOCENIAĆ

na tej drodze były dla mnie również liczne konkursy recytatorskie i aktorskie. Wszystkie te moje wystąpienia publiczne były jednak zawsze związane z teatrem.

Do historii Teatru Ruchu Forma przeszło Twoje pojawienie się na jego scenie w dziurawych skarpetkach. To był zamierzony chwyt? (Śmiech) Nie. Bardzo mnie bawi, że takie wspomnienia, związane z brakami w mojej garderobie, pozostały w pamięci do dzisiaj.

Co Cię w tak młodym wieku pociągało w aktorstwie?

Miałem wtedy wyzwalające poczucie, że występując na scenie, nie trzeba brać odpowiedzialności za to, co się mówi. (Śmiech) Że można być zupełnie innym człowiekiem i wcielić się w czyjąś rolę. A po zejściu ze sceny nie trzeba tego kontynuować, tylko można to porzucić i znowu być sobą. Dla nieśmiałej osoby, którą wtedy byłem, liczyło się także to, że na scenie nagle staję się kimś, kto jest w centrum uwagi, i wzbudzam

swoim wystąpieniem śmiech lub wzruszenie. To były dla mnie w tamtym momencie wyjątkowo ważne doświadczenia.

Jak rówieśnicy odnosili się do Twojej teatralnej pasji?

Bardzo różnie, ale u większości wzbudzało to respekt i szacunek. Wydaje mi się, że na każdym etapie życia ludzie z pasją są ciepło postrzegani.

Aktorskie i recytatorskie sukcesy pomagały Ci w nastoletnich podbojach miłosnych?

(Śmiech) Faktycznie znałem na pamięć kilka wierszy, które robiły na dziewczynach wrażenie.

Z tego, co wiem, nie zapraszałeś rodziców na szkolne przedstawienia. To znaczy, że nie rozumieli Twojej aktorskiej pasji?

Nie. Bardzo bałem się krytyki i nie byłem na nią wtedy gotowy od tak ważnych osób, jakimi byli i są dla mnie rodzice. Musiałem dopiero do tego dojrzeć, aby móc się dzielić z nimi tym, co tworzę.

Kiedyś powiedziałeś jednak, że w Twoim domu było zrozumienie dla kina czy telewizji, ale nie dla teatru. Z czego to wynikało?

Przed wszystkim z nieznośności tego świata i środowiska. A wiadomo, że wszystko, co nieznanne, wzbudza lęk i niepewność. Dlatego w momencie, kiedy wybrałem aktorstwo jako swoją drogę życiową, rodzice nie wiedzieli, jak sobie wyobrazić przyszłość kogoś takiego, kto się zajmuje zawodowo teatrem. Siłą rzeczy wzbudzało to w nich bardzo dużo wątpliwości.

Dzisiaj rodzice są już spokojni?

(Śmiech) Myślę, że tak. Jestem szczęśliwym człowiekiem, mam co włożyć do garnka. Udowodniłem więc, że miałem rację i potrafię o siebie zadbać.

Aktorstwo było też dla Ciebie sposobem na wyrwanie się z Wadowic w wielki świat?

Mieszkam teraz na warszawskim Wrzecionie. Czy to jest ten wielki świat? Nie wiem. (Śmiech) Ale faktycznie, towarzyszyła mi w młodości taka potrzeba wyjechania z Wadowic i odkrycia czegoś więcej. Rozbudziło to we mnie doświadczenie uprawiania teatru. W tamtym czasie domy kultury i szkolne kółka teatralne w moim rodzinnym mieście działały wręcz wzorowo. Taką właśnie rolę powinna spełniać kultura w mniejszych ośrodkach miejskich - rozbudzać u młodych ludzi apetyt na więcej.

W zeszłym roku pojawiłeś się w Wadowicach na wyjątkowym spacerze, który był nagrodą w licytacji na WOŚP. Jak się udało ta przechadzka?

Wspaniale. Zawsze wracam do Wadowic z dużym sentymentem. Wtedy czułem jednak wielką presję, mając świadomość, że ktoś zapłacił 35 tys. zł, aby się przespacerować po tym mieście w moim towarzystwie. Zwycięzca licytacji przyjechał aż z Trójmiasta i po wszystkim mówił, że było warto. Mogę więc teraz reklamować spacer po Wadowicach, bo wiem, że ludzie są w stanie zapłacić za nie naprawdę duże pieniądze. (Śmiech) Jeśli ktoś ma blisko, to naprawdę warto się na taką wycieczkę wybrać. I to za darmo.

Pod warunkiem że Ty będziesz przewodnikiem...

Jeśli tylko będę miał czas, to chętnie się pojawię.

No właśnie: w tym roku też szykujesz podobną licytację na WOŚP. Co to będzie?

W tym roku znowu przyjąłem zaproszenie od wadowickiego sztabu WOŚP. Niebawem

ogłosimy tę licytację. Będzie to coś związanego z Wadowcami, ze mną i z Fiatem 126p. (śmiejch)

Po maturze trafiłeś do Krakowa za sprawą studiów w tu-tejszej Akademii Teatralnej. Jak się odnalazłeś pod Wawelem?

W czasach liceum dużo wagarowałem w Krakowie, było więc to bliskie mi miasto. (śmiejch) Do tego dzięki otwar-tości mojego polonisty z I liceum w Wadowicach, pana Henryka Odrozka, co miesiąc wyjeżdżaliśmy na spektakle teatralne, głównie do Krakowa. Często były to przedstawienia dyplomowe studentów tamtejszej uczelni teatralnej. Dlatego już jako licealista marzyłem, aby w tych murach kiedyś się uczyć i też robić takie spektakle. Kiedy zdałem egzaminy i dostałem się zarówno na wydział aktorski do łódzkiej filmówki, jak i do Akademii Teatralnej w Krakowie, nie miałem żadnych wątpliwości i poszedłem podpisać papiery do tej drugiej uczelni, bo przez licealne wizyty była mi ona bardzo bliska.

Nie sposób nie dopytać: co porabiałeś na tych wagarach w Krakowie?

Włóczyłem się po mieście, spacerowałem po jego ulicach, ale chodziłem też do kina, do teatru czy na wystawy.

Akademia Teatralna to właściwie codziennie zajęcia od rana do wieczora. Odpowiada Ci taki intensywny tryb nauki?

Tak. Kiedy trafiłem do Akademii Teatralnej, niektórzy pytali mnie: „To są studia dzienne, wieczorowe czy zaoczne?”. A ja wtedy mówiłem: „Dzienne i wieczorowe naraz”. Bo rzeczywiście mieliśmy mnóstwo zajęć. Zaczyna-liśmy o 7.30 rano rytmiką, a kończyliśmy późnym wieczorem, przed 23, próbami indywidualnymi, na których przygotowaliśmy się na zajęcia z prozy lub wiersza na następny dzień. Dlatego były to bardzo intensywne cztery lata.

Nie miałeś czasu na imprezowanie?

Proszę sobie wyobrazić trud tych studiów, kiedy trzeba było mieć czas na imprezowanie między 23 w nocy a 7.30 rano. (śmiejch)

Niekiedy w czasie studiów pojawia się kryzys i wątpliwość, czy obrało się właściwą drogę życiową. Doświadczyłeś takich rozterek?

Myślę, że pozostawałem od początku bardzo wierny swoim marzeniom. Ja byłem od początku bardzo zdeterminowany, jeszcze jako student

zacząłem pracować w zawodzie i robię to nieprzerwanie do dzisiaj. Nie spotkał mnie nigdy żaden duży przestój, nie zaliczyłem więc jakiegoś większego rozczarowania. Może wszystko przede mną? Bo kryzysy w tym zawodzie często się zdarzają. Raz jest lepiej, raz gorzej, to taka sinu-soida.

Krakowska Akademia Teatralna dobrze przygotowała Cię do pracy w zawodzie aktora?

Na pewno był to najlepszy wybór z możliwych i wtedy, kiedy studiowałem, najlepsza szkoła aktorska w Polsce. Przychodząc do akademii, byłem świadomy czego mogę się spodziewać, i nie rozczarowałem się. Szkoła spełniła moje oczekiwania, pozwoliła mi się rozwijać. Spotkałem tam osoby, które miały ważny wpływ na mój aktorski kunszt oraz kolegów i koleżanki, którzy tworzą dziś wspa-niałe rzeczy.

Nie chciałeś zostać po studiach w którymś z krakowskich teatrów?

Pewnie gdybym szybko dostał taką propozycję, to bym z niej skorzystał jako osoba zacho-chana w Krakowie. Ale na czwartym roku przyjechał do szkoły dyrektor Panu Pol-skiego w Poznaniu pan Maciej Nowak i od razu zaprosił mnie do zrobienia spektaklu oraz na etat do swego zespołu. Wtedy działał się tam bardzo ciekawe rzeczy, to był teatr, na który patrzyła cała Polska, zaliczyłem więc w nim cztery wspaniałe sezony.

Zaraz po studiach zacząłeś grać w teatrze i w filmach. Od początku chciałeś dwutorowo prowadzić swoją karierę?

Na pewno tak. Cały czas walczyłem, aby mieć równowagę i rozwijać się na wielu polach. Dziś moja droga zawodowa jest głównie filmowa, mam obecnie przerwę od teatru i nie jestem już nigdzie na etacie. Stało się tak głównie przez moje zajętości kinowe i serialowe. Bardzo chętnie jednak wracam grać w swoich dawnych spektaklach w Teatrze Polskim w Poznaniu.

Nie brakuje Ci teatru instytucjonalnego na co dzień?

Trochę brakuje. Nie będę ukrywał, że nie tęsknię za taką pracą. Ciągłe jednak od czasu do czasu mogę być na scenie. Za niedługo chociażby wracam do Poznania grać „Cudzoziemkę”. To spektakl ukochany przez tamtejszą publiczność. Odliczam więc dni do wyjazdu.

Ale na etat nie chcesz nigdzie wrócić?

Na razie nie planuję.

Usłyszeliśmy o Tobie dzięki „Sonacie”. Rola osoby niepełnosprawnej była dla Ciebie dużym wyzwaniem?

Bardzo. Niepełnosprawność to jednak tylko jedna z cech Grześka Płonki. Poznałem go osobiście, więc wiem, że ma charakter fightera. Musiał się w życiu zmierzyć z ogromnymi przeciwnościami. Z wieloma wygrał, z wielu bitew wyszedł zwycięsko. Jego historia była więc dla mnie bardzo inspi-rująca - zarówno jako dla aktora, ale też jako dla człowieka. Cieszę się, że udało mi się w „Sonacie” tego jego niezłomnego ducha pokazać, to, że jest prawdziwym żywym srebrem. Zresztą, kiedy Grzesiek obejrzał ten film, powiedział mi: „To jestem ja” i to była dla mnie naj-wspanialsza recenzja. Wszystkie trudy, jakie poniosłem, aby tę rolę zagrać - jak naukę gry na fortepianie czy zrzucenie kilku kilogramów - to przysło-wiowy pikus w porównaniu z efektem, jaki udało mi się osiągnąć.

Dostałeś za występ w „Sonacie” nagrodę za debiut na festi-walu w Gdyni. Utwierdziła Cię ona, że wybrałeś właściwą drogę życiową?

Myślę, że tak. Ale nagroda ta wcale nie przełożyła się na pro-pozycję nowych ról. Cieszę się jednak, że mogłem zagrać w tym filmie, bo chyba każdy aktor marzy, aby przeżyć takie chwile, jak ja, kiedy promowali-smy „Sonatę” na festiwalu w Gdyni. Mieliśmy wspaniałą odbiór - byliśmy więc szczę-śliwi, że możemy się takim dziełem podzielić ze światem.

Prawdziwe szaleństwo na Twoim punkcie wybuchło, kiedy zagrałeś księdza Jakuba w „1670”. A to w sumie najbardziej negatywna postać w tym serialu. Na czym polega jej popularność?

Ojciec Jakub skupia w sobie wszystkie cechy, których nienawidzimy w ludziach, ale robi to z niezwykłym urokiem, dzie-cięcą wręcz naiwnością i pewnym ograniczeniem intelektu-alnym, dzięki czemu lubimy go i współczujemy mu. Cieszę się więc, że to, jak tchnąłem ducha w tę postać, jest odbierane tak pozytywnie. Na tym bowiem polega moja praca - na ożywie-niu danej postaci.

Ile jest Twojej inwencji w wy-kreowaniu księdza Jakuba?

Dużo, choć oczywiście działa-łem z reżyserami w ramach sce-nariusza, który był bardzo do-brze i precyzyjnie stworzony. Kiedy go przeczytałem, pomy-slałem, że przede wszystkim nie wolno mi zepsuć tego, co Kuba Rużyło tak fantastycznie napisał. Wszystko to, co jest w tej postaci poza słowami, to właśnie moja praca.

Jak mogliście grać na planie tego serialu i nie pokładać się ciągle ze śmiechu?

Nie zawsze się nam to udawało. A przecież czas pracy na planie jest ograniczony, choćby przez

MAM AMBICJĘ ROBIĆ RÓŻNE RZECZY I WIERZE, ŻE BĘDZIE MI DANE GRAĆ NIE TYLKO W KOMEDIACH. ALE ABSOLUTNIE NIE SKREŚLAM TEGO GATUNKU

okres ekspozycji słońca. Trzeba się więc było czasem bardzo skupić, aby przed jego zachodem nakręcić scenę. Większość z nich była bardzo zabawna, a do tego koledzy, z którymi grałem, byli bardzo weseli, więc musiałem niejednokrotnie wykorzystać wszystko, czego się w życiu nauczyłem, aby się nie rozpraszać i zagrać jak trzeba.

Masz ulubioną scenę z serialu, w której najlepiej udało Ci się uchwycić osobowość księdza Jakuba?

Nie ukrywam, że moim ulubio-nym odcinkiem jest ten o eg-zorzyczmach. Bardzo lubię scenę, kiedy płyniemy na łódce z Bogdanem, czyli Do-bromirem Dymeckim, bo jest ona jedną z najbardziej absur-dalnych, jakie przyszło mi za-grać w całej mojej karierze. Musiałem się wtedy naprawdę mocno spiąć, żeby nie śmiać się i zagrać to całkiem na po-ważnie.

Ksiądz Jakub to oczywiście współczesny ksiądz w krzy-wym zwierciadle. Jak Twój wy-stęp odebrano w Wadowicach?

Jak najbardziej serdecznie i po-zytywnie. Spotkałem się tylko z ciepłymi opiniami. Wydaje mi się, że obraz ojca Jakuba nie jest obrazem współczesnych księży. To właśnie ten dystans historyczny sprawia, że mo-żemy spojrzeć na tę postać tro-chę szerszej. Bo przecież ten sam typ osoby znamy z pracy w korporacji czy w redakcji. No i w Kościele oczywiście też. Kil-krotnie podchodzili do mnie różni księża i wszyscy, z któ-rymi rozmawiałem, byli fanami „1670” i rozumieli ironię w ukazaniu tego bohatera.

Jak sobie radzisz z popularno-ścią, którą przyniósł Ci ten se-rial?

Kręciliśmy pierwszy sezon „1670” w poczuciu, że robimy coś wyjątkowego. Sprawiało nam to dużą radość i dawało ogrom satysfakcji. Ale sukcesu i popularności na taką skalę chyba nikt się nie spodziewał. To nas wszystkich zaskoczyło. Ten odbiór był jednak bardzo pozytywny, dlatego staram się to wszystko zapisywać w sercu, bo takie sytuacje zda-rzają się w życiu aktora bardzo rzadko. Cieszę się, że mogłem w tej przygodzie zwanej „1670” wziąć udział i daliśmy tak wielu osobom w Polsce tak wiele radości.

Ostatnio oglądaliśmy Cię w fil-mie „Życie dla początkują-

cych”, który jest pierwszą w Polsce komedią o wampi-rach, do tego zrealizowaną przez debiutanta. Lubisz takie projekty?

Bardzo. W przyszłym roku wchodzę na plan filmu, który jest moim szóstym występem u reżysera debiutanta. Praca z Pawłem Podolskim przy „Życiu dla początkujących” była bardzo inspirująca. Kiedy przeczytałem scenariusz, od razu zgodziłem się zagrać w tym filmie. Bardzo dużym odkryciem aktorskim byli dla mnie moi partnerzy - Magda Maścianica, grająca wampi-rzycę Monię, i Bartłomiej Kotschedoff, grający wampira Mirka. Żałuję tylko, że w filmie o wampirach ja akurat nie miałem okazji zagrać wampira. Ale współpraca z Magdą i Bar-tkiem na pewno zostanie mi po tym filmie. Tutaj też wielo-krotnie bywało, że przed nakręceniem sceny musieliśmy się wszyscy porządnie wy-śmiać. Mam nadzieję, że nie-bawem „Życie” trafi na jakąś platformę streamingową, żeby jak najwięcej ludzi mogło tę ciepłą komedię zobaczyć.

Niby to komedia, ale porusza poważny temat - strach przed śmiercią. Ty powiedziałeś w jednym z wywiadów, że film ten ma terapeutyczny wymiar, bo „po jego obejrzeniu ma się poczucie, że życie jest fajne”.

Wydaje mi się, że wielu wi-dzów tego filmu ma podobne poczucie, jak jego bohaterowie - że życie przecieka im przez palce. Właściwie to nie wiado-mo, jak z niego korzystają. A ten film pokazuje, że życie składa się z małych rzeczy i trzeba je docenić dlatego, że jest skończone i krótkie. Na tym polega jego ulotność i piękno. Należy się więc cie-szyć z tego, co jest.

Potrafisz tak?

Jasne. Kiedy mieszkałem w Wadowicach, byłem na tyle świadomy, żeby doceniać, jak piękna jest Czuma w drodze do Choczni czy ogniska nad Skawą oraz kilka innych miejsc i wydarzeń, które przy-darzają się nam w młodości, a potem pamięta się je przez lata i ma się poczucie, że „ale było fajnie”.

Niezwykły sukces „1670” sprawił, że jesteś postrzegany jako aktor komediowy. Nie przeszkadza Ci to?

Mam ambicję robić różne rze-czy i wierzę, że będzie mi dane

grać nie tylko w komediach. Ale absolutnie nie skreślam tego gatunku, bo, po pierw-sze, daje mi wiele radości i sa-tysfakcji, a po drugie, jest za-wsze sporym wyzwaniem aktorskim. Zagranie komedii nie jest bowiem łatwe, trzeba mieć dobre wycucie rytmu, ciągle kontrolować to, co się dzieje, aby nie przesadzić, zgrabnie poprowadzić historię i nie gubić jej, aby żart mógł lekko przechodzić. Lubię tę trudną formę, ale mam na-dzieję, że życie i zawód posta-wią przede mną jeszcze inne wyzwania.

No właśnie: masz w swoim do-robku prowadzenie dwóch dużych imprez: festiwalu w Gdyni i festiwalu w Opolu. Jak Ci się to podobało?

Ja lubię wyzwania. To były wydarzenia na żywo, mogło się wszystko wydarzyć, musia-łem więc mieć pełną kontrolę nad tym, co się działo. Wraca-łem się do widzów na wi-downi, ale też przed telewizo-rami w ich domach. To była ogromna adrenalina, od której chyba jestem uzależniony. Mam więc nadzieję, że w przy-szości będą mi się przydarzać podobne wyzwania.

Podobno marzy Ci się własne talk-show. Zastąpiłbyś chętnie Kubę Wojewódzkiego?

Jego akurat nie. Ale pomysł na mój własny program jest czymś, co gdzieś tam się tli i or-bituje wokół mnie. Czy to się kiedyś wydarzy? Na razie nie wiem. Jestem ostrożny i nie chcę się w coś takiego za szybko wpakować. Kusi mnie taki projekt, ale obecnie to kwestia marzeń i dalszej przyszłości.

Nie jest tajemnicą, że zostałeś ojcem, mając 25 lat. To dość wcześnie jak na dzisiejsze standardy. Niczego Ci to nie zabrało?

Nie. Wśród moich znajomych nie byłem pierwszą osobą, która została rodzicem. Wielu z nich dorobiło się dzieci w po-dobnym wieku. Wydaje mi się, że nie ma to związku z moją pracą i nie straciłem przez ojcostwo jakichkolwiek propozycji. Kiedy zostałem tatą, pracowałem akurat bar-dzo intensywnie na planie „Sonaty”. Rola rodzica przy-nosi mi wiele satysfakcji i chyba jest najfajniejszą w moim życiu.

Dzisiaj też zabierasz synka ze sobą na plan?

Nie. Jak długo będę mógł chronić syna od mojej pracy, to będę to robił. Plan filmowy to nie miejsce dla dziecka. Chcę, żeby dla Jeremiego waż-niejsze było jego własne dzie-ciństwo niż moja praca.

Chciałbyś, aby poszedł kiedyś w Twoje ślady?

Nie mam takich ambicji.

KALENDARZ FILMOWY NA ROK 2026. NAJWAŻNIEJSZE PREMIERY, NA KTÓRE CZEKAJĄ KINOMANI

Kino zdaje się przegrywać w rywalizacji ze streamingiem i oglądaniem filmów o dowolnej porze z domowej kanapy, ale ciągle powstają produkcje, których jakość można w pełni docenić właśnie na wielkim ekranie. A i wspólne doświadczenie kinowej publiczności trudno zastąpić rozleniwieniem pod ciepłym kocem. Oto najważniejsze produkcje filmowe, na które czekają kinomani w rozpoczętym 2026 roku

Dariusz Parolowski

Jeszcze w styczniu do kin trafi najnowszy film Jima Jarmuscha, zatytułowany „Father Mother Sister Brother”. To historia skłóconego rodzeństwa, które spotyka się po latach, co zmusza ich do ponownego przeanalizowania swoich trudnych relacji z emocjonalnie zdystansowanymi rodzicami. W obsadzie: Cate Blanchett, Adam Driver, Vicky Krieps, Charlotte Rampling.

Styczeń

Także w styczniu zobaczymy najnowsze dzieło Chloé Zhao, laureatki Oscara za „Nomadland”. To dramat „Hamnet”, którego akcja rozgrywa się w Anglii roku 1580. Nauczyciel łaciny William Szekspir poznaje Agnes, która zostaje jego żoną i rodzi trójkę dzieci. Gdy Will wyrusza do Londynu, aby rozwinąć swoją karierę teatralną, Agnes zostaje sama ze wszystkimi domowymi obowiązkami. Niespodziewanie umiera jedyny syn pary, Hamnet, a silna więź między małżonkami zostaje poddana próbie. Występują: Jessie Buckley, Paul Mescal, Emily Watson.

Polską kinematografię w styczniu reprezentuje film „Wielka Warszawska” (reż. Bartłomiej Ignaciuk) do scenariusza Jana Purzyckiego, zmarłego w 2019 roku artysty (tytuł miał być domknięciem trylogii autora, na którą składają się także filmy „Wielki Szu” i „Piłkarski poker”). Młody dżokej Krzysiek marzy o triumfie w Wielkiej Warszawskiej. W świecie wyścigów odkrywa jednak układy i korupcję. W czasie przemian ustrojowych musi wybrać między czystą pasją a pokusą szybkiej kariery. W rolach głównych: Tomasz Ziętek, Mirosław Kropielnicki, Andrzej Konopka, Ireneusz Czop.

Luty

W lutym widzowie zobaczą film „Piep*zyć Mickiewicza 3” (reż. Sara Bustamante-Drozdek). W trzeciej części serii młodzi bo-

haterowie przygotowują się do matury, ale i muszą podejmować pierwsze dorosłe wybory. Kiedy Dante próbuje pogodzić własne marzenia z rzeczywistością, a jego relacja z Nel zostaje wystawiona na próbę, do gry wkracza tajemniczy Adam. W tle - powrót Korka, nowe uczucia Cegły i pytania o przyjaźń. Grają: Hugo Tarres, Wiktoria Koprowska, Karol Rot, Dawid Ogrodnik.

Emerald Fennell proponuje nową ekranizację „Wichrowych wzgórz” Emily Brontë - pamiętnej historii miłosnej osadzonej na tle wrzosowisk Yorkshire, ukazującej intensywny i destrukcyjny związek między Heathcliffem a Catherine Earnshaw. W obsadzie: Margot Robbie, Jacob Elordi, Shazad Latif.

„Pojedynek” to thriller w reżyserii Łukasza Palkowskiego. Rok 1939. Tysiące Polaków trafiają do rosyjskiej niewoli, gdzie poddawani są indoktrynacji. Młody polski oficer przystępuje do pojedynku z bezwzględnym rosyjskim agentem o ich honor i życie. Występują: Jakub Gierszał, Aidan Gillen, Julia Pietrucha, Bogusław Linda, Tomasz Kot.

Marzec

W marcu do kin wejdzie horror „Panna młoda!” (reż. Maggie Gyllenhaal). Chicago, lata trzydzieste XX wieku. Samotny potwór Frankensteina prosi doktora Euphroniusa o pomoc w stworzeniu towarzyszkę. Ożywają zamordowaną kobietę. To nowa interpretacja historii przedstawionej przez Jamesa Whale’a w 1935 roku. Na ekranie: Jessie Buckley, Christian Bale, Annette Bening, Penélope Cruz, Jake Gyllenhaal.

Kwiecień

Kwiecień to premiera filmu „Michael” (reż. Antoine Fuqua). Opowieść o życiu i karierze Michaela Jacksona - od czasów, gdy w latach 60. i 70. XX wieku był członkiem zespołu Jackson 5, aż po ostatnie tygodnie życia



Zobaczymy aż dwie ekranizacje „Lalki” Bolesława Prusa

przed jego śmiercią w 2009 roku. W rolach głównych: Jaafar Jackson, Nia Long, Colman Domingo.

Maj

W maju kinomani zobaczą film „Diabeł ubiera się w Prady 2” (reż. David Frankel). Miranda Priestly walczy ze swoją byłą asystentką Emily, a obecnie rywalką na kierowniczym stanowisku. Konkurują o wpływy i przychody z reklam w czasach upadającej prasy papierowej. W obsadzie: Meryl Streep, Emily Blunt, Anne Hathaway, Stanley Tucci.

Kontynuacją jest również film „Mortal Combat II” (reż. Simon McQuoid). Do legendarnych wojowników Ziemi dołącza Johnny Cage, by w śmiertelnym turnieju stanąć przeciwko Shao Kahnowi - tyranowi z innego wymiaru, który pragnie unicestwić ich świat. Grają: Karl Urban,

Hiroyuki Sanada, Lewis Tan, Jessica McNamee.

Do kin trafi w końcu kolejny film z uniwersum „Gwiezdnych wojen” (pierwszy od siedmiu lat) - „Mandalorian i Grog” (reż. Jon Favreau). Imperium upadło, w galaktyce panuje chaos. Nowa Republika, która stara się chronić wszystko, o co walczyła Rebelia, zwraca się o pomoc do legendarnego mandaloriańskiego łowcy nagród, Dina Djarina i jego młodego ucznia, Grog. Występują: Pedro Pascal, Sigourney Weaver, Jeremy Allen White, Steve Blum.

Czerwiec

W czerwcu miłośnicy fantasy otrzymają produkcję „Masters of the Universe” (reż. Travis Knight), powstałą na podstawie serialu animowanego „He-Man i władcy wszechświata”. Adam, na co dzień książkę Eterni, gdy zachodzi taka potrzeba, staje się he-

rosem znanym jako He-man. Tym razem wyrusza na wyprawę przeciwko potężnemu i okrutnemu Szkieletorowi, aby ocalić swoją planetę oraz uchronić sekrety Zamku Grayskull. W rolach głównych: Nicholas Galitzine, Camila Mendes, Alison Brie.

Nowy film Stevena Spielberga to „Dzień objawienia”. Gdybyś dowiedział się, że nie jesteśmy sami, gdyby ktoś ci to udowodnił, czy byś się przestraszył? - pyta reżyser. Występują: Emily Blunt, Josh O’Connor, Colin Firth, Eve Hewson, Colman Domingo.

Na widzów czekać będzie też animacja „Toy Story 5” (reż. Andrew Stanton, McKenna Harris). Kowboj Chudy wraz z przyjaciółmi mierzy się z nową technologią popularną wśród dzieci.

Ze świata DC Comics pochodzi produkcja „Supergirl: Woman of Tomorrow” (reż. Craig Gillespie). Kara wyrusza w podróż po galaktyce z okazji swoich 21. urodzin, towarzyszy jej pies Krypto, a po drodze poznaje Ruthye - młodą kobietę, która wciągnie ją w brutalną misję zemsty. W obsadzie: Milly Alcock, Jason Momoa, Matthias Schoenaerts.

Lipiec

W lipcu będzie można zobaczyć kontynuację filmowych przebojów. To „Minionki 3” (reż. Pierre Coffin) oraz aktorska wersja animacji „Vaiana” (reż. Thomas Kail) - grają: Catherine Laga’aia, Dwayne Johnson, John Tui.

Christopher Nolan proponuje film „Odyseja”. To słynna historia Odyszeusza i jego niebezpiecznej podróży do domu po wojnie trojańskiej. Na ekranie: Matt Damon, Anne Hathaway, Zendaya, Tom Holland, Charlize Theron, Robert Pattinson, Lupita Nyong’o.

A miłośnicy ekranizacji komiksów czekać będą na film „Spider-Man: Całkiem nowy dzień” (reż. Destin Daniel Cretton). Peter Parker stara się pogodo-

dzić studia, dorywczą pracę i bycie miłym Spider-Manem z sąsiedztwa. Jednak gdy tajemnicza siła zaczyna niszczyć miasto od środka, Peter zostaje uwikłany w konflikt między potężnymi wrogami, a u jego boku stają niespodziewani sojusznicy. W obsadzie: Tom Holland, Sadie Sink, Zendaya, Jacob Batalon.

Sierpień

Na sierpień zapowiedziana jest trzecia część komedii Jaya Chandrasekhara „Straż wiejska” - występują: Jay Chandrasekhar, Paul Soter, Steve Lemme, Erik Stolhanske.

Wrzesień

A wrzesień to premiera produkcji „Avengers: Koniec gry” (reż. Anthony Russo, Joe Russo). Po wymazaniu połowy życia we Wszechświecie przez Thanosa, Tony Stark i Iron Man i Nebula utknęli na planecie Tytan. Kapitan Ameryka podejrzewa, że sygnał alarmowy przed niszczycielskimi wydarzeniami zablokował Nick Fury, aby w ten sposób móc wprowadzić posiłki. Avengersi nawiązują współpracę z Ant-Manem i Kapitanem Marvel, by podjąć walkę z Thanosem. Grają: Robert Downey Jr., Chris Evans, Mark Ruffalo, Chris Hemsworth, Scarlett Johansson, Jeremy Renner, Don Cheadle, Paul Rudd, Brie Larson.

To również premiera wyciekniętej polskiej produkcji - ekranizacji powieści Bolesława Prusa „Lalka”, realizowanej przez Macieję Kawalskiego. Rozgrywająca się w drugiej połowie XIX wieku historia kupca Stanisława Wokulskiego, który zakochuje się do szaleństwa w zubożałej arystokratce Izabeli Łęckiej. W tej wersji występują: Marcin Dorociński, Kamila Urzędowska, Marek Kondrat, Maja Komorowska, Maciej Stuhr, Andrzej Seweryn, Agata Kulesza, Karolina Gruska, Cezary Żak.

Listopad

W listopadzie na ekrany kin wejdzie produkcja „Igrzyska śmierci: Wschód słońca w dniu dożynek” (reż. Francis Lawrence). W roku Drugiego Ćwierćwiecza Poskromienia na arenę trafia podwojona liczba trybutów. Wśród nich jest 16-letni Haymitch Abernathy z Dystryktu 12, który musi stawić czoła jeszcze brutalniejszym niż zwykle Głodowym Igrzyskom. W obsadzie: Joseph Zada, Whitney Peak, Ralph Fiennes, McKenna Grace, Jesse Plemons.

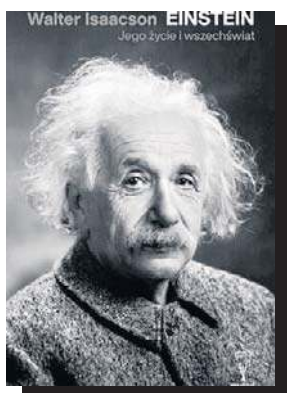
Grudzień

Jeszcze w grudniu zaś kinomani zobaczą filmy „Avengers: Doomsday” (reż. Joe Russo, Anthony Russo) i „Jumanji 3” (reż. Jake Kasdan). Wszystko wskazuje na to, że druga ekranizacja „Lalki” - w reżyserii Pawła Maślony z Sandrą Drzymalską, Tomaszem Schuchardtem i Magdaleną Cielecką trafi do kin dopiero w 2027 roku.



NIEZBĘDNIK CZYTELNICZY

poleca
Agaton Koziński



Eistein. Geniusz i szaleniec, czyli o tym, jak kreuje się ikony nauki

Lubię Waltera Isaacsona. Może słowo „lubię” to za dużo powiedziane, bo w życiu faceta na oczy nie widziałem, ale znam jego książki i podoba mi się to, w jaki sposób dobiera sobie tematy do pisania. Ale dopiero gdy wziąłem do ręki „Einsteina”, zrozumiałem klucz ich doboru. Isaacson tę książkę zadedykował ojcu. Potem krótko go opisał we wstępie. Skracając jego skrót: jego ojciec to inżynier, umysł ścisły. A czyje biografie pisze Isaacson? Największy rozgłos przyniosły mu książki o Steve’em Jobsie i Elonie Musk. Dobrze przyjęto również jego publikacje o Leonardzie da Vincim czy Jennifer Doudna’y, zajmującej się badaniami nad DNA. Wspólny mianownik? Wszyscy zajmują się bądź zajmowali – mniej lub więcej – naukami ścisłymi. Isaacson, jak mało kto, pisze o nich z dużą swobodą. Długi cień ojca na jego karierze. Dokładnie w tę logikę wpisuje się jego ostatnia pozycja.

Wprawdzie „Einsteina” Isaacson napisał już w 2007 r., ale dopiero teraz polska wersja trafiła do nas. Autor bardzo potocznie opisuje nam życie fizyka. Ale przy okazji stawia też bardzo celne pytanie, będące myślą przewodnią tej książki: czemu to właśnie Einstein został ikoną nauki, a nie ktoś inny?

Odpowiedź na to pytanie jest dwojaka. Po pierwsze, bo trafił na właściwą epokę. Dla porównania, Mikołaj Kopernik musiał płynąć pod prąd rzeczywistości swoich czasów ze swoimi naukowymi teoriami. Przebił się, ale też przestrzeni do tworzenia z niego ikony nie było. Inaczej Einstein. Jego rozkwit naukowy nastąpił na początku XX w. – dokładnie wtedy, gdy sama nauka dokonała potężnego skoku do przodu. Pojawiły się nagrody Nobla generujące modę na specjalistów rozkwitających wtedy dyscyplin: matematyki, fizyki, chemii. Einstein lepiej trafić nie mógł.

I druga odpowiedź: Isaacson temu aspektowi poświęca mnóstwo miejsca w książce. Einstein żył 76 lat, natomiast do swego największego odkrycia (wzór $E=mc^2$) doszedł w wieku lat 26. Później prowadził jeszcze badania, ale nawet Isaacson przyznaje, że „przez trzy dekady uparcie krytykował to, co uważał za niedoścignięcia mechaniki kwantowej” – dziedziny, którą sam stworzył. Przez te trzy dekady miał też czas dopieszczać swój wizerunek naukowca – równie szalonego, co genialnego. Miał ku temu talent, świetnie czuł media, intuicyjnie rozumiał, jak zainteresować sobą ludzi. Isaacson świetnie to opisuje.

Bo ta książka jest nie tylko o Einsteinie. To także historia o tym, jak tworzy się ikony. I jak często jest to proces bardzo autorski.

Walter Isaacson „Einstein. Jego życie, jego wszechświat”, wyd. Insignis, Kraków 2025, cena 99,99 zł



Obraz amerykańskiej prowincji

Celnie narysowany portret współczesnej prowincjonalnej Ameryki pokazanej przez pryzmat perypetii miłosnych bohaterów tej książki. Autorka nie stroni od ironii.

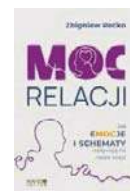
Maggie Shipstead „Kowbojskie tango”, wyd. Znak, Kraków 2026, cena 64,99 zł



Krakowska szkoła krytyki

„Esej o przyjaźni i pokrewieństwie umysłowym” – głosi podtytuł tej książki. Chodzi o wychowanków historyka Kazimierza Wyki.

Marta Wyka „Czterech. Błoński, Flaszen, Kijowski, Puzyna”, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2025, cena 59,90 zł



Jak zarządzać emocjami w relacjach

Poradnik wyjaśniający, w jaki sposób należy kształtować relacje z innymi. Seria porad przygotowanych przez doświadczony konsultanta od komunikacji. Ułatwia zastosować własne słabości.

Zbigniew Rećko „Moc relacji”, wyd. Mando, Kraków 2025, cena 49,90 zł



Eksperymenty miłosne

Książka o miłości – ale nie rozumianej jako „żyli długo i szczęśliwie”, tylko jako niekończącej pogoni za nią. Historia dwóch par, które nagle umawiają się na odwrócenie ról w związkach.

Jakub Maćkecki „Obiekty głębokiego nieba”, wyd. SQN, Kraków 2025, cena 54,99 zł



Co można robić, gdy wokół strzelają?

Debiutancka powieść jednej z najważniejszych współczesnych autorek w Gruzji. Opowieść o samotności człowieka, który niespodziewanie został wrzucony w sam środek konfliktu zbrojnego.

Tamta Melaszewicz „Wyliczanka”, wyd. Filtry, Warszawa 2025, cena 49,90 zł



Ménage à trois po niemiecku

Historia miłości żonatego pisarza i młodej dziewczyny. Choć ona od początku zdaje się akceptować jego związek, to z czasem problemy zaczynają narastać. Specyfika życia w trójkącie.

Jenny Erpenbeck „Kairos”, wyd. Znak, Kraków 2025, cena 59,99 zł



Imperium meekhańskie bliskie rozpadu

Kolejny tom historii o uniwersum imperium meekhańskim. Świat zamieszkały przez ludzi i bogów przechodzi kolejny kryzys.

Robert M. Wegner „Opowieści z meekhańskiego pogranicza. Dusza pokryta bliznami”, wyd. Powergraph, Warszawa 2025, cena 89 zł



Emancypantka na styku kultur

Urodzona w Maroku i wychowana we Francji Leila Slimani bardzo umiejętnie porusza się po styku tych dwóch kultur. I jeszcze wplata w to wątek emancypacji.

Leila Slimani „Cudzy kraj. Zostanie we mnie ogień”, wyd. Sonia Draga, Katowice 2025, cena 59,90 zł



Igrzyska w streamingu

Jak wyglądają współczesne zmagania gladiatorów? Ich areną nie jest koloseum, tylko streamingi. Zmieniają się metody, ale jedno pozostaje takie samo: totalna bezwzględność.

Nana Kwame Adjei-Brenyah „Gwiazdy w łańcuchach”, wyd. Fabryka Słów, Warszawa 2025, cena 62,90 zł



Poznajemy nowego Spider-Mana

Peter Parker ma następcę. Miles Morales ledwo rozpoczął naukę w nowej szkole, a już doświadczył ukąszenia przez pająka. Co z tego wyniknie?

Brian Michael Bendis „Miles Morales. Spider-Man. Szkolony na bohatera”, wyd. Egmont, Warszawa 2025, cena 179,99 zł



Zawiedziona miłość inspiracją liryczną

Tom poezji młodej autorki, która w lirycznej formie rozliczyła się ze swoją wielką miłością. Po raz kolejny się potwierdza, że zawód miłosny to jeden z najbardziej wydajnych napędów dla pisarzy.

Whitney Hanson „Dom”, wyd. Albatros, Warszawa 2025, cena 54,90 zł



Tajemnice zimy w Polsce

W całej Polsce mnóstwo śniegu, a ta książka idealnie wpisuje się w zimową aurę. W lesie ginie człowiek i odnajduje się po 25 latach. Czy uda się wyjaśnić, w jaki sposób przepadł na tak długi czas?

Michał Śmielak „Śnieg przykryje”, wyd. Skarpa Warszawska 2025, cena 52,90 zł



Apokaliptyczna wizja przyszłości świata

Kolejny zeszyt autorstwa jednego z najwybitniejszych europejskich twórców komiksów. Enki Bilal kreśli apokaliptyczną wizję przyszłości, w której o władzę nad światem rywalizują najpotężniejsze państwa i kosmiczne siły wyposażone w cybermetody.

Enki Bilal „Bug”, wyd. Egmont, Warszawa 2025, cena 89,99 zł



Jak przestać walczyć ze sobą

Alba Cardalda jest psychologką, która dużą część swego życia spędziła w domach spokojnej starości. Teraz gościnie spędzone na rozmowach z tamtejszymi pacjentami przekuła na ten poradnik.

Alba Cardalda „Jak przestać być swoim własnym wrogiem”, wyd. Buchmann, Warszawa 2025, cena 54,99 zł



Drugie życie rzeczy ze śmienika

Tytułowe „wyrzutki” to rzeczy, które lądują na śmietniku. Ta książeczka, starannie zilustrowana przez Berenikę Kołomycką, pokazuje, jak te różne porzucone znaleziska znajdują drugie życie.

Agata Loth-Ignaciuk „Powrót wyrzutków”, wyd. Druga Noga, Warszawa 2025, cena 49,90 zł



Konsekwencje powstania w Wandei

Rozważania wybitnego historyka o rewolucji francuskiej i jego konsekwencjach. Jasienica pojechał do departamentu Wandea i tam zastanawiał się, w jaki sposób francuska wojna domowa zmieniła ten kraj i Europę.

Paweł Jasienica „Rozważania o wojnie domowej”, wyd. MG, Warszawa 2025, cena 49,99 zł

PRZESTRZEŃ GOŁĘBNIK, ZNANY TAKŻE JAKO DOMEK GOTYCKI, ZOSTAŁ WPISANY DO REJESTRU ZABYTKÓW W 1965 R.

Zabytkowy Gołębnik wyremontowany. Zegar znów gra „Marsz Mokotowa”

Mateusz Bagiński
Warszawa

Zakończył się kompleksowy remont zabytkowego Gołębnika, znanego także jako Domek Gotycki, przy ul. Puławskiej 59 na Mokotowie. Odnowiona została bryła obiektu i jego wnętrza.

Zabytkowy Gołębnik przy ul. Puławskiej od dekad wpisuje się w krajobraz i rytm Mokotowa. To właśnie z tej neogotyckiej wieży codziennie o godzinie 17:00 rozbrzmiewa „Marsz Mokotowa”. Na początku grudnia 2025 roku zakończył się remont obiektu, dzięki któremu zabytek odzyskał zarówno dawny wygląd, jak i symboliczne znaczenie. - Dzięki pracom przywrócono temu miejscu nie tylko estetykę, ale także jego symboliczny głos. To przywracanie pamięci i tożsamości Mokotowa. Zależało nam, aby ten zabytek znów był żywym elementem przestrzeni publicznej, a nie tylko piękną, lecz milczącą fasadą. Odnawiając takie miejsca, Mokotów nie tylko chroni przeszłość, ale też świadomie buduje swoją przyszłość,



Koszt inwestycji przekroczył 820 tys. zł. Zakres prac objął zarówno elementy zewnętrzne obiektu, jak i jego wnętrza

z szacunkiem dla historii i uważnością na detale, które tworzą charakter dzielnicy - podkreśla Krzysztof Skolimowski, Zastępca Burmistrza Dzielnicy Mokotów.

Remont Gołębnika prowadzony był pod ścisłym nadzorem

Stołecznego Konserwatora Zabytków. Koszt inwestycji przekroczył 820 tys. zł. Zakres prac objął zarówno elementy zewnętrzne obiektu, jak i jego wnętrza. Zakres zewnętrzny prac obejmował: odtworzenie histo-

rycznego gontu na połaciach dachowych i wieżyczkach, odnowienie ozdobnej iglicy oraz konserwację miedzianych obróbek blacharskich, naprawę murów i rekonstrukcję tynków, remont bramy, opaski wokół budynku

oraz spocznika przed wejściem, renowację tarczy zegara z 1969 roku, jednego z najbardziej charakterystycznych elementów Gołębnika.

Zakres prac wewnętrznych obejmował: hydroizolację podszkuby, naprawę i odnowienie tynków, izolację termiczną poddasza, remont podłóg, schodów i balustrad, wymianę okien oraz drzwi wejściowych, odnowienie parapetów, udrożnienie wentylacji grawitacyjnej budynku.

- Dbamy o zabytki nie tylko po to, by cieszyły oko, ale by mogły służyć kolejnym pokoleniom mieszkańców. Tym bardziej cieszy fakt, że już niedługo w tym miejscu ponownie znajdziemy lokalnego rzemieślnika. Do budynku, w którym znajduje się wieża zegarowa powróci zegarmistrz - mówi Natalia Polubiec, mokołowska radna.

Podczas prac pojawiły się także nieprzewidziane trudności. Roboty związane z izolacją ścian fundamentowych musiały zostać wstrzymane ze względu na kolizję z niezainwentaryzowanymi sieciami podziemnymi.

- Działania remontowe przy zabytku musiały zostać ponownie skonsultowane ze Stołecznym Konserwatorem Zabytków, tak aby wypracować nowe rozwiązanie. Finalnie odstąpiliśmy od wykonania hydroizolacji pionowej do czasu zinwentaryzowania kabla przez gestora sieci. Dziś możemy jednak powiedzieć, że zakończony remont, to kolejny rozdział historii Gołębnika i dowód na to, że ochrona dziedzictwa może być nowoczesna, odpowiedzialna i bliska mieszkańcom - informuje Anna Rzepka, p.o. Dyrektora ZGN Mokotów.

Gołębnik, znany także jako Domek Gotycki, został wpisany do rejestru zabytków w lipcu 1965 roku. Wzniesiona pod koniec XVIII wieku neogotycka wieża z bramą prowadzi dziś do parku Morskie Oko. W dolnej części budynku mieściło się niegdyś mieszkanie dla Szwajcara nadzorującego pracę majątku, a górę przeznaczono dla gołębi. Z czasem obiekt zyskał funkcję wieży zegarowej, z której do dziś rozbrzmiewa „Marsz Mokotowa”.

POLSKA
MEDIA

Redaktor naczelny **Arlena Sokalska**
Z-ca redaktora naczelnego **Agaton Kozłowski**
Prezes Makroregionu **Aureliusz Mikos**
Dyrektor centralnego biura reklamy **Witold Trzcinski**
Dyrektor marketingu Polska Press **Rafał Piasecki**

Redakcja ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa
tel.: 22 201 42 00, faks: 22 201 42 01
e-mail: redakcja@polskatimes.pl
Druk Drukarnia ZPR Media S.A.,
04-190 Warszawa, ul. Jubilerska 10

POLSKA PRESS GRUPA

Wydawca **Polska Press Sp. z o.o.**
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa,
tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10

Prezes Zarządu Polska Press Grupy **Zenon Nowak**

Redaktor naczelny Polska Press Grupy **Marek Twaróg**
Dyrektor artystyczny **Tomasz Bocheński**
Dyrektor kolportażu **Tomasz Osoliński**
Biuro Konsumenta PPG, e-mail: biurokonsumenta@polskapress.pl, tel. 12 688 85 10



© - umieszczenie takich dwóch znaków przy Artykule, w szczególności przy Aktualnym Artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronie www.polskatimes.pl/tresci i w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

DROBNE

Jak zamieścić ogłoszenia?
przez internet
ibo.polskapress.pl

Nieruchomości

MIESZKANIA - KUPIĘ

INNE

Kupię mieszkanie zadłużone,
z trudnym lokatorem,
komornikiem, udziały. Gotówka,
883-402-202

Motoryzacja

KUPIĘ

KUPIĘ VW Golf 4 Passat B5 Skoda
Octavia Diesel Tel.666-941-477

MERCEDESA 123 124 Tel.666-941-477

Praca

ZATRUDNIĘ

SERWIS sprzątający
z gr. niepełnosprawności Ożarów
Mazowiecki tel. 668 085 925

Turystyka

KRAJ - GÓRY

Beskidy, turnus Wielkanocny,
1400 zł, w górach koło Wadowic,
tel.: 501-642-492

Różne

GOTÓWKA za KSIĄŻKI, 881-934-948

Rolnicze

INNE

NAWOZY NPK, MG, S, N 6%, P 16%,
K 28%, S 9%, MG 7% Cena 2.150 zł/
tona, 500-669-621

AUTOREKLAMA

aktualne
z całej Polski
przetargi

nasze
komunikaty.pl

AUTOREKLAMA

Polecamy →

SPORTOWY24

Sport to Wy

sportowy24.pl

Na Wielkiej Krokwi fani skoków podziękują Kamilowi Stochowi

Artur Bogacki
artur.bogacki@polskappress.pl

SKOKI NARCIARSKIE. W sobotę i niedzielę w Zakopanem odbędą się konkursy PŚ. Dla Kamila Stocha ma to być ostatni występ w prestiżowym cyklu na Wielkiej Krokwi.

Zakopane w historii polskich skoków to miejsce wyjątkowe i symboliczne. Po latach sukcesów Adam Małysz w 2011 r. odniósł tam ostatnie zwycięstwo w karierze. W tej samej edycji swój pierwszy triumf święcił młody wówczas Kamil Stoch, co było pierwszym znaczącym krokiem do niesamowitej kariery.

Piętnaście lat później Stoch po raz ostatni wystąpi na Wielkiej Krokwi. Latem zapowiedział, że po tym sezonie kończy karierę. Zawody w sobotę i niedzielę będą więc jego pożegnaniem z Zakopanem. Dla kibiców to okazja, aby po raz ostatnim go dopingować i podziękować mu za wiele pięknych lat,



Kamil Stoch w Zakopanem wygrał pięć konkursów indywidualnych, raz był trzeci. Pod względem liczby zwycięstw dorównuje mu tylko Austriak Gregor Schlierenzauer

obfitujących w emocje i sukcesy. W tym sezonie prezentuje w miarę równą formę, lecz pułap osiągnąć to druga dziesiątka, najlepsze było 12. miejsce. Co nie znaczy, że na „swojej” skoczni

nie będzie w stanie poprawić tego wyniku. No bo jak pożegnać się z kibicami w Polsce, to najlepiej z przytupem.

Nie zmienia to faktu, że niewielej szans na sukces wypada

przyznać komuś innemu z naszej kadry. W tym sezonie liderem reprezentacji jest Kacper Tomasiak. Debiutujący w PŚ 19-latek w klasyfikacji generalnej jest 11., punktował niemal we

wszystkich startach, zajmował miejsca w czołowej „10” (najlepszy rezultat to 5. lokata). Na taki powiew świeżości nasze skoki długo czekały. A nawiązując jeszcze do „magii Zakopanego”, może na Wielkiej Krokwi nastąpi kolejne symboliczne przekazanie pałeczki – w ostatnim konkursie Stoch w tym miejscu swoje pierwsze podium może wywalczyć Tomasiak. A byłoby to coś niesamowitego, gdyby na nim stanęli obok siebie!

Ostatni raz na „pudle” w PŚ w Zakopanem był Dawid Kubacki (2. w 2023 r.). Teraz jeszcze musi walczyć o miejsce w kadrze na te zawody. Wystąpić może pięciu naszych skoczków, a trener Maciek Maciusiak wcześniej ogłosił, że skład najprawdopodobniej poda dopiero po piątkowych treningach. Pewniakami raczej są Tomasiak, Stoch i Maciej Kot, najrówniej ostatnio skaczący nasi zawodnicy. Poprzednio w PŚ startowali Kubacki i Paweł Wąsek, a zastąpić któregoś z nich może Piotr Żyła, odesłany

w trakcie Turnieju Czterech Skoczni do kraju na treningi.

Listę faworytów do zwycięstwa w Zakopanem otwiera Domen Prevc. Słoweńiec w tym sezonie jest bezapelacyjną gwiazdą. Od dawna prowadzi w klasyfikacji Pucharu Świata, sukcesywnie powiększa przewagę. Z 15 rozegranych konkursów indywidualnych tylko w dwóch nie był na podium (jeszcze w listopadzie, na początku cyklu). Odnosił już 7 zwycięstw, w tym 5 z rzędu, a niektóre z nich były bardzo wyraźne.

W Zakopanem Prevc nie będzie miał kilku mocnych rywali. Ze startu zrezygnowali choćby Japończycy Ryoyu Kobayashi i Ren Nikaido, czy Austriacy Daniel Tschofenig i Stefan Kraft. Postanowili skupić się na przygotowaniach do kolejnych zawodów.

Program PŚ w Zakopanem. Sobota: 12-secja treningowa, 14:15 – kwalifikacje do konkursu indywidualnego, 16:10 – konkurs duetów (super-team); **niedziela:** 15-seria próbna, 16 – konkurs indywidualny. ©©

Hurkacz i Świątek pełni wiary przed ćwierćfinałem United Cup

Jacek Kmiecik
redakcja@polskappress.pl

W dwóch ostatnich edycjach United Cup Polsce brakowało jednego zwycięstwa do zdobycia trofeum. Iga Świątek i Hubert Hurkacz są sercem i duszą reprezentacji od początku turnieju.

W 2023 roku Polska przegrała w półfinale z USA, a w dwóch kolejnych latach dotarła do finału. Mecze o tytuł przegrała, kolejno, z Niemcami i USA.

W środę duet Iga Świątek i Hubert Hurkacz z powodzeniem doprowadził Polskę do fazy pucharowej, w której w ćwierćfinale zmierzy się z gospodarzami turnieju – Australią.

Fazę grupową obecnej edycji Biało-Czerwoni przeszli w świetnym stylu, wygrywając po 3:0 z Niemcami i Holandią. Dużą w tym zasługą Hurkacza, który w Sydney wrócił po ponadpółrocznej przerwie spowodowanej kontuzją kolana.

– Nie wiedziałem, czego się po sobie tutaj spodziewać. Oczywiście, generalnie oczekujemy wiele, ale rzeczywistość mogła okazać się inna. Wiedziałem, że jestem gotowy. Nadal jednak potrzebuję czasu, żeby się poprawić i rozwinąć –

powiedział „Hubi” po awansie do ćwierćfinału.

Po tym, jak Hurkacz potwierdził swoje zwycięstwo nad Alexandrem Zverevem w swoim powrocie do rozgrywek ATP, pokonując Holendra Tallona Griekspoora i oficjalnie zapewniając sobie awans jako zwycięzca grupy F, Iga Świątek z łatwością pokonała Suzan Lamens w dwóch setach.

– Byłam bardziej precyzyjna w pracy nóg. Myślę więc, że to była poprawa w porównaniu z poprzednim meczem. „Hubi” również zagrał niesamowicie, więc mogłam wyjść na kort z dużą pewnością siebie, bo on już w pewnym sensie wprowadził nas do ćwierćfinału. Mogłam po prostu grać swobodnie – oceniła druga rakietka świata.

Gospodarze czekają w ćwierćfinałach, a Alex de Minaur zapewni Hurkaczowi kolejną szansę sprawdzenia się z rywalem z pierwszej dziesiątki w jego pierwszym występie od czasu operacji prawego kolana w lipcu ubiegłego roku.

– Prawdopodobnie jest blisko, a może nawet najwyższej w rankingu, jaki kiedykolwiek miał. Jest naprawdę szybki, porusza się po korcie niesamowicie dobrze. To będzie więc dobre wyzwanie, zwłaszcza przed australijską publicznością.



Hubert Hurkacz i Iga Świątek po wygranych meczach w grupie z Niemcami i Holandią poprowadzą reprezentację Polski w meczu ćwierćfinałowym United Cup z Australią

ścią. Będzie świetna zabawa i nie mogą się doczekać meczu – powiedział Hurkacz, który ma bilans 1-2 z De Minaurem.

Z dwoma zawodnikami z czołowej dziesiątki rankingu na jednym turnieju Hurkacz wygrał ostatnio w 2022 roku w Halle. Wówczas w ćwierćfinale pokonał dziewiątego Kanadyjczyka Felixa Auger-Aliassime’a, a w finale lidera zestawienia Rosjanina Daniila Miedwediewa.

Świątek miała na razie teoretycznie słabsze rywalki, ale 39. w rankingu Niemka Eva Lys sprawiła jej sporo problemów. Ostatecznie Polka wygrała 3:6, 6:3, 6:4. Holenderkę Suzan Lamens (97. WTA) pokonała natomiast 6:3, 6:2.

W piątek Iga rozpocznie spotkanie z Mayą Joint, 19-letnią australijską tenisistką numer 1.

W 2025 roku Joint zdobyła dwa tytuły WTA i awansowała

na 32. miejsce w rankingu, jako jedna z wielolu debutantek w swojej karierze. Z powodu choroby nie brała udziału w meczu otwarcia Australii z Norwegią, a we wtorek przegrała w swoim debiucie w 2026 roku z Czeszką Barbarą Krejčíkovą.

Wspominając podobny moment swojej kariery, Świątek stwierdziła, że nigdy nie uważała się za wschodzącą gwiazdę, czekając na przeło-

nowy moment jako mistrzyni Rolanda Garrosa w 2020 roku.

– Po prostu (starałam się) grać jak najlepiej, będąc outsiderką. Szczerze mówiąc, to była niezła zabawa. Tęsknię za tamtymi czasami. Pamiętam, jak grałam przeciwko Ash (Barty). Czułam, jak dobra jest, kiedy była numerem jeden i tak solidna. Naprawdę mnie zainspirowała. Bycie outsiderem i bycie wschodzącą gwiazdą z tą świeżością, którą w sobie nosisz, to wspaniałe uczucie. To moment, w którym najbardziej poprawiasz swoją grę – wspominała sześciokrotna triumfatorka Wielkiego Szlema.

Świątek uważa, że Joint jak dotąd „radzi sobie świetnie”. Mimo że ceni sobie jej inteligencję i skromność, 24-latką ma jednak w Sydney sprawy do załatwienia.

– Życzę jej wszystkiego najlepszego, ale nie za dwa dni – powiedziała z uśmiechem Iga.

Mecz rozpocznie się o godz. 7.30 czasu polskiego od pojedynku Świątek z Joint. Po nich na kort wyjdą Hurkacz i de Minaur, a na zakończenie rozegrany zostanie mikst.

Na zwycięzców tego ćwierćfinału czekają już brońcy tytułu Amerykanie. W drugim półfinale Szwajcaria zagra z Belgią. ©©

